



DANIEL RADCLIFFE,
FILMOWY HARRY POTTER,
w pięknym nastrojowym filmie
na podstawie powieści

KOBIETA W CZERNI

SUSAN HILL



HILL SUSAN

KOBIETA W CZERNI

Spowity mgłą i tajemnicą Dom na Węgorzowych Moczarach góruje nad omiatanymi przez morskie wichry bagnami,

odcięty od świata i niedostępny, gdy fale przyływu pochłoną Ławicę Dziewięciu Topielców – jedyną drogę, jaka łączy go z lądem.

Arthur Kipps, młody notariusz z Londynu, przyjeżdża na pogrzeb samotnej właścicielki domu, by uporządkować pozostawione przez zmarłą papiery. Nie wie jeszcze, co wydarzyło się przed laty w domu i na otaczających go bagnach. Nie wie, kim jest kobieta w czarnej sukni, która ukazuje mu się z oddali. Lecz wkrótce odkryje przerażający sekret Domu na Węgorzowych Moczarach i pojmie, jak straszliwą zapowiedzią jest pojawienie się kobiety w czerni...

W WIGILIJNY WIECZÓR

Był o wpół do dziesiątej w wigilijny wieczór. Przemierzając długi przedpokój domu na Mnisiej Parceli w drodze z pokoju stołowego (w którym właśnie spożyliśmy pierwszy z przyjemnych, świątecznych posiłków) do salonu, gdzie zebrała się już przy kominku moja rodzina, zatrzymałem się, a potem - jak to często robię wieczorem - ruszyłem do drzwi wejściowych, otworzyłem je i wyszedłem na dwór.

Zawsze lubiłem odetchnąć wieczornym powietrzem, wciągnąć do płuc jego zapach zarówno w środku lata, gdy unoszą się w nim słodkie, balsamiczne wonie kwiatów, czy jesienią, gdy niesie zapach dymu z ognisk i butwiejących liści, jak i zimą, kiedy wieje chłodem od śniegu i mrozu. Lubię rozejrzeć się po niebie bez względu na to, czy rozjaśnia je blask księżyca i gwiazd,

czy spowijają kompletne ciemności. Lubię wsłuchiwać się w krzyki nocnych stworzeń, w porywy i pojękiwania wiatru, w pluskanie kropel deszczu na liściach w sadzie. Z przyjemnością wystawiam twarz na powietrze, które ciągnie po zboczu wzgórza od płaskich pastwisk w dolinie nad rzeką.

Dzisiejszego wieczoru od razu - i z ulgą w sercu - wyczułem, że zapowiada się zmiana pogody. Cały poprzedni tydzień był mokry, mieliśmy lodowate deszcze i mgłę, która wisiała wokół domu i zasnuwała okolicę. Z okien rozciągał się widok nie dalej, jak na jard czy dwa w głąb ogrodu. Wydawało się, że ta wstrętna szaruga nigdy nie ustąpi. Spacery po polach nie dawały żadnej przyjemności, przy takiej mgle nie można było nawet myśleć o polowaniu, a psy były ustawicznie markotne i ubłocone. Światła paliły się w domu przez cały dzień, ściany w spiżarni, przybudówce i piwnicy ociekały wilgocią i wydzielały kwaśny zapach, a drewno w kominku ledwo się tliło, dymiąc i strzelając iskrami. Od wielu już lat taka pogoda aż nazbyt wpływała na mój nastrój. Muszę przyznać, że gdyby nie atmosfera radości i wesołej krzątaniny w pozostałej części domu, pogrążyłbym się w nastroju przygnębienia i sennej gnuśności, niezdolny

do cieszenia się urokami życia tak, jak bym tego pragnął, wiecznie poirytowany z powodu mojej podejrzliwości. Na szczęście szarugi i pluchy budzą u Esme jedynie żywy sprzeciw, toteż w tym roku przygotowania do świąt Bożego Narodzenia były jeszcze bardziej energiczne i zakrojone na szerszą skalę niż zwykle.

Zrobiłem kilka kroków i wyszedłem z cienia rzucanego przez dom, żeby rozejrzeć się naokół w księżycowym świetle. Dom na Mnisiej Parceli stoi na szczycie wzgórza opadającego na przestrzeni około stu dwudziestu jardów ku dolinie, którą płynie z północy na południe mała rzeczka Nee, wijąca się przez urodzajną i osłoniętą część okolicy. Pod nami znajdują się pastwiska usiane małymi kępami mieszanych zagajników. Ale za naszymi plecami rozciąga się na kilka mil kwadratowych zupełnie inny obszar surowych zarośli i wrzosowisk. To plama naturalnej dziczy pośród dobrze zagospodarowanego kraju. Mamy ledwie dwie mile do sporej wsi i siedem do miasta, w którym odbywają się jarmarki. Ale tak naprawdę to dość odosobnione miejsce, toteż czujemy się, jakbyśmy znajdowali się dużo dalej od cywilizowanego świata.

Mnisią Parcelę zobaczyłem pierwszy raz pewnego letniego popołudnia, podczas przejażdżki

konną dwukólką z panem Bentleyem. Pan Bentley był wcześniej moim pracodawcą, ale niedawno awansowałem do pozycji wspólnika w firmie prawniczej, w której rozpocząłem praktykę jako młody człowiek i z którą związałem się w istocie na cały okres mojej zawodowej działalności. W owym czasie mój wspólnik zbliżał się do wieku, w którym zaczął odczuwać skłonność do przerzucania po trochu na mnie odpowiedzialności za firmę, mimo to nadal przynajmniej raz w tygodniu przyjeżdżał do naszej kancelarii w Londynie. W końcu zmarł, mając osiemdziesiąt dwa lata.

Jak wspomniałem, w ostatnich latach pan Bentley większość czasu spędzał na wsi. Nie miał zamiłowania do polowania ani do łowienia ryb, za to zaangażował się w tutejsze życie jako wiejski sędzia i członek władz parafialnych, przewodnicząc takim czy innym komisjom, kolegiom i komitetom okręgowym oraz kościelnym. Z ulgą i zadowoleniem powitałem jego decyzję, żeby przyjąć mnie po tylu latach jako pełnoprawnego partnera. Uważałem, że stanowisko to zwyczajnie mi się należało, gdyż wykonywałem przypadającą na mnie czarną robotę i dźwigałem na moich barkach znaczną część odpowiedzialności za kierowanie działalnością biura. I pobierałem

za to zaniżone wynagrodzenie, przynajmniej w odniesieniu do wykonywanej przeze mnie pracy.

Tak więc pewnego niedzielnego popołudnia siedziałem obok pana Bentleya i podziwiałem wysokie głogowe żywopłoty, ciągnące się przez zieloną, senną okolicę. Konik ciągnął nas lekkim truchtem z powrotem w kierunku raczej brzydkiego, nazbyt okazałego wiejskiego dworku mojego współnika. Rzadko zdarzało mi się siedzieć beczynn timer. W Londynie oddawałem się bez reszty pracy, jedynie odrobinę wolnego czasu poświęcając studiowaniu i kolekcjonowaniu akwarel. Miałem wówczas trzydzieści pięć lat i od dwunastu lat byłem wdowcem. Brakowało mi zupełnie zamięłowania do życia towarzyskiego i choć ogólnie biorąc, cieszyłem się dobrym zdrowiem, miałem skłonność do popadania w okazjonalne rozdrażnienia i nerwice w wyniku przeżyć, o których zamierzam opowiedzieć. Prawdę mówiąc, zaczynałem starzeć się przedwcześnie. Zamieniałem się w ponuraka o bladej cerze i wymuszonej minie - jednym słowem, w ospałego nudziarza.

Podzieliłem się z panem Bentleyem uwagą na temat spokojnego i miłego dnia. Pan Bentley spojrział w moją stronę.

- Powinien pan pomyśleć o kupnie czegoś w tej okolicy, co pan o tym sądzi? - powiedział.

-Jakiś ładny mały domek, może tam? - Po czym wskazał batem maleńką wioskę w dole, usadowioną wygodnie w zakolu rzeki. Białe ściany zabudowań połyskiwały w popołudniowym słońcu. - Niech się pan wyrwie z miasta w któreś piątkowe popołudnie, pospaceruje, odetchnie świeżym powietrzem, posmakuje dobrych jaj i śmietany.

Pomysł nie był pozbawiony pewnego uroku, ale sprawa wydawała mi się raczej mglista i bez związku z moją sytuacją, toteż uśmiechnąłem się tylko i wciągnąłem do płuc ciepły zapach traw i polnych kwiatów. Utkwiłem wzrok w kurzu podnoszącym się spod kopyt konia i przestałem o tym myśleć. Przynajmniej do chwili, gdy dojechaliśmy do długiego kamiennego domku o doskonałych proporcjach, stojącego na wzniesieniu, z którego roztaczał się widok na całą dolinę rzeki, aż po fioletowoniebieską linię wzgórz kilka mil dalej.

Wtedy właśnie przeniknęło mnie coś, czego nie umiem dokładnie opisać, jakieś wzruszenie czy pragnienie... Nie, było to coś więcej, świadomość, po prostu pewność, która ogarnęła mnie w sposób tak całkowicie jasny i uderzający, że

bezwiednie zawołałem do pana Bentleya, żeby się zatrzymał. A potem, nim jeszcze zdążył to zrobić, wyskoczyłem z dwukółki na ścieżkę. Stałem na porośniętym trawą pagórku, żeby popatrzeć najpierw na domek - taki zgrabny, tak doskonale wpasowany w miejsce, jakie zajmował, skromny, ale elegancki - a potem przenieść wzrok na rozciągającą się za nim wiejską okolicę. Nie wydawało mi się, abym był tu wcześniej, ale miałem absolutną pewność, że tu wrócę. Ze ten domek jest już mój, związany ze mną niewidzialną nicią. W pobliżu budynku płynął w kierunku położonej za nim łąki strumyk, który wił się dalej zakolami w stronę rzeki rzeki.

Pan Bentley przyglądał mi się z ciekawością ze swego miejsca w dwukółce.

- Ładne miejsce! - zawołał.

Skinąłem głową, ale, niezdolny do podzielenia się z nim żadnym ze skrajnych uczuć, jakie mną zawładnęły, odwróciłem się do niego plecami i ruszyłem w górę zbocza, skąd widać było wejście do starego zarośniętego sadu, który rozciągał się za domem i ginął w wysokich trawach i splątanym gąszczu po jego drugiej stronie. Za sadem dostrzegałem otwartą, dziką przestrzeń ugoru. Byłem ciągle pod wrażeniem, że

to miejsce należy już do mnie, i przypominam sobie, że poczułem się zaniepokojony, ponieważ nigdy nie byłem człowiekiem obdarzonym nadmierną wyobraźnią i fantazją, a z pewnością nie miałem skłonności do roztaczania wizji przyszłości. W istocie, od czasu pewnych dawniejszych przeżyć świadomie unikałem wszelkiego planowania oraz rozpamiętywania jakichkolwiek odległych, niematerialnych spraw. Trzymałem się tego, co prozaiczne, widzialne i namacalne.

Mimo to jakoś nie mogłem pozbyć się wrażenia - nie, powinienem użyć mocniejszego słowa - przekonania, że ten dom stanie się pewnego dnia moim domem. Że wcześniej czy później, choć nie miałem pojęcia kiedy, będę jego właścicielem. Gdy w końcu pogodziłem się z tą myślą i przyznałem to przed samym sobą, od razu ogarnęło mnie uczucie głębokiego spokoju i zadowolenia, jakiego nie doznałem od wielu lat. Z lekkim sercem wróciłem do dwukółki, w której pan Bentley oczekiwał mnie z miną zdradzającą coś więcej niż tylko odrobina ciekawości.

Niesamowite wrażenie, jakie wywarła na mnie Mnisia Parcela, towarzyszyło mi, gdy po południu opuszczałem wiejskie okolice, żeby wrócić do Londynu. Powiedziałem panu Bentleyowi, że gdyby kiedykolwiek usłyszał, że ten dom jest na sprzedaż, bardzo bym chciał o tym wiedzieć.

Zrobił to po kilku latach. Parę godzin później tego samego dnia skontaktowałem się z

agencją nieruchomości. Nie zadałem sobie nawet trudu, żeby obejrzeć dom ponownie, złożyłem ofertę kupna i została ona przyjęta. Kilka miesięcy wcześniej poznałem Esme Ainley. Nasze wzajemne przywiązanie stale rosło, ale, dotknięty niezdecydowaniem we wszystkich sprawach osobistych i uczuciowych, zachowywałem milczenie co do moich intencji na przyszłość. Miałem jednak dość rozsądku, żeby wziąć wiadomość o wystawieniu na sprzedaż Mnisiej Parceli za dobry omen. Gdy tydzień później stałem się formalnym właścicielem domu, pojechałem na wieś z Esme i oświadczyłem się jej wśród drzew starego sadu. Przyjęła mnie. W bardzo krótkim czasie pobraliśmy się i natychmiast przenieśliśmy do domu na Mnisiej Parceli. Tego dnia byłem szczerze przekonany, że w końcu uwolniłem się od wypadków z przeszłości. A z wyrazu twarzy pana Bentleya i ciepłego uścisku jego dłoni wyczułem, że on też tak uważał i że sam zdjął pewien ciężar ze swoich ramion. Przynajmniej częściowo obwiniał się o to, co mi się przydarzyło - w końcu to on wysłał mnie w tamtą

pierwszą podróż do Crythin Gifford, do Domu na Węgorzowych Moczarach i na pogrzeb pani Drablow.

Ale wszystkie te sprawy zostawiłem daleko za sobą. A przynajmniej nie myślałem o nich w ten wigilijny wieczór, gdy stałem koło drzwi mojej siedziby, wdychając nocne powietrze. Od około czternastu lat Mnisia Parcela była najszcześniejszym z domów - dla Esme i dla mnie, a także dla czwórki jej dzieci z pierwszego małżeństwa z kapitanem Ainleyem. Początkowo przyjeżdżałem tu tylko na weekendy i święta, ale życie i praca w Londynie zaczęły mnie drażnić od dnia, w którym kupiłem tę parcelę, toteż byłem naprawdę zadowolony, gdy przy najbliższej sposobności przenieśliśmy się na stałe na wieś. I właśnie teraz w tym pełnym szczęścia domu moja rodzina zebrała się, by świętować Boże Narodzenie. Za chwilę otworzę drzwi i usłyszę ich głosy dochodzące z salonu - chyba że wcześniej przywoła mnie nagle żona, niepokojąc się, że złapię przeziębienie. Bo też w istocie nastąpiły w końcu bardzo zimne i jasne noce. Niebo usiane było gwiazdami, a księżyc w pełni otaczało halo zwiastujące mróz. Wilgoć i mgły z poprzedniego tygodnia rozplynęły się jak złodzieje w mroku, ścieżki i kamienne ściany domu lśniły blado, a w powietrzu unosił się obłoczek mojego oddechu.

Na górze, w pokojach sypialnych na poddaszu spało trzech synków Isobel - wnuczków Esme. Do słupków swoich łóżek przywiązali pończochy. Jutrzejszy ranek nie powita ich wprawdzie śniegiem, ale Boże Narodzenie powinno przynajmniej upłynąć w pogodnym i wesołym nastroju.

W powietrzu było tego wieczoru coś, jak przypuszczam, zapamiętanego z własnego dzieciństwa. Do tego dochodził nastrój chłopców, który udzielał mi się pomimo moich lat. Oczywiście nie miałem pojęcia, że ten spokój zostanie zburzony i obudzą się wspomnienia, które uważałem za umarłe. Wtedy wydawało się rzeczą niemożliwą, aby kiedykolwiek miał do mnie wrócić tamten śmiertelny lęk, choćby w postaci żywej pamięci i snów.

Spojrzałem po raz ostatni w mroźny mrok, westchnąłem z zadowoleniem, zawołałem na psy i wróciłem do środka. Nie spodziewałem się niczego więcej niż fajki i szklanki dobrej whisky z jęczmiennego słodu wychylonej koło trzaskającego ognia w kominku, w miłym towarzystwie mojej rodziny. Gdy minąłem hol i wszedłem do

salonu, poczułem przyływ zadowolenia, jakiego regularnie doświadczałem od czasu zamieszkania w domu na Mnisiej Parceli. Było to wrażenie budzące w naturalny sposób uczucie serdecznej wdzięczności. I w istocie, poczułem wdzięczność na widok rodziny zebranej wokół bużującego ognia, którego płomienie urosły akurat do niebezpiecznej wysokości i zaczęły buchać gwałtownie, gdy Oliver dołożył następną szczapę ze starej jabłoni ściętej w sadzie ostatniej jesieni. Oliver, najstarszy syn Esme, przejawiał wówczas, a zresztą i obecnie, bliskie podobieństwo zarówno do siostry Isobel (która siedziała obok męża, brodatego Aubreya Pearce'a, jak i do ustępującego mu wiekiem brata, Willa. Wszyscy troje mieli raczej krągłe, dobrotliwe i zwyczajne, otwarte angielskie oblicza oraz jasnoorzechowe włosy, brwi i rzęsy - w kolorze włosów ich matki, zanim zaczęła przeplatać je siwizna.

Isobel miała wtedy ledwie dwadzieścia cztery lata, ale już zdążyła urodzić trójkę dzieci i zamierzała powiększyć jeszcze ich grono. Była pulchna i zdecydowanie wyglądała na matronę o macierzyńskich skłonnościach. Z oddaniem opiekowała się mężem, braćmi i własnymi dziećmi. Była najbardziej czułą, odpowiedzialną córką, jaką można sobie wyobrazić, a przy tym kobietą uczuciową i czarującą, która zdawała się znaleźć w osobie spokojnego i zrównoważonego Aubreya Pearce'a idealnego partnera. Czasami jednak przyłapywałem Esme na tym, że spoglądała na córkę w zamyśleniu. Zresztą żona nieraz

dzieliła się - choć delikatnie i tylko ze mną - życzeniem, aby Isobel była trochę mniej stateczna, a za to nabrała odrobinę więcej animuszu, a nawet płochości.

Szczerze mówiąc, wolałbym, żeby tak się nie stało. Nie życzyłbym sobie niczego, co usiałoby zmarszczkami powierzchnię tego spokojnego, niczym niezakłóconego morza. Zarówno dziewiętnastoletni wówczas Oliver Ainley, jak i jego zaledwie o rok i dwa miesiące młodszy brat Will byli poważnymi młodzieńcami o spokojnych charakterach, ale na razie wciąż jeszcze emanowała z nich chłopięca niesforność. W istocie, odnosiłem nawet wrażenie, że Oliver okazuje zbyt mało oznak dojrzałości jak na młodego człowieka na pierwszym roku w Cambridge, który, gdyby poszedł za moją radą, obrałby karierę adwokata.

Will leżał z zaróżowioną twarzą na brzuchu przed kominkiem i podpierał brodę dłońmi. Oliver siedział obok i od czasu do czasu słychać było szurnięcia ich długich nóg, którym towarzyszyło

parskanie śmiechem, tak jakby znowu mieli po dziesięć lat.

Najmłodszy z Ainleyów, Edmund, siedział nieco z boku, dystansując się trochę, jak to miał w zwyczaju, od wszystkich pozostałych. Robił to nie z powodu jakiegokolwiek wrogości czy ponurego nastroju, ale z racji wrodzonej powściągliwości, a także pragnienia pewnej prywatności, które to cechy odróżniały go zawsze od reszty rodziny. Był zresztą niepodobny do braci także z wyglądu. Miał jasną cerę i długi nos oraz nadzwyczaj czarne włosy i niebieskie oczy. Liczył wówczas piętnaście lat. Znałem go najgorzej, niemal zupełnie go nie rozumiałem i czułem się skrępowany w jego obecności. A mimo to w jakiś dziwny sposób kochałem go bardziej niż pozostałych.

Salon w domu na Mnisiej Parceli jest długi i niski, ma po obu stronach wysokie okna, które tego wieczoru były zasłonięte, ale w dzień wpuszczają do środka dużo światła zarówno od północy, jak i południa. Nad kamiennym kominkiem wisiały girlandy i gałązki ostrokrzewu zebrane tego popołudnia przez Esme i Isobel. Między liście i owoce wpleciono szkarłatno-złote wstążki. W drugim końcu pokoju stało przystrojone drzewko z zapalonymi świeczkami,

a pod nim leżały prezenty. Były też kwiaty, wazony z białymi chryzantemami, a na okrągłym stole pośrodku pokoju piętrzyła się piramida złocących się owoców i stała misa pomarańczy przetykanych goździkami, których ostry zapach wypełniał powietrze i mieszał się z wonią gałązek i dymu z drewnianych polan. Tak pachniało prawdziwe Boże Narodzenie.

Usiadłem w fotelu, odsunąłem go trochę od buzującego ognia i zabrałem się do nabijania fajki - powolnego i uspokajającego zajęcia. Uświadomiłem sobie, że wdarłem się w sam środek ożywionej rozmowy, którą Oliver i Will niecierpliwie chcieli kontynuować.

- A więc - powiedziałem, puściwszy pierwsze, ostrożne kłęby tytoniowego dymu - o czym tak rozprawiacie?

Po krótkiej pauzie Esme pokręciła głową, uśmiechając się znad haftu, który właśnie kończyła.

- Doszło...

W tym momencie Oliver zerwał się i szybko okrążył pokój, wyłączając wszystkie światła z wyjątkiem lampek na choince w drugim końcu salonu. Gdy wrócił na miejsce, oświetlał nas tylko ogień w kominku i Esme nie bez niechętnego mruknięcia musiała odłożyć robótkę.

- Chodzi o to, żeby stworzyć właściwy nastrój - powiedział z odcieniem zadowolenia w głosie Oliver.
- Och, chłopcy...
- No, to teraz Will, twoja kolej, prawda?
- Nie, Edmunda.
- Aha... - odezwał się najmłodszy z braci dziwnym niskim głosem. - Mógłbym coś opowiedzieć, gdybym miał na to ochotę.
- Musimy siedzieć po ciemku? - zapytała Isobel tak, jakby zwracała się do dużo mniejszych chłopców.
- Tak, siostrzyczko, musimy, jeśli chcesz mieć właściwą atmosferę.
- Ale ja nie jestem pewna, czy chcę. Oliver jęknął cicho.
- W takim razie niech któryś z was zaczyna. Esme pochyliła się w moją stronę.
- Opowiadają historie o duchach.
- Tak - potwierdził Will drżącym głosem, w którym usłyszałem podniecenie i rozbawienie.
- W sam raz na Wigilię. To stara tradycja!
- Samotny wiejski dom, goście skupieni wokół kominka, ciemny pokój, wiatr wyjący w uchylonym oknie... - jęknął Oliver.

W tym momencie ozwał się flegmatyczny, zadowolony głos Aubreya:

- No, to dawajcie te historie.

No i zaczęli. Oliver, Edmund i Will prześcigali się w snuciu najokropniejszych, przyprawiających o gęsią skórę historyjek, nasycając je grozą i przeplatając przedrzeźniającymi pokrzykiwaniami. Jeden starał się prześcignąć drugiego w wymyślaniu najbardziej przerażających scen, sięgając po coraz groźniejsze motywy. A wszystko to miało się dziać pośród ociekających wilgocią kamiennych ścian niezamieszkanymi zamkami i w zarośniętych ruinach klasztorów, oblanych księżycowym światłem, w zamkniętych na głucho komnatach i tajemnych lochach, w wilgotnych kostnicach i na opuszczonych cmentarzyskach. Opowiadali o odgłosach kroków na skrzypiących schodach i stukaniu tajemniczych palców w szyby okien, o wyciach i krzykach, jękach, gonitwach i dzwoniących łańcuchach, o zakapturzonych mnichach i bezgłowych jeźdźcach, wirujących mgłach i nagłych porywach wiatru, o przeraźliwych upiorach i postaciach owiniętych w prześcieradła, o wampirach i psach gończych, nietoperzach, szczurach i pajakach, o ludziach znajdowanych o świcie, osiwiatych nagle kobietach i majaczących lunatyczkach, o znikających trupach i przekleństwach rzucanych na spadkobierców. Ich opowieści robiły się coraz

bardziej niesamowite, rozpasane i oszołamiające, to też niebawem okrzykiem zdumienia i wrzaskom zaczęły towarzyszyć wybuchy dławiącego śmiechu, gdy wszyscy po kolei, nie wyłączając nawet spokojnej Isobel, zaczęli wtrącać coraz bardziej upiorne szczegóły.

Z początku te ich historie bawiły mnie i przyjmowałem je z pobłażaniem, ale po jakimś czasie, słuchając ich w świetle padającym z kominka, zacząłem się czuć coraz bardziej obco, jakbym nie należał do ich grona. Próbowałem zdusić rosnący niepokój i powstrzymać coraz żywszy napływ moich własnych wspomnień.

Była to tylko gra - nader ożywiona i nieszkodliwa zabawa młodych ludzi w okresie świąt, zgodna, jak to słusznie zauważył Will, ze starą tradycją. Nie było w niej nic, co mogłoby mnie wzburzyć i zaniepokoić. Nic, czego bym nie akceptował. Nie chciałem zepsuć im uciechy ani wyjść na ociężałego, pozbawionego wyobraźni starucha. Szczerze pragnąłem wtopić się w to, co nie było niczym innym, jak tylko dobrą zabawą. Stoczyłem zaciętą walkę wewnętrzną, odwróciwszy głowę od kominka, żeby żadne z nich nie mogło dojrzeć mojej twarzy, na której - byłem tego pewien - zaczęły malować się oznaki zmieszania.

I właśnie wtedy, równocześnie ze zwiastującym ukazaniem się straszliwego widma wyciem, jakie wydobyło się z gardła Edmunda, pękło nagle polano płonące na ruszcie kominka. Buchnęło jasnym kłębem iskier i dymu, a potem zgasło tak, że zrobiło się prawie ciemno. Zapadła cisza. Wzdrygnąłem się. Chciałem się podnieść, obejść pokój i pozapalać wszystkie światła, zobaczyć lśniące kolorowe ozdoby świąteczne, dołożyć drewna, żeby w kominku zahuczały znowu wesołe płomienie. Chciałem przepędzić chłód i lęk, które poczułem nagle w piersi. Ale nie mogłem się poruszyć, przez chwilę byłem jak sparaliżowany. Dokładnie tak, jakby wróciło zapomniane od dawna uczucie, które znałem aż za dobrze.

- No, ojczulku - powiedział Edmund - teraz kolej na ciebie.

I w tej samej chwili ciszę przerwały nalegania pozostałych chłopców, do których przyłączyła się Esme.

- Nie, nie - wykręcałem się, starając się mówić wesołym tonem. - Niczego wam nie opowiem.

- Och, Arthurze...

- Musisz znać choć jedną historię o duchach, ojczulku, każdy zna przynajmniej jedną...

No tak, rzeczywiście. Słuchając ich upiornych, niesamowitych wymysłów, porykiwań i jęków, przez cały czas miałem w głowie tylko jedną myśl. Jedyne, co mogłem im teraz powiedzieć to: „Nie, nie, żaden z was nie ma pojęcia o tych sprawach. Wasze historie to nonsensowne fantazje, rzeczywistość nie ma z tym nic wspólnego. Nie ma w niej miejsca na takie mrozące krew w żyłach, pełzające, brutalne strachy... One... one... mogą tylko rozśmieszać, Prawda wygląda całkiem inaczej, znacznie bardziej przerażająco”.

- No, to opowiadaj, ojczulku.

- Nie psuj nam zabawy.

- Nic nam nie opowiesz, Arthurze?

- Do roboty, ojczulku, chyba nie sprawisz nam zawodu?

Podniosłem się, nie mogąc znieść tego dłużej.

- Przykro mi, ale muszę was rozczarować -powiedziałem. - Nie mam do opowiedzenia żadnej historii! -1 wyszedłem prędko z pokoju, a potem na dwór.

Mniej więcej po piętnastu minutach odzyskałem wreszcie jasność umysłu i stwierdziłem, że stoję w zaroślach za sadem, z bijącym sercem i urywanym oddechem. Dotarłem tu w podnieceniu i teraz, uświadomiwszy sobie, że muszę się jakoś uspokoić, zacząłem rozmyślnie robić jednostajne wdechy, licząc do dziesięciu. Wciąż i wciąż, dopóki nie poczułem, że napięcie we mnie zaczyna słabnąć i tętno się uspokaja. Rozejrzałem się. Dostrzegłem przejrzystość nieba i migotanie gwiazd, poczułem mroźne powietrze i kruchą, zmrożoną szronem trawę pod moimi stopami.

Wiedziałem, że w domu, za moimi plecami, zostawiłem rodzinę w stanie konsternacji i oszołomienia. Wszyscy znali mnie jako normalnego, zrównoważonego człowieka, którego reakcje można było przewidzieć. Z pewnością nie rozumieli, jak to się stało, że opowiadając parę głupich historyjek, obudzili we mnie wyraźną niechęć i popchnęli do tak szorstkiego zachowania. Powinienem wrócić do nich jak najprędzej, przeprosić za to, co się stało, i postarać się, żeby cały ten incydent poszedł w zapomnienie, a w domu zapanowała znowu miła świąteczna atmosfera. Ale wiedziałem, że nie będę w stanie niczego im wyjaśnić. Nie. Postaram się zachować pogodę i spokój, choćby ze względu na moją drogą małżonkę, ale nie zdobędę się na nic więcej. Zbesztali mnie, że psuję zabawę. I próbowali zachęcić do podzielenia się z nimi choćby jedną historyjką o duchach, jaką na pewno mam

w zanadrzu, jak każdy człowiek. I mieli rację. Tak, ukrywałem w sobie taką opowieść, prawdziwą opowieść o czarach i złych mocach, o strachu i zagubieniu, trwodze i tragedii. Ale nie była to bajka, którą można było snuć ot tak, dla rozrywki przy kominku w Wigilię Bożego Narodzenia.

W głębi serca wiedziałem zawsze, że tamte doświadczenia nigdy mnie nie opuszczą, że wrosły już w moje tkanki jako nieodłączna część przeszłości. Miałem jednak nadzieję, że nigdy już nie będę musiał przypominać ich sobie na nowo, w sposób świadomy i ze wszystkimi szczegółami. Bo niczym stara rana, co jakiś czas echa przeszłości odzywały się we mnie słabymi ukłuciami. Tyle że robiły to coraz rzadziej i mniej boleśnie, w miarę, jak kolejne lata upływały mi w szczęściu, zdrowiu i duchowej równowadze. W ostatnim okresie przypominały już tylko daleką zmarszczkę na stawie, niczym słabe echo bardzo odległych wspomnień.

I oto teraz, dzisiejszego wieczoru, znowu wypełniły moje myśli, usuwając z nich wszystko inne. Wiedziałem, że nie uwolnię się od nich, że będę leżał bezsennie zlany potem, rozmyślając o tamtych dniach, o tamtych wydarzeniach i miejscach. I tak już będzie noc w noc, przez długie lata.

Zacząłem kręcić się w kółko. Jutro Boże Narodzenie. Czy nie zdołam uwolnić się od tych myśli przynajmniej na ten błogosławiony czas? Nie ma sposobu, aby powstrzymać ten zalew wspomnień i uchronić się od wpływu, jaki wywierały na mnie? Nie znajdę czegoś,

co zadziałałoby niczym środek albo balsam uśmierzający ból przynajmniej na krótko? A potem, stojąc między pniami owocowych drzewek okrytych srebrno-szarą księżycową poświatą, przypominałem sobie, że aby przepędzić upiory, które nie przestają cię nachodzić, trzeba je egzorcyzmować. A więc dobrze, mój upiór zostanie poddany egzorcyzmom. Powinienem opowiedzieć moją historię. Ale nie głośno, przy kominku, żeby dostarczyć zabawy gnuśnym słuchaczom - na to była zbyt poważna i zbyt rzeczywista. Powinienem ją napisać, wkładając w to maksimum troski o wierność szczegółów. Napiszę moją opowieść o duchach. I wtedy być może uwolnię się w końcu od niej na resztę życia, jakim dane mi się będzie cieszyć.

Postanowiłem od razu, że będzie to historia przeznaczona tylko dla moich oczu, przynajmniej do końca mojego życia. W końcu to mnie nachodziły te widma i to ja byłem tym, który cierpiał. Niejedynym, nie. Ale pomyślałem, że

jedynym, jaki pozostał przy życiu. Moje wzburzenie wskazywało, że przeszłość nadal głęboko mnie poruszała, więc owego upiora należało przepędzić. Ze mnie. Popatrzyłem na księżyc i na jasną, bardzo jasną Gwiazdę Polarną. Wigilia. A potem pomodliłem się. Zmówiłem płynącą prosto z serca modlitwę, prosząc o spokój umysłu, o siłę i stanowczość, które pozwolą mi znieść skrajne męki kompletowania mojej historii. Poprosiłem też o błogosławieństwo dla rodziny i spokojny sen dla wszystkich tej nocy. Albowiem, mimo iż wydawało mi się, że panuję już nad własnymi emocjami, obawiałem się godzin w mroku, które mnie czekały. Jakby w odpowiedzi na modlitwę przypomniałem sobie kilka linijek poezji, które umiałem niegdyś na pamięć, ale dawno temu ich zapomniałem. Później powtórzyłem je głośno

Esme

i ona natychmiast zorientowała się, skąd pochodzą.

*Mówią, że ranny ten ptak w owej porze, Kiedy święcimy narodzenie Pana,
Po całych nocach zwykł śpiewać, i wtedy Żaden duch nie śmie wyjść z swego siedliska:
Noce są zdrowe, gwiazdy nieszkodliwe,
Złe śpi, ustają czarodziejskie wpływy, Tak święty jest ten czas i dobroczynny!*

Gdy wypowiedziałem je głośno, zstąpił na mnie wielki spokój, stałem się znów sobą, ale trochę usztywniony podjętym postanowieniem. Gdy miną święta, cała rodzina wyjedzie i pozostaną tylko z Esme, zacznę pisać moją opowieść.

Wróciwszy do domu stwierdziłem, że Isobel i Aubrey poszli na górę, by wspólnie przeżywać radość skradania się z napeczniałymi pończochami dla swoich małych synków, Edmund zabrał się do czytania, Oliver i Will udali się do starej bawialni po drugiej stronie domu, gdzie stał poobijany stół bilardowy, a Esme sprzątała salon, szykując się do pójścia spać. Nie skomentowała ani słowem wieczornego incydentu, ale miała zaniepokojoną minę, toteż musiałem wymyślić na poczekaniu jakąś wymówkę. Przypisałem moje zachowanie ostremu napadowi niestrawności. Zajrzałem do kominka, zdusiłem ogień i postukałem fajką o obramowanie. Znowu byłem spokojny i pogodny. Nie przejmowałem się już myślami o okropnościach, jakie być może będę musiał znieść we śnie czy na jawie, w trakcie nadchodzących nocnych godzin.

Jutro Boże Narodzenie, a ja wyczekiwałem jego nadejścia gorąco i z zadowoleniem, pewny, że będzie to czas rodzinnych radości i uciech, miłości i przyjaźni, zabawy i śmiechów.

A jak wszystko to się skończy, zabiorę się do pisania.

LONDYŃSKI SMOG

Tamtego popołudnia w listopadowy poniedziałek robiło się już ciemno. Nie z powodu późnej godziny - była dopiero trzecia - lecz mgły, najgęstszej odmiany londyńskiej „grochówki”, która osaczała nas ze wszystkich stron od świtu, jeśli w ogóle można było mówić o świcie, gdyż mgła praktycznie nie pozwalała, aby choć odrobina dziennego światła przedarła się przez obrzydliwie mroczne powietrze.

Mgła wisiała nad rzeką, skradała się wąskimi alejkami i przejściami, kłębiąc się gęstym oparem między bezlistnymi drzewami wszystkich miejskich parków i ogrodów, ale wciskała się też do domów, przenikała przez szczeliny i szpary niczym kwaśny oddech, wślizgując się przy każdym otwarciu drzwi. Ten żółty i brudny, cuchnący smog zatykał oddech i oślepiał, zamazywał

i plamił wszystko. Mężczyźni i kobiety poruszali się po omacku. Brali życie w swoje ręce, potykając się na chodnikach, przytrzymując się poręczy i jedno drugiego, żeby się nie zgubić.

Wszelkie odgłosy były stłumione, a kształty rozmazane. Smog zjawił się trzy dni wcześniej i wydawało się, że nie ma zamiaru odejść. Przypuszczam, że sumował cechy wszystkich takich mgieł - był groźny i złowroźbny, przemieniał znany świat i wprawiał w zakłopotanie poruszających się w nim ludzi, strapionych tym, że muszą zakrywać oczy i kręcić się w kółko, tak jakby bawili się w ciuciubabkę.

Jednym słowem, była to nędzna pogoda dorównująca nastrojom, jakie dominują w tym najbardziej ponurym miesiącu całego roku.

Łatwo by było obejrzeć się za siebie i uwierzyć, że przez cały ten dzień towarzyszyło mi przeczucie nadchodzącej podróży, że jakiś szósty zmysł, jakaś intuicja, która u większości ludzi leży pogrążona we śnie, poruszyła się we mnie i przeszła do stanu czuwania. Ale ja, w samym kwiecie moich lat młodzieńczych, byłem śmiałym, rzeczowym mężczyzną i nie odczuwałem absolutnie żadnego skrepowania ani lęku. Jeśli moje pogodne zazwyczaj usposobienie ustępowało jakiejś depresji, mogły ją wywołać wyłącznie taka mgła

i listopad, gdy jednakowo ponury nastrój ogarniał wszystkich mieszkańców Londynu. Jednak jeśli dobrze sobie przypominam, towarzyszyła mi wtedy wyłącznie ciekawość, zawodowe zainteresowanie tym, jakiego rodzaju zajęcie przygotował mi pan Bentley. Towarzyszyło temu mgliste przecucie przygody - ponieważ nigdy dotąd nie odwiedzałem tego odległego zakątka Anglii, do którego właśnie się udawałem -i pewna ulga połączona z perspektywą uwolnienia się od niezdrowej mgły i wilgoci. Co więcej, miałem zaledwie dwadzieścia trzy lata i zachowałem chłopięce zamiłowanie do wszystkiego, co miało jakiś związek z dworcami kolejowymi i podróżowaniem pociągiem z parową lokomotywą. Ale być może na szczególną uwagę zasługuje to, jak dobrze pamiętam najdrobniejsze szczegóły tamtego dnia. Nie zdarzyło się jeszcze nic niepomyślnego i byłem całkowicie spokojny. Gdy zamykam oczy, widzę siebie w taksówce, która sunie we mgle na dworzec King's Cross. Czuję zimną, wilgotną skórę siedzenia i nieopisany fetor mgły wciskającej się przez okno. Mam wrażenie, że moje uszy wypchane są watą. Kałuże miedzianożółtego światła sączyły się ze sklepów i z wyżej położonych okien domów

niczym z przypadkowych zakątków piekielnego kręgu, a mdłe odbłaski z suterren przypominały pochodnie palące się w jamie gdzieś pod nim. Na rogach ulic pojawiały się czerwone plamy żarzących się węgla sprzedawców kasztanów. Gdzie indziej pryskał i dymił złowieszczymi czerwonymi błyskami wielki, kipiący kocioł smoły szykowanej dla ludzi naprawiających jezdnię. W jeszcze innym miejscu kołysała się i migotała latarnia zawieszona wysoko przez latarnika.

Ulice wypełniały odgłosy zgrzytających hamulców i trąbiących klaksonów, a także pokrzykiwania setki szoferów i woźniców, oślepionych przez mgłę i zmuszonych do wolnej jazdy. Zerkając przez okno taksówki na tę ponurą scenerię, dostrzegałem jedynie upiorne sylwetki ludzi błędzących w mroku. Przechodnie owijali sobie usta i dolne części twarzy szalikami, woalkami i chustkami. A gdy znaleźli się na chwilę w jakiejś kałuży światła, ich oczy czerwieniały, a twarze nabierały demonicznego wyglądu.

Pokonanie około mili, dzielącej okolice sądów od dworca, zajęło nam prawie pięćdziesiąt minut, a ponieważ nie miałem nic do roboty i przewidziałem, że początek podróży będzie tak powolny, siedziałem spokojnie. Pocieszałem się, że jest to z pewnością jej najgorszy odcinek, i wracałem w myślach do rozmowy, jaką przeprowadziłem tego ranka z panem Bentleyem.

Pracowałem właśnie pilnie nad jakimiś nudnymi szczegółami przeniesienia dzierżawy nieruchomości, zapominając na chwilę o mgle, która napierała niczym owłosiona bestia na okno za moimi plecami, gdy do środka wszedł kancelista Tomes, żeby wezwać mnie do pana Bentleya. Tomes był niskim, chudym jak patyk mężczyzną o cerze przypominającej łożową świecę. Cierpiał na przewlekły katar, który zmuszał go do kichania co dwadzieścia sekund, toteż został umieszczony w ciasnym kącie przy zewnętrznym korytarzu. Trzymał tam księgi i z melancholijną miną cierpiénika przyjmował gości, którym bez względu na to, z czym przyszli do notariusza, przywodziła ona na myśl testamenty i ostatnie rozporządzenia.

Pan Bentley miał przed sobą właśnie ostatnią wolę i testament, gdy wszedłem do jego dużego, wygodnego pokoju z szerokim wykuszowym oknem, z którego w lepszych czasach otwierał się ładny widok na gmach sądu i ogrody oraz nieustające wędrówki połowy londyńskiej palestry.

- Usiądź, Arthurze, usiądź sobie.

Pan Bentley zdjął okulary, przetarł je energicznie i włożył z powrotem na nos, a potem rozparł się na krześle z miną człowieka zadowolonego

ze swego losu. Miał do opowiedzenia historię i bardzo lubił, gdy go słuchano.

- Nie sędzę, żebym ci kiedykolwiek wspomniał o tej nadzwyczajnej pani Drabio w?

Pokręciłem przecząco głową. W każdym razie rysowało się to bardziej interesująco niż przenoszenie umów dzierżawy.

- Pani Drablow - powtórzył pan Bentley i wziął do ręki testament, żeby pomachać nim w moją stronę przez olbrzymie biurko. - Chodzi o panią Drablow z Domu na Węgorzowych Moczarach. Pewno nie słyzałeś, że właśnie umarła.

- Ach, tak.

- Tak, właśnie. Odziedziczyłem Alice Drablow po moim ojcu. Jej rodzina powierzała swoje interesy tej firmie przez... Och... - Machnął ręką, cofając się w głąb poprzedniego stulecia, do czasów założenia kancelarii notarialnej Bentley, Haigh, Sweetman & Bentley.

- Ach, tak?

- Słuszny wiek - powiedział, powiewając znowu świstkiem papieru przed moim nosem.

- Miała osiemdziesiąt siedem lat.

- I, jak rozumiem, ma pan przed sobą jej ostatnią wolę?

- Pani Drablow... - Mój pryncypał podniósł nieco głos i zignorował moje pytanie zgodnie z zasadami, jakich trzymały się jego opowieści. - Pani Drablow była, jak to mówią, dziwaczką.

Kiwnąłem głową. Pracowałem w kancelarii od pięciu lat i zdążyłem się już przyzwycząić do tego, że spora część starszych klientów pana Bentleya należała do grona dziwaków.

- Słyzałeś kiedy o Ławicy Dziewięciu Topielców?

- Nie, nigdy.

- Ani nawet o Węgorzowych Moczarach?
- Nie, proszę pana.
- Przypuszczam też, że nie odwiedzałeś nigdy tamtejszego hrabstwa?
- Obawiam się, że nie.
- Każdy, kto by tam trochę pomieszkał -oznajmił w zamyśleniu pan Bentley - mógłby stać się dziwakiem.
- Mam jedynie mgliste pojęcie, gdzie to jest.
- W takim razie, mój chłopcze, idź do domu i spakuj się. Wsiądziesz do popołudniowego pociągu z dworca King's Cross, przesiądziesz się w Crewe, a potem jeszcze raz w Homerby. W Homerby wsiądziesz do lokalnego pociągu, który zawiezie cię do małego targowego miasteczka Crythin Gifford. Po czym będziesz musiał czekać na odpływ!
- Na odpływ?

- Drogę przez Ławicę można pokonać tylko podczas odpływu. Zaprowadzi cię ona na Węgorzowe Moczary i do tego domu.
- Do domu pani Drablow?
- Gdy zacznie się przyływ, zostaniesz odcięty od świata aż do następnego odpływu. Godne uwagi miejsce. - Pan Bentley podniósł się i podszedł do okna.
- Oczywiście, nie jeździłem tam od wielu lat. Kiedyś zabrał mnie tam ojciec. Pani Drablow nie przepadała za gośćmi.
- Była wdową?
- Została nią całkiem wcześnie, niedługo po wyjściu za mąż.
- Miała dzieci?
- Hm... dzieci... - Pan Bentley zamilkł na chwilę i przejechał palcem po szybie, tak jakby chciał rozpędzić półmrok, ale po drugiej stronie mgła wisiała dalej, żółtoszara i gęsta jak nigdy, chociaż tu i tam wokół dziedzińca sądu migotały niewyraźne światła w oknach pomieszczeń. Ozwało się bicie kościelnego dzwonu. Pan Bentley odwrócił się.
- Zgodnie z informacjami, jakie mamy o pani Drablow... - zaczął ostrożnie - to nie, nie miała dzieci.
- Może posiadała jakiś większy majątek w postaci pieniędzy albo ziemi? Czy jej sprawy były skomplikowane?

- Nie, Arthurze, ogólnie biorąc, nie. Oczywiście była właścicielką domu i miała kilka nieruchomości w Crythin Gifford, głównie sklepów, które wynajmowała dzierżawcom. No i jest tam też coś w rodzaju nędznej farmy, w połowie zalewanej wodą. Pani Drablow wydała trochę pieniędzy na usypanie tu i ówdzie jakichś grobli, ale bez większego skutku. Są też zwyczajne drobne powiernictwa i inwestycje.
- W takim razie jej sprawy wyglądają całkiem prosto.
- Rzeczywiście.
- Czy mogę zapytać, po co mam tam jechać?
- Żeby reprezentować tę kancelarię na pogrzebie naszej klientki.
- Ach, tak, oczywiście.
- Zastanawiałem się naturalnie, czy nie powinienem pojechać osobiście. Ale, prawdę mówiąc, od tygodnia dokucza mi znowu stopa. -Pan Bentley cierpiał na podagrę, której nigdy nie wymieniał z nazwy, chociaż ta dolegliwość nie dawała mu żadnego powodu do wstydu, jako że był człowiekiem wstrzemięźliwym.
- Poza tym prawdopodobnie będzie się chciał zobaczyć ze mną lord Boltrope. Nie powinienem się stąd ruszać, rozumiesz?
- Ach tak, oczywiście.

- A prócz tego... - zawiesił na chwilę głos -najwyższy czas, żeby zacząć obarczać cię poważniejszymi sprawami. A ta nie przekracza twoich możliwości, nieprawdaż?
- Z pewnością, mam nadzieję, że nie. Oczywiście, z wielką przyjemnością pojedę na pogrzeb pani Drablow.
- W tej sprawie chodzi też o coś więcej.
- W związku z testamentem?
- Tak, jest trochę spraw, którymi trzeba się zająć, związanych z nieruchomością. O szczegółach poczytasz sobie w czasie podróży. Ale przede wszystkim powinieneś przejrzeć dokumenty pani Drablow, prywatne papiery... co by to nie było. I gdzie by się nie znajdowało... - Pan Bentley odchrząknął. - Będziesz musiał przywieźć je tu, do kancelarii.
- Rozumiem.
- Pani Drablow nie była wielką... miłośniczką porządku, można tak powiedzieć. Może ci to zająć trochę czasu.
- Dzień lub dwa?
- Co najmniej dzień lub dwa, Arthurze. Oczywiście, sprawy mogły przybrać inny obrót, mogę się mylić co do tego... Wszystko może się znajdować w idealnym porządku i załatwisz to w ciągu jednego popołudnia. Jak ci powiedziałem, nie jeździłem tam od wielu lat.

Cała sprawa zaczynała wyglądać tak, jakby została wyjęta z wiktoriańskiej powieści, z samotnie żyjącą kobietą, która ukryła mnóstwo starych dokumentów gdzieś w czeluściach pogrążonego w nieładzie domu. Trudno mi było wziąć poważnie słowa pana Bentleya.

- Czy znajdę tam kogoś, kto będzie mógł mi pomóc?

- Cały majątek przechodzi na córkę i syna bratanicy pani Drablow, ale oni mieszkają od przeszło czterdziestu lat w Indiach. Była tam kiedyś gospodyni... Więcej dowiesz się po przybyciu na miejsce.

- Czy nasza klientka miała przyjaciół... lub może sąsiadów?

- Dom na Węgorzowych Moczarach położony jest daleko od najbliższego sąsiada.

- No a jako dziwaczka pewnie nie zaprzyjaźniła się z nikim, jak przypuszczam?

Pan Bentley zachichotał.

- Daj spokój, Arthurze, spójrz na sprawę z jaśniejszej strony. Potraktuj to jako wycieczkę. Podniosłem się z krzesła.

- Przynajmniej na parę dni uwolnisz się od tego wszystkiego - powiedział pan Bentley, wskazując ręką okno.

Kiwnąłem głową. Rzeczywiście, nie widziałem w tej wyprawie nic odpychającego, choć

zauważyłem, że pan Bentley nie mógł oprzeć się pokusie i uatrakcyjnił swoją opowieść. Nie poprzestał na faktach, ale podkreślił tajemniczość pani Drablow i jej dziwnego domu. Przypuszczałem, że będzie tam tylko zimno i nieprzyjemnie, nie mówiąc o trudach dostania się na miejsce. Dojdą do tego jeszcze pogrzebowa melancholia i szukanie papierów, które mogły zostać upchnięte pod łóżko na poddaszu w zakurzonej pudelku po butach i zawierać jedynie stare pokwitowania oraz bruliony z kłótliwymi listami do wszystkich bez wyjątku - zwykle rzeczy, jakich można się było spodziewać po takiej klientce. Gdy dochodziłem do drzwi, pan Bentley dodał:

- Dotrzesz do Crythin Gifford dziś późnym wieczorem i znajdziesz tam mały hotel, w którym będziesz mógł się zatrzymać na dzisiejszą noc. Pogrzeb zaplanowany jest na jutro rano, o jedenastej.

- A potem chce pan, żebym pojechał do jej domu?

- Poczyłem pewne przygotowania. Jest tam na miejscu człowiek, który się tym zajmie... Skontaktuje się z tobą.

- Tak, ale...

W tym momencie tuż obok mnie pojawił się pociągający nosem Tomes.

- Panie Bentley, przyszedł klient umówiony na dziesiątą trzydzieści.
- Dobrze, dobrze, wprowadź go.
- Jeszcze jedno, panie Bentley...
- O co chodzi, Arthurze? Przestań mi tu sterczeć w drzwiach, chłopcze, widzisz, że jestem zajęty.
- Czy nie powinien pan powiedzieć mi czegoś jeszcze? Ja...

Pan Bentley wyprosił mnie z pokoju niecierpliwym machnięciem ręki. W tym samym momencie wrócił Tomes, za którego plecami kroczył klient umówiony na pół do jedenastej. Wycofałem się.

Musiałem uporządkować biurko, potem wrócić do mieszkania i spakować torbę, a także poinformować gospodynię, że nie będzie mnie przez kilka dni, oraz napisać liścik do Stelli, mojej narzeczonej. Miałem nadzieję, że rozczarowanie, jakiego dozna z powodu mojej nagłej nieobecności, zostanie złagodzone dumą, że pan Bentley powierzył mi oto sprawę swojej firmy. To dobry znak dla moich przyszłych perspektyw, od których zależało nasze małżeństwo zaplanowane na przyszły rok.

A potem musiałem złapać popołudniowy pociąg do tego dalekiego zakątka Anglii, o którym

jeszcze kilka minut temu nie wiedziałem prawie nic. Gdy wychodziłem z budynku, posepny Tomes zastukał w szybę swojego ciasnego pomieszczenia i wręczył mi grubą brązową kopertę z napisem „Drablow”. Ścisnąłem ją pod pachą i wyskoczyłem na dwór, w zatykający gardło londyński smog.

PODRÓŻ NA PÓLNOC

Jak powiedział pan Bentley, bez względu na odległość i przygnębiający powód mojej podróży pozwoliła mi ona uciec od londyńskiego smogu. Nic nie mogło lepiej wpłynąć na poprawę mojego nastroju niż przeczucie czekających mnie przyjemności i widok wielkiej czeluści dworca kolejowego, jarzącego się niczym wewnątrz kowalskiej kuźni. Panowały tu ogólny rozgardiasz i radość przygotowań do odjazdu. Kupiłem kilka gazet i żurnali w dworcowym kiosku, po czym lekkim krokiem ruszyłem na peron obok dymiącego, sapiącego pociągu. Przypominam sobie, że ciągnęła go lokomotywa z napisem „Sir Bedivere”.

Znalazłem miejsce w rogu pustego przedziału, umieściłem surdut, kapelusz i torbę na półce, po czym usiadłem z wielkim zadowoleniem. Gdy

wyjechaliśmy z Londynu, mgła, chociaż utrzymywała się ciągle na przedmieściach, zaczęła blednąć i rozpadać się na pasma, co mnie bardzo ucieszyło. Do mojego przedziału weszło kilku innych pasażerów, ale, kiwnąwszy tylko głową, podobnie jak ja pograżyli się w lekturze gazet i innych papierów, toteż w milczeniu przebyliśmy ładnych parę mil w kierunku serca Anglii. Za oknami niebawem zapadł mrok i po zaciągnięciu zasłon w przedziale zrobiło się przytulnie niczym w oświetlonym lampą gabinecie.

W Crewe przesiadłem się bez kłopotu, po czym ruszyłem w dalszą drogę, która, jak zauważyłem, wiodła ku północnemu wschodowi. Zjadłem przyjemną kolację. Dopiero po drugiej przesiadce na małej stacji Homerby do pociągu, który kursował na bocznej linii, poczułem się mniej komfortowo. Powietrze było tu znacznie chłodniejsze, a wiatr, wiejący porywami ze wschodu, nieprzyjemnie zacinał deszczem. Wagony w pociągu, którym miałem odbyć ostatni odcinek mojej podróży, były stare i miały ławki z bardzo twardymi obiciami ze skóry, wypchanej sztywnym końskim włosiem, oraz półki z drewnianych listewek. W przedziałach unosił się zatęchły zapach, okna były oblepione brudem, a podłoga niezamieciona.

Aż do ostatniej chwili wyglądało na to, że będę jedynym pasażerem nie tylko w moim przedziale, ale także w całym pociągu. Jednak dokładnie w chwili, gdy usłyszałem gwizdek zawiadowcy, w wejściu na peron ukazał się jakiś człowiek. Rozejrzał się szybko po niewesołym rzędzie pustych wagonów, zauważył mnie w końcu i, najwyraźniej pragnąc mieć jakiegoś towarzysza podróży, wszedł do mojego przedziału i zamknął drzwi w chwili, gdy pociąg zaczął się powoli toczyć. Powiew zimnego, wilgotnego powietrza, które wpadło wraz z nim do środka, sprawił, że w przedziale zrobiło się jeszcze zimniej. W chwili, gdy nieznajomy zaczął rozpinąć płaszcz, zauważyłem głośno, że wieczór zapowiada się dość nieciekawie. Przyjrzał mi się badawczo od stóp do głów, choć bez żadnych nieprzyjaznych intencji. Rzucił okiem na moje rzeczy na półce i dopiero wtedy potakująco kiwnął głową.

- Zdaje się, że zamieniłem jeden rodzaj kiepskiej pogody na inny. Wyjechałem z Londynu, który był w objęciach niesamowitej mgły, a tu, na północy, panuje wystarczający chłód, żeby można się było spodziewać śniegu.

- Nie będzie śniegu - odparł nieznajomy. - Wiatr wywieje się do rana i zabierze ze sobą deszcz.

- Miło mi to słyszeć.

- Ale jeśli pan myśli, że wybierając się na północ, uciekł pan przed mgłą, to jest pan w błędzie. W tej części Anglii dopadają nas często mgły od morza.

- Od morza?

- Tak, od morza. Morskie mgły i opary. Potrafią błyskawicznie nadciągnąć na ląd przez bagna. Taką naturę mają te okolice. W jednej chwili jest jasno jak w czerwcowy dzień, a w następnej... -Machnął ręką, aby podkreślić dramatyczną nagłość tych ataków. - Okropność. Ale jeśli ograniczy pan swój pobyt tylko do Crythin, nie zobaczy pan ich najgorszej postaci.

- Zamierzam spędzić tam noc, w hotelu Gifford Arms. I jutrzejszy ranek. A potem wybiorę się, żeby rzucić okiem na trzęsawiska.

Po czym, nie mając szczególnej ochoty na omawianie z nim moich spraw, sięgnąłem znowu po gazetę i otworzyłem ją z pewną ostentacją, dzięki czemu przez jakiś czas trzęśliśmy się tym paskudnym pociągiem w ciszy przerywanej jedynie sapaniem parowozu i stukotem stalowych kół po szynach. Od czasu do czasu dobiegał nas gwizd i rozlegało się bębnienie deszczu o szyby przypominające ogień lekkiej artylerii.

Zaczynałem odczuwać zmęczenie podróżą, zimnem i siedzeniem bez ruchu, podczas gdy pociąg trząsał i rzucał mną na wszystkie strony. Zateęskniłem za kolacją, kominkiem i ciepłym łóżkiem. Chociaż chowałem się nadal za stronicami gazety, przeczytałem ją już w całości i zacząłem rozmyślać o moim towarzyszu podróży. Był to wysoki mężczyzna, o

mięsistej twarzy i wielkich, krzepkich dłoniach. Mówił ładnie, ale z dziwnym akcentem, który przyjąłem za miejscowy. Mógł mieć pod sześćdziesiątkę i odziany był w ubrania dobrej jakości, ale niezbyt gustownie skrojone, a na palcu lewej dłoni nosił gruby, rzucający się w oczy pierścień do pieczętowania. Było w tym coś trywialnego, godnego jakiegoś nuworysza. Doszedłem do wniosku, że to mężczyzna, który niedawno i nieoczekiwanie dorobił się większych pieniędzy lub może je przejął, i z przyjemnością demonstrował to światu.

Dokonawszy na mój młodzieńczy i zarozumiały sposób tej oceny, powędrowałem myślą z powrotem do Londynu i do Stelli. Było mi zimno i bolały mnie stawy. Mój towarzysz podróży przestraszył mnie nagle, mówiąc:

- Pani Drablow.

Opuściłem gazetę i uświadomiłem sobie, że jego głos odbija się w przedziale tak głośnym echem ze względu na to, że pociąg się zatrzymał i jedynym odgłosem dochodzącym z dworu było

pojękiwanie wiatru i ciche syczenie pary daleko przed nami.

- Drablow - powtórzył mężczyzna, wskazując brązową kopertę z papierami, którą rzuciłem na siedzenie obok mnie.

Kiwnąłem sztywno głową.

- Nie przypuszczam, żeby był pan jej krewnym? - zagadnął.

- Jestem jej notariuszem. - Byłem raczej zadowolony ze sposobu, w jaki to zabrzmiało.

- Ach! Jedzie pan na pogrzeb?

- Tak, w istocie.

- Będzie pan zapewne jego jedynym uczestnikiem lub coś koło tego.

Oczywiście chciałem dowiedzieć się czegoś więcej. Było jasne, że mój towarzysz podróży jest poinformowany o sprawach pani Drablow.

- Domyślam się, że nie miała przyjaciół ani bliskiej rodziny, że prowadziła raczej pustelniczy żywot? Cóż, czasami tak bywa z kobietami w podeszłym wieku. Zwracają się ku sobie... Zaczynają zachowywać się ekscentrycznie. Przypuszczam, że powodem tego jest życie w samotności.

- Ośmielam się powiedzieć, że istotnie, panie...?

- Kipps. Arthur Kipps.

- Samuel Daily.

Skinęliśmy sobie głowami.

- No, a gdy się żyje samotnie w takim miejscu jak Dom na Węgorzowych Moczarach, przychodzi to dużo łatwiej.

- Zaraz, zaraz - oznajmiłem z uśmiechem - chyba nie zaczniesz mi pan opowiadać dziwnych historii o samotnie stojących domach?

Pan Daily popatrzył na mnie z powagą.

- Nie - odparł w końcu - nie zamierzam tego robić.

Wzdrygnąłem się bezwiednie, może pod wpływem otwartości jego spojrzenia i bezpośredniego sposobu bycia.

- No cóż - powiedziałem w końcu - mogę rzec tylko tyle, że smutno się robi, gdy ktoś żyje osiemdziesiąt siedem lat i nie może liczyć na to, że na jego pogrzebie zbierze się kilka przyjaznych twarzy.

Po czym przetarłem dłonią okno, próbując wyrzeć w ciemność. Wydawało się, że stoimy w szczerym polu wystawieni na całą siłę wiatru, który na nim szalał.

- Ile zostało nam jeszcze do przejechania? - Starąłem się nie okazywać niepokoju, ale odnosiłem niemiłe wrażenie, że jestem odizolowany, daleko od jakiegokolwiek ludzkiej siedziby, zamknięty w tym lodowatym, podobnym do

grobowca kolejowym wagonie, z jego przezartym lustrem i pokrytym plamami obiciem ze skóry. Pan Daily wyjął zegarek.

- Dwanaście mil. Czekamy, aż pociąg z przeciwka przejedzie przez tunel Gapemouth. Wzgórze, przez które go przekopano, jest ostatnim wzniesieniem na przestrzeni wielu mil.

Przybył pan do równinnego kraju, panie Kipps.

- Z pewnością przyjechałem do krainy, w której różne miejsca mają dziwne nazwy. Dziś rano usłyszałem o drodze przez Ławicę Dziewięciu Topielców i o Węgorzowych Moczarach, a wieczorem o tunelu, którego nazwa znaczy tyle, co „rozdziawiona gęba”.

- To jest w istocie daleki zakątek. Nie odwiedza nas zbyt wielu gości.

- Może dlatego, że nie ma tu nic wielkiego do oglądania.

- To zależy, co pan rozumie pod słowem „nic”. Są zatopione kościoły i wioska, którą pochłonęły bagna - zachichotał pan Daily. - To wyjątkowo dobre przykłady tego, co pan określił jako „nic wielkiego do oglądania”. No i mamy nie najgorsze, zaniedbane ruiny opactwa z niebrzydkim cmentarzem. Można się tam dostać w czasie odpływu. Wszystko zależy od tego, co przemawia do pańskiej fantazji.

- Zacheęca mnie pan niemal, żebym zatęsknił za londyńskim smogiem!

Dał się słyszeć gwizd lokomotywy.

- Jedzie.

Chwilę potem z paszczy tunelu Gapemouth wyłonił się pociąg jadący z Crythin Gifford do Homerby i obok nas przejechało ze stukotem kilka pustych, żółto oświetlonych wagonów, które rozplynęły się w ciemności, a zaraz potem my znaleźliśmy się znowu w drodze.

- Znajdzie pan przyzwoitą gošcinę w Crythin, choć to takie zwykłe, małe miasteczko.

Zbiliśmy się tam w gromadkę plecami do wiatru i jakoś żyjemy, zajmując się naszymi sprawami. Jeśli zechce pan pojechać ze mną, podwiozę pana do hotelu Gifford Arms. Na stacji będzie czekał mój samochód, a hotel jest po drodze.

Wyglądało na to, że chce mnie podnieść na duchu i wynagrodzić drażniącą przesadę w malowaniu mrocznych i dziwnych cech tej okolicy, toteż podziękowałem i przyjąłem propozycję, po czym obaj zajęliśmy się znowu czytaniem, żeby wypełnić czymś kilka ostatnich mil tej nudnej podróży.

POGRZEB PANI DRABLOW

Pierwsze wrażenia, jakie odniosłem na widok małego targowego miasteczka Crythin Gifford -w gruncie rzeczy wyglądało na niewiele większe od dużej wsi - były wyraźnie pozytywne. Automobil pana Daily'ego, lśniący, obszerny i obity pluszem pojazd, jakim nie jechałem nigdy wcześniej, prędko zawiózł nas do odległego ledwie o milę od maleńkiej stacji kolejowej placu targowego, gdzie zatrzymaliśmy się przed wejściem do zajazdu Gifford Arms.

Gdy szykowałem się, żeby wysiąść, pan Daily wręczył mi wizytówkę.

- Gdyby pan kogoś potrzebował...

Podziękowałem, zapewniając jednak, że wydaje mi się to zupełnie nieprawdopodobne, jako że wszelkiego rodzaju praktycznej pomocy, jakiej mógłbym potrzebować przy załatwianiu

spraw zmarłej pani Drablow, miał mi udzielić lokalny agent, a nie zamierzałem pozostać tu dłużej niż dzień lub dwa. Pan Daily nie odpowiedział, ale posłał mi szczere, mocne spojrzenie, a że nie chciałem okazać się nieuprzejmy, wsunąłem ostrożnie jego wizytówkę do kieszeni kamizelki. Dopiero wtedy rzucił coś szoferowi i odjechał.

„Znajdzie pan przyzwoitą gošcinę w Crythin”, powiedział mi wcześniej, i tak też było. Gdy zobaczyłem w salonie zajazdu ogień w wypełnionym polanami kominku, a koło niego obszerny fotel, i znalazłem kolejny ogień rozpalony po to, żebym mógł się ogrzać w ładnie umeblowanym pokoju na najwyższym piętrze budynku, humor poprawił mi się od razu i zacząłem się czuć raczej jak wczasowicz niż ktoś, kto przyjechał, żeby wziąć udział w pogrzebie i przejść przez wszystkie przykrości związane ze śmiercią klienta. Wiatr ustał lub może nie było go słycać pod osłoną budynków stojących wokół placu targowego, toteż wspomnienie dziwnego klimatu towarzyszącego mi od początku tej podróży znikło jak zły sen.

Właściciel zajazdu polecił mi szklanę wina z korzeniami. Wypiłem je, siedząc przed kominkiem i słuchając stłumionych głoów, jakie

dochodziły zza ciężkich drzwi prowadzących do baru. Gospodyni zaproponowała kolację - domowy rosół, polędwicę wołową, szarlotkę z rodzynkami i śmietaną oraz porcję sera marki Stilton. Czekaając na tę ucztę, napisałem krótki, miły list do Stelli, który zamierzałem wysłać następnego ranka. A gdy jadłem z apetytem posiłek, rozmyślałem o małym domku, na jaki moglibyśmy sobie pozwolić po ślubie. Oczywiście jeśli pan Bentley nadal będzie powierzał mi wystarczająco wiele odpowiedzialnych zadań w kancelarii, żebym mógł poprosić o podwyżkę.

W sumie, po opróżnieniu pół butelki czerwonego wina, które towarzyszyło mojej kolacji, byłem gotów iść na górę do łóżka, czując miłe ciepło w żyłach i pełne ukontentowanie.

- Domyślam się, że przybył pan tu na licytację - powiedział właściciel zajazdu, który stanął przy drzwiach, żeby mi życzyć dobrej nocy.

- Na licytację? Wydawał się zaskoczony.

- Och... pomyślałem, że przyjechał pan, żeby wziąć w niej udział... Odbędzie się tu duża licytacja kilku farm położonych na południe od miasta, a do tego jutro mamy dzień targowy.

- Gdzie będzie miała miejsce?

- Ależ tu, panie Kipps, o jedenastej w barze. Ogólnie biorąc, urządzamy te licytacje przeważnie w Gifford Arms, ale od wielu lat nie było tak dużej, jak ta. A potem będzie

lunch. W zwykły dzień targowy spodziewamy się, że trzeba będzie podać na górę czterdzieści lunchów, ale jutro będzie ich trochę więcej.

- W takim razie przykro mi, że mnie ona ominie... Chociaż mam nadzieję, że uda mi się przynajmniej obejść rynek.

- Nie mam zamiaru wścibiać nosa, sir... Byłem tylko pewien, że przyjechał pan na licytację.

- Wszystko w porządku... To całkiem naturalne, że tak pan pomyślał. Ale obawiam się, że jutro rano o jedenastej będę musiał dopełnić smutnego obowiązku. Przyjechałem tu, żeby wziąć udział w pogrzebie pani Drablow z Domu na Węgorzowych Moczarach. Może pan o niej słyszał?

Przez jego twarz przemknęło... No właśnie, co? Może zaniepokojenie? Podejrzliwość? Nie byłem tego pewien, ale nazwisko pani Drablow obudziło w nim jakieś silne emocje, których starał się nie okazywać.

- Tak, słyszałem o niej - powiedział obojętnym tonem.

- Reprezentuję kancelarię notarialną, która prowadziła jej interesy. Nigdy jej nie poznałem. Jak mi wiadomo, trzymała się raczej na uboczu?

- Trudno by jej było zachowywać się inaczej, mieszkając w takim miejscu - powiedział gospodarz, odwracając się raptownie w stronę baru. - Życzę panu dobrej nocy, sir. Śniadanie możemy podać o każdej porze, wedle życzenia. - Po czym zostawił mnie samego. Omal nie przywołałem go z powrotem, ponieważ jego zachowanie obudziło we mnie nie tylko ciekawość, ale i pewne poirytowanie. Przyszło mi do głowy, że mógłbym spróbować wyciągnąć z niego, co dokładnie miał na myśli. Byłem jednak zmęczony. Odrzuciłem ten pomysł, oceniając, że uwagi gospodarza odnoszą się do jakichś miejscowych opowieści i uprzedzeń przekraczających wszelkie proporcje, jak to się dzieje w małych, położonych na uboczu społecznościach, gdzie mieszkańcy mają do oglądania tylko samych siebie i starają się roztrząsać wszelkie melodramaty i tajemnice, jakie niesie ze sobą życie. Bo muszę powiedzieć, że w tym okresie miałem poczucie wyższości londyńczyka, oparte na niemal ostatecznie ukształtowanym przekonaniu, że prowincjusze - zwłaszcza zamieszkujący najodleglejsze kresy naszej wyspy - są bardziej podejrzliwi i przesądni, bardziej naiwni, bardziej tępi w myśleniu, niewyrafinowani i prymitywni niż my, kosmopolityczni mieszkańcy stolicy. Nie ulegało wątpliwości, że w takim miejscu jak to, z jego niesamowitymi trzęsawiskami, nagłymi mgłami, wyjąłymi wiatrami i

samotnymi domostwami, na każdą nieszczęsną starą kobietę spoglądano, by tak rzec, spode łba. W dawniejszych czasach mogła zresztą zostać naznaczona piętnem czarownicy, a po wiejskich okolicach nadal krążyły miejscowe legendy i opowieści, którym lekkomyślny ludek ciągle dawał wiarę, przynajmniej częściowo.

Co prawda, zarówno pan Daily, jak i właściciel zajazdu wyglądali na twardego człowieka obdarzonego zdrowym rozsądkiem, musiałem bowiem przyznać, że gdy padło nazwisko pani Drablow, i jeden, i drugi zamilkli nagle i obrzucili mnie tylko surowym, nieco dziwnym spojrzeniem. Mimo to nie miałem żadnych wątpliwości, że w tym, co pozostało niedopowiedziane, ukryte było jakieś znaczenie.

W każdym razie tej nocy - mając żołądek wypełniony domowym jedzeniem i odczuwając przyjemną senność wywołaną dobrym winem oraz widokiem ognia w kominku i zapraszających,

odrzuconych na bok nakryć głębokiego, miękkiego łóżka - stwierdziłem, że jestem skłonny cieszyć się pierwszą powierzoną mi sprawą i się nią zabawiać. A pełen tajemniczości nastrój potraktuję jak coś, co doda smaku i lokalnego zabarwienia mojej wyprawie. Najspokojniej zapadłem w sen. Wciąż jeszcze mam w pamięci wrażenie zapadania się coraz niżej i niżej w pożądane ramiona snu, otulony ciepłą i miękką pościelą, w poczuciu szczęścia i bezpieczeństwa, niczym mały bobas w pokoju dziecięcym. Przypominam sobie również, że gdy się obudziłem następnego ranka i otworzyłem oczy, ujrzałem smugi chłodnego słonecznego światła igrające na pochyłym białym suficie i doznałem rozkosznego uczucia rozluźnienia i odświeżenia umysłu i członków. Być może wrażenia te wracają do mnie tym żywiej, że pozostawały one w tak wielkim kontraście z tym, co miało nastąpić później. Gdybym wiedział, że po raz ostatni na wiele dni mogę się cieszyć niczym niezakłóconym, pokrzepiającym snem, a przed sobą mam jedynie mnóstwo przerażających, dręczących i męczących nocy, być może nie wyskoczyłbym z łóżka tak ochoczo, pragnąc jak najprędzej zejść na dół, zjeść śniadanie, a potem wyjść i rozpocząć nowy dzień.

Trzeba przyznać, że teraz, w moim późniejszym życiu, jestem szczęśliwy i spokojny w domu na Mnisiej Parceli u boku mojej ukochanej żony Esme tak, jak tylko może tego pragnąć mężczyzna. Co noc dziękuję Bogu, że to wszystko się już skończyło, nie wróci i pozostanie zamknięte na zawsze w dawno minionej przeszłości. Mimo to nie sądzę, abym kiedykolwiek po wydarzeniach, jakie zaszły w Domu na Węgorzowych Moczarach, spał tak dobrze, jak tamtej nocy w zajeździe w Crythin Gifford. Widzę, że pozostawałem wtedy jeszcze w stanie niewinności, która raz utracona przepada na zawsze.

Jasne słoneczne światło, które wypełniło mój pokój, gdy rozsunałem na bok kwieciste zasłony, nie było przelotnym, wczesnoporannym gościem. Coż za kontrast z mgłą w Londynie oraz wiatrem i deszczem w trakcie podróży do tego miasta poprzedniego wieczoru. Pogoda zmieniła się całkowicie, dokładnie jak to przewidział pan Daily. Wyszedłem z Gifford Arms po zaskakująco smacznym śniadaniu. Chociaż był to początek listopada i znajdowałem się chłodnym zakątku Anglii, powietrze było świeże, orzeźwiająca i przejrzyste, a niebo niebieskie niczym jajko

kosa. Małe, raczej nisko zabudowane miasteczko wzniesione było w większej części z kamienia i dość surowego szarego łupka, a domy ustawiono w zbitą ciasno, spoglądającą na siebie gromadkę. Obszedłem je, starając się uchwycić jego układ. Najpierw wszystkie rogi zwartego placu targowego, przy którym stał zajazd, a który teraz wypełnił się kramami i straganami, wozami, furgonami i przyczepami, szykując się do jarmarku. Odchodziła od niego pewna liczba prostych i wąskich uliczek. Ze wszystkich stron dobiegały mnie głosy ludzi, którzy pokrzykiwali do siebie, podnosząc płócienne markizy na straganach albo tocząc beczki po kocich łbach. Tą wesołą i celową krzątanią mógłbym się cieszyć w każdym innym miejscu, ale obszedłem plac z wielką ciekawością. Jednak gdy tylko odwróciłem się do niego plecami i ruszyłem jedną z alejek, wszelkie hałasy natychmiast ucichły i słyszałem już tylko odgłosy moich kroków przed spokojnymi fasadami domów. Nigdzie nie było najmniejszego wzniesienia ani pochyłości. Crythin Gifford okazało się absolutnie płaskie. Dotarłem do końca jednej z wąskich uliczek i znalazłem się od razu w szczerym polu. Ujrzałem ciągnące się jeden za drugim zagony, które sięgały aż po niewyraźnie rysujący się horyzont. Zrozumiałem wtedy, co pan Daily miał na myśli, mówiąc o mieście cisnącym się ku sobie plecami do wiatru. W istocie, z tego miejsca nie można było zobaczyć nic innego, tylko tylne ściany domów, sklepów i głównych budynków publicznych przy placu.

W jesiennym słońcu było trochę ciepła, a na nielicznych drzewach, jakie zobaczyłem, jednakowo pochylonych od przeważających wiatrów, ciągle wisiało kilka ostatnich brunatnych i złotych liści uczepionych gałęzi. Wyobrażałem sobie, jak ponura, szara i wyblakła musi być ta miejscowość w niosącym wilgoć deszczu i mgle. Jak udreńczona i zbita przez ciągnące się całymi dniami burze, które nie napotykały żadnej przeszkody w płaskiej otwartej okolicy. Jak kompletnie odcięta przez zamiecie śnieżne. Tego ranka odszukałem ponownie Crythin Gifford na mapie. Od północy, południa i zachodu otaczało je na przestrzeni wielu mil wiejskie pustkowia. Do Homerby, najbliższej miejscowości jakich takich rozmiarów, było ich dwanaście, do dużego miasta na południu - trzydzieści, a do jakiegokolwiek innej wioski w okolicy co najmniej siedem. Od wschodu były tylko bagna, za nimi rozciągało się wybrzeże, a dalej już tylko morze. Gdybym zatrzymał się tu dłużej niż jeden lub dwa dni,

z pewnością ten pobyt by mi nie posłużył. Mimo to, idąc z powrotem w kierunku rynku, czułem się jak u siebie w domu, zadowolony z tego, że tu przyjechałem, odświeżony promienną jasnością dnia i urzeczony wszystkim, co widziałem.

Gdy dotarłem z powrotem do hotelu, czekała na mnie wiadomość pozostawiona podczas mojej nieobecności przez pana Jerome'a, agenta, który zajmował się sprawami majątków i nieruchomości, jakie były w posiadaniu pani Drablow, a który miał mi towarzyszyć podczas pogrzebu. W grzecznym, formalnym piśmie proponował, że wróci o wpół do jedenastej, żeby zaprowadzić mnie do kościoła, toteż czas pozostały do tej godziny spędziłem, siedząc przy frontowym oknie salonu Gifford Arms, czytając poranne gazety i przyglądając się przygotowaniom na placu targowym. Także w hotelu panowała krzątanina, która, jak się domyślałem, miała związek z planowaną licytacją. Od strony kuchni, której drzwi otwierały się od czasu do czasu, buchały zapachy gotowanych potraw, pieczonego mięsa i chleba, pasztetów, placków i ciast, a z jadalni dochodził klekot naczyń stołowych. Kwadrans po dziesiątej chodnik przed hotelem zaczął się zaludniać zamożnie wyglądającymi farmerami w tweedowych tużurkach, którzy wymieniali pozdrowienia, ściskali sobie dłonie i kiwali z ożywieniem głowami w nawiązywanych rozmowach. Było mi smutno, że muszę porzucić to wszystko, ubrany w czarny garnitur i płaszcz, z czarną opaską na ramieniu, w czarnym krawacie i z czarnym kapeluszem w ręku. Zjawił

się pan Jerome - nie można się było pomylić co do niego, gdyż miał na sobie równie jednolity, ciemny ubiór - toteż uścisnęliśmy sobie dłonie i wyszliśmy na ulicę. Gdy przystanęliśmy na chwilę, żeby popatrzeć na kolorową, ruchliwą scenerię przed naszymi oczami, poczułem się jak duch na wesołym święcie, a nasze postaci wśród wszystkich tych ludzi w roboczych lub wiejskich strojach musiały przywodzić na myśl parę posepnych kruków. I w istocie, zdawali się wywierać tego rodzaju wrażenie na każdym, kto na nas spojrzeł. Gdy przechodziliśmy przez plac, odprowadzały nas zakłopotane spojrzenia, ludzie usuwali się lekko na bok, milkli i sztywnieli w środku rozmów tak, że w końcu poczułem się nieswojo, niczym jakiś parias. Ogarnęło mnie zadowolenie, gdy wydostaliśmy się z ciżby i ruszyliśmy jedną ze spokojnych uliczek, która, jak zauważył pan Jerome, prowadziła prosto do parafialnego kościoła.

Był to wyjątkowo drobny mężczyzna, miał zaledwie pięć stóp i dwa lub może trzy cale wzrostu. Z tyłu charakterystycznej okrągłej głowy zwisały mu smętnie rudawe frędzle włosów, które przypominały zmierzwiony obrębek podstawy abażuru. Trudno było określić jego wiek, równie dobrze mógł mieć trzydzieści pięć, jak też pięćdziesiąt siedem lat, a jego uprzejmy i formalny sposób bycia oraz nieco skryty wyraz twarzy nie zdradzały absolutnie żadnych cech jego osobowości, nastroju ani myśli. Był uprzejmy i rozmowny, ale nie było w tym cienia serdeczności. Wypytał mnie o moją podróż, o to, czy mi wygodnie w Gifford Arms, o pana Bentleya i o pogodę w Londynie, podał mi nazwisko księdza, który miał odprawić nabożeństwo żałobne, oraz wymienił liczbę nieruchomości - około pół tuzina - jakie pani Drablow posiadała w mieście i w jego pobliżu. A mimo to nie powiedział mi zupełnie nic, nic osobistego, nic odkrywczego ani bardziej interesującego.

- Domyślam się, że zostanie pochowana na cmentarzu przykościelnym? - spytałem.

Pan Jerome spojrział na mnie z boku i zauważyłem, że ma bardzo duże, lekko wyłupiate i blade oczy w kolorze ni to niebieskim, ni to szarym, które przywiodły mi na myśl oczy mewy.

- Tak, zgadza się.

- Czy jest tam grób rodzinny?

Milczał przez chwilę, przyglądając mi się znowu z uwagą, tak jakby próbował odkryć, czy za pozorną bezpośredniością mojego pytania nie kryje się jakieś inne znaczenie.

- Nie - odparł po chwili. - A przynajmniej... nie tutaj, nie na tym cmentarzu.

- W innym miejscu?

- Ono... nie jest już używane - odparł po chwili namysłu. - Tamtejszy teren nie nadaje się do tego celu.

- Obawiam się, że nie rozumiem...

W tym momencie zobaczyłem jednak, że dotarliśmy do kościoła. Na jego teren wchodziło się przez kutą żelazną bramę, między dwoma cisami, których gałęzie przewieszały się nad nią. Do samego kościoła prowadziła wyjątkowo długa, bardzo prosta dróżka. Po obu jej stronach, a także w głębi po prawej widać było kamienie nagrobne, ale po lewej stało też kilka budynków, które, jak się domyślałem, mieściły parafialną salę zebrań oraz - najbliższy kościołowi - szkołę. Obok górnej części jej ściany zawieszony był dzwon, a z wnętrza dochodziły dziecięce głosy.

Musiałem powstrzymać ciekawość, przestałem więc wypytywać o rodzinę Drabłowów

i miejsce pochówku jej członków. Podobnie jak pan Jerome, przybrałem profesjonalną, żalobną minę, gdy miarowymi krokami szliśmy do kościelnej kruchty. Stanęliśmy tam zupełnie sami, aby odczekać około pięciu minut, które wydawały się dużo dłuższe, aż przez bramę przetoczy się karawan, a z głębi kościoła wyjdzie proboszcz. We trójkę przyglądaliśmy się smętnej procesji karawaniarzy z zakładu pogrzebowego, którzy nieśli trumnę z panią Drablow, zbliżając się do nas powoli.

Był to w istocie melancholijny, krótki obrządek w zimnym kościele, przy tak małej liczbie uczestników. Zadrzałem na myśl, która nawiedziła mnie znowu, jak niewyobrażalnie smutne jest takie zakończenie całego ludzkiego żywota, od urodzin i lat dzieciennych, poprzez wiek dojrzały, aż do wyjątkowo późnej starości, gdy nie uczestniczy w nim żaden krewny ani serdeczny przyjaciel, a jedynie dwóch ludzi, których ze zmarłym nie wiąże nic więcej prócz spraw urzędowych. W dodatku jeden z nich nigdy, nawet przelotnie, nie widział tej kobiety za jej życia, a pozostali żalobnicy występują w jeszcze bardziej posępnej, zawodowej roli.

Jednakże pod koniec uroczystości usłyszałem delikatny szelest gdzieś za moimi plecami.

Odwróciłem się dyskretnie i dostrzegłem jeszcze jednego żałobnika - kobietę, która musiała wśliznąć się do kościoła, gdy nasz skromny pogrzebowy orszak był już w środku i zajął miejsca w ławkach. Stała zupełnie sama kilka rzędów za nami, bez ruchu, bez modlitewnika w ręku. Była odziana w najgłębszą czerń, w pełnym żałobnym stylu, który raczej wyszedł już z mody, jeśli nie liczyć, jak mi się wydawało, najbardziej formalnych okazji w kołach dworskich. Najwyraźniej jej suknie musiały zostać wyciągnięte z jakiejś starej skrzyni albo szafy, ponieważ ich czerń była trochę zrudziała. Na głowie miała przypominający czepek kapelusz, który ocieniał także twarz. Choć nie przypatrzyłem się jej dobrze, już szybkie spojrzenie pozwoliło mi zauważyć wystarczająco dokładnie, że kobieta cierpiała na jakąś mocno wyniszczającą chorobę, gdyż była nie tylko wyjątkowo blada - bardziej nawet niż mogło to wynikać ze skonstrastowania z jej czarnym strojem - ale, jak mi się wydawało, jej skóra, wraz z odrobiną ciała pod nią, była mocno naciągnięta na kościach. Wręcz połyskiwała kuriozalną, sinobiałą poświatą. Oczy kobiety wydawały się mocno zapadnięte w głąb oczodołów. W podobnym stanie były jej dłonie spoczywające na kościelnej ławce. Jakby głodowała. Mimo że nie

jestem żadnym medycznym ekspertem, słyszałem o pewnych przypadkach, które powodowały tak straszliwe spustoszenie, takie wyniszczenie ciała, i wiedziałem, że traktowano je przeważnie jako nieuleczalne. Wydało mi się rzeczą uderzającą, że ta kobieta, prawdopodobnie stojąca u progu śmierci, przywlokła się na pogrzeb innej. Nie wyglądała jednak staro. Skutki jej choroby sprawiały, że trudno było odgadnąć, w jakim mogła być wieku, ale prawdopodobnie miała nie więcej niż trzydzieści lat. Zanim się odwróciłem, postanowiłem, że po pogrzebie nawiążę z nią rozmowę, żeby się upewnić, czy mogę być jej w jakikolwiek sposób pomocny. Ale w chwili, w której mieliśmy ruszyć za proboszczem i trumną do wyjścia z kościoła, usłyszałem znowu cichy szelest sukni i uświadomiłem sobie, że owa kobieta wymknęła się na dwór. Podeszła do czekającego, otwartego grobu, choć stanęła kilka jardów dalej, za innym porośniętym mchem kamieniem nagrobnym, lekko się na nim wspierając. Jej postać, nawet w kryształowo przejrzystym, prześwietlonym promieniami słońca powietrzu i przy względnie ciepłej i pięknej pogodzie, odznaczała się tak uderzającym wymizerowaniem, tak bladą i pożółkłą cerą naznaczoną oddziaływaniem choroby, że nie byłoby grzecznie się jej

przyglądać. Bowiem w jej rysach obecne były ciągle słabe, ale utrzymujące się ślady dawnej, godnej uwagi piękności, a to z pewnością kazało jej tym bardziej dolegliwie odczuwać stan obecny, podobnie jak odczuwałaby go ofiara ospy czy innego okropnego zeszpecenia, na przykład od oparzenia.

No cóż, pomyślałem, być może koniec końców znalazł się ktoś, komu zależało na okazaniu zmarłej odrobiny ciepła i życzliwości. Ktoś, kto ma żywą świadomość, że taka odwaga i bezinteresowność nie pozostaną niezauważone i bez nagrody, jeśli jakakolwiek prawda tkwi w słowach, które właśnie wypowiedziano do nas w kościele.

Po chwili oderwałem wzrok od kobiety, utkwilem go w opuszczanej do ziemnego grobu trumnie i schyliłem głowę, aby pomodlić się w nagłym przypiływie zatroskania za duszę tej samotnej starej kobiety, i o błogosławieństwo dla naszej szarej grupki żałobników.

Gdy znowu uniosłem oczy, kilka jardów dalej zobaczyłem kosa siedzącego na ostrokrzewie i usłyszałem dobywającą się z jego otwartego dzioba przejmującą pieśń, która poniosła się w listopadowym słońcu. Chwilę potem uroczystość się zakończyła i odeszliśmy od świeżo

usypanego grobu. Zostałem nieco z tyłu za panem Jerome'em, jako że miałem zamiar zaczekać na schorowaną kobietę i zaoferować jej ramię, żeby ją odprowadzić. Ale nigdzie nie było jej widać.

Być może, nie chcąc nam przeszkadzać ani zwracać na siebie uwagi, odeszła równie dyskretnie, jak się pojawiła, gdy odmawiałem modlitwy, a ksiądz wypowiadał ostatnie słowa żałobnego obrządku.

Zatrzymaliśmy się na chwilę przy kościelnej bramie, aby wymienić kilka uprzejmych słów i uścisnąć sobie ręce. Skorzystałem z okazji i rozejrzałem się wokoło. Zauważyłem, że w jasny, słoneczny dzień można było sięgnąć wzrokiem daleko, poza kościół i cmentarz, gdzie połyskiwały srebrzystym blaskiem otwarte trzęsawiska i pas nadbrzeżnej wody. Lśnienia te były jeszcze jaśniejsze na linii horyzontu, nad którą rozciągało się niemal zupełnie białe, lekko migocące niebo.

Obejrzałem się za siebie i po drugiej stronie kościoła moją uwagę przykuło coś innego. Wzdłuż żelaznej balustrady okalającej małe, pokryte asfaltem boisko szkolne, stało około dwadzieścioro dzieci, po jednym między wspierającymi balustradę słupkami. Tworzyły rząd

bladych, poważnych twarzy z wielkimi okrągłymi oczami, które oglądały nie wiadomo ile żalobnych obrządków. Wszystkie trzymały się mocno poręczy drobnymi rączkami, tkwiąc tam w milczeniu i niemal bez ruchu. Nie przypominały w niczym ożywionej zwykle, beztrosko rozbieganej dzieciarni. Wyglądały zadziwiająco poważnie i wzruszająco. Uchwyciłem spojrzenie jednego z chłopców i uśmiechnąłem się lekko. Nie odwzajemnił mojego uśmiechu.

Zobaczyłem, że pan Jerome czeka na mnie grzecznie na dróżce, i ruszyłem zwawo w jego stronę.

- Proszę mi powiedzieć, czy ta kobieta... -zagadnąłem, podchodząc do niego. - Mam nadzieję, że pokona sama drogę do domu, wyglądała na bardzo schorowaną. Kto to był?

Pan Jerome zmarszczył brwi.

- Młoda kobieta z wymizerowaną twarzą -ciągnąłem nalegającym tonem. - Stała trochę z tyłu w kościele, a potem na cmentarzu, kilka jardów od nas.

Pan Jerome znieruchomiał, wpatrując się we mnie.

- Młoda kobieta?

- Tak. Niemal skóra i kości, prawie nie mogłem na nią patrzeć... Była wysoka i miała na

głowie kapelusz w rodzaju czepka. Jak przypuszczam, żeby ukryć pod nim jak najwięcej twarzy, biedaczka.

Na kilka sekund na tej spokojnej i pustej, skąpanej w słońcu alejce zapadła cisza, jaka musiała teraz panować w kościele, cisza tak głęboka, że słyszałem pulsowanie krwi w moich uszach. Pobladły pan Jerome stał jak skamieniały, a jego gardło poruszało się, tak jakby chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wymówić ani sylaby.

- Czy coś panu dolega? - spytałem szybko. - Źle pan wygląda.

Pan Jerome zdołał w końcu potrząsnąć głową, a raczej, mógłbym powiedzieć, wstrząsnął się cały tak, jakby próbował najwyższym wysiłkiem pozbierać się po chwilowym szoku.

Na jego twarz nie wrócił rumieniec, a kąciki ust przybrały siny odcień.

- Nie widziałem żadnej młodej kobiety - rzekł w końcu przyciszonym głosem.

- Ależ, z pewnością... - Obejrzałem się przez ramię w stronę przykościelnego cmentarza i zobaczyłem, że nieznajoma znowu tam jest, mignęły mi jej czarne suknie i zarys czepka. Więc jednak nie odeszła, a tylko ukryła się za jakimś krzewem lub kamieniem nagrobnym. Albo może stała w cieniu kościoła, czekając, aż wyniesiemy się wszyscy, żeby mogła podejść do grobu, w którym dopiero co zostało złożone na wieczny odpoczynek ciało pani Drablow. Zadałem sobie znowu pytanie, co mogło ją łączyć ze zmarłą, jaka dziwna historia mogła się kryć za jej ukradkową wizytą i jakim skrajnie smętnym uczuciom oddawała się teraz, stojąc tam samotnie.

- Proszę spojrzeć - powiedziałem, wskazując ręką - jest tam znowu. Czy nie powinniśmy...
-Urwałem, czując, że pan Jerome chwyta mnie za nadgarstek i ściska go boleśnie.
Przyjrzałem się jego twarzy i zląkłem się, że za chwilę zemdleje albo załamie się wskutek jakiejś niedyspozycji. Zacząłem rozglądać się nerwowo, wodząc wzrokiem po opustoszałej dróżce. Zastanawiałem się, co mogę zrobić, dokąd się udać i kogo zawołać o pomoc. Grabarze już sobie poszli. Za moimi plecami były tylko szkoła i śmiertelnie chora młoda kobieta w stanie wielkiego stresu fizycznego i emocjonalnego. A obok mnie stał człowiek bliski załamania. Jediną osobą, do której być może mógłbym dotrzeć, był proboszcz przebywający gdzieś w głębi kościoła, ale gdybym miał po niego pójść, musiałbym zostawić pana Jerome'a stojącego samotnie na dróżce.

- Panie Jerome, proszę wziąć mnie pod rękę... byłbym panu wdzięczny, gdyby poluzował pan trochę swój uścisk. Może zdoła pan zrobić parę kroków z powrotem w stronę kościoła? Tą alejką... Widziałem tam ławkę, tuż za bramą, odpocznie pan na niej i zbierze siły, a tymczasem ja rozejrzę się za jakąś pomocą... Jakimś autem...

- Nie! - Z gardła pana Jerome'a dobył się niemal wrzask.

- Ależ, drogi panie!

- Nie. Przepraszam... - Mój towarzysz zaczął głęboko oddychać i kolory wróciły stopniowo na jego twarz. - Tak mi przykro. To nic... tylko przelotna słabość... Najlepiej będzie, jeśli uda się pan ze mną do mojego biura przy Penn Street, niedaleko placu.

Odniosłem wrażenie, że jego apatia ustąpiła podnieceniu i niecierpliwości, aby jak najprędzej opuścić teren kościoła.

- Jeśli jest pan pewien...

- Najzupełniej. Proszę ze mną... - odparł i ruszył spieszny krokiem, nie czekając na mnie. Zrobił to tak szybko, że zupełnie mnie zaskoczył i musiałem podbiec kilka kroków, żeby go dogonić. Maszerując w różnym tempie, po zaledwie paru minutach dotarliśmy z powrotem do placu, na którym targowe podniecenie doszło tymczasem do zenitu i w jednej chwili znaleźliśmy się między różnego rodzaju pojazdami, wśród pokrzykiwań sprzedawców, kramarzy i kupujących, a także pobekujących i porykujących, kwaczących,

gdaczących i popiskujących dziesiątków gospodarskich zwierząt. Zauważyłem, że gdy tylko stanęliśmy pośrodku tego rozgardiaszu, wygląd pana Jerome'a poprawił się, a po dotarciu do ganku Gifford Arms mój towarzysz był już niemal zupełnie odprężony i zdradzał nawet niejakie ożywienie.

- Przypuszczam, że zabierze mnie pan później do domu na Węgorzowych Moczarach - powiedziałem, gdy mimo moich nalegań pan Jerome odmówił zjedzenia ze mną lunchu. Na jego twarzy pojawił się znowu nieprzenikniony wyraz.

- Nie - odparł. - Nie pojedę tam. Może się pan tam dostać o każdej porze po godzinie pierwszej. Przyjedzie po pana Keckwick. To człowiek, który zawsze służył za pośrednika w kontaktach z tym domem. Domyślam się, że ma pan klucz?

Kiwnąłem potakująco głową.

- Zacznę od przejrzania papierów po pani Drablow i zaprowadzenia w nich jakiego takiego

porządku, ale przypuszczam, że będę musiał pojechać tam znowu jutro, a może nawet pojutrze. Być może pan Keckwick będzie mógł zawieźć mnie tam wcześniej rano i zostawić na cały dzień? Będę musiał rozejrzeć się po domu.

- Będzie pan uzależniony od pływów. Keckwick powie panu wszystko.

- Ale z drugiej strony - dodałem - jeśli się okaże, że może mi to zająć więcej czasu, niż przewidywałem, mógłbym może zatrzymać się po prostu w tym domu na kilka nocy? Czy ktoś miałby coś przeciwko temu? Wydaje się rzeczą śmieszną oczekiwać od tego człowieka, żeby mnie woził tam i z powrotem.

- Myślę - odparł pan Jerome, ostrożnie cedząc słowa - że będzie panu wygodniej mieszkać tu nadal.

- No cóż, przyjęli mnie tu bardzo gościnnie, a jedzenie jest pierwsza klasa. Być może ma pan słuszość.

- Tak uważam.

- O ile nie narazi to nikogo na jakieś kłopoty.

- Przekona się pan, że Keckwick jest bardzo usłużnym człowiekiem.

- To dobrze.

- Chociaż niezbyt rozmownym. Uśmiechnąłem się.

- Och, zaczynam się do tego przyzwyczajać. - Po czym uściśnąłem dłoń pana Jerome'a i

poszedłem na lunch, który zjadłem w towarzystwie trzech czy czterech tuzinów miejscowych farmerów.

Była to wesoła i głośnie biesiada, której uczestnicy siedzieli przy trzech stołach ustawionych na kozłach i przykrytych długimi białymi obrusami, wołając do siebie na wszystkie strony o tym, co działo się na rynku, podczas gdy pół tuzina dziewcząt biegało tam i z powrotem, roznosząc tace z wołowiną i wieprzowiną, wazy z zupą, miski z jarzynami i dzbanki z sosem, a także kufle piwa ustawione na szerokich tacach, po dwa-naście naraz. Mimo iż nie wydawało się, żebym znał kogokolwiek z obecnych, i było mi trochę niezręcznie siedzieć w moim pogrzebowym stroju między farmerami, ubranymi w tweedowe surduty i kurtki, to jednak byłem wielce zadowolony. Bez wątpienia po części z powodu kontrastu między panującą tu wesołością a raczej deprymującym nastrojem ceremonii, w której uczestniczyłem wcześniej tego ranka. Nie rozumiałem większości rozmów, tak jakby wzmianki o wagach i cenach, plonach i rasach wymieniane były w jakimś obcym języku. Ale i tak z przyjemnością wsłuchiwałem się w ten gwar, jedząc

doskonały posiłek. Kiedy mój sąsiad po lewej stronie podsunął w moją stronę ogromny ser Cheshire, dając mi znaki, żebym ukroił sobie porcję, zapytałem go o licytację, która odbyła się wcześniej w zajeździe. Mężczyzna skrzywił się niechętnie.

- Licytacja poszła tak, jak można się było spodziewać, sir. Domyślam się, że pan też interesuje się ziemią?

- Nie, nie. Pytam, bo wspomniał mi o tym wczoraj wieczorem gospodarz zajazdu. Przypuszczam, że licytacja była całkiem poważna.

- Wystawiono bardzo duże areały. Połowa obejmowała ziemię położoną koło Crythin od strony Homerby, ale także kilka mil na wschód. W sumie cztery farmy.

- A czy ziemia w tej okolicy jest droga?

- Tak, sir, na niektórych obszarach. W okolicy, w której jest wiele nieużytków, ponieważ są to wszystko bagna i zasolone równiny, których nie da się zdrenować pod żadne rozsądne uprawy, każdy cal dobrej rolnej ziemi ma swoją wartość. Dziś rano wielu ludzi doznało tu zawodu.

- Domyślam się, że jest pan jednym z nich?

- Ja? Nie. Jestem zadowolony z tego, co mam, a gdybym nawet nie był, nie robiłoby to różnicy, bo nie mam pieniędzy, żeby dokupić więcej. Poza tym, mam dość rozsądku, żeby

nie stawać do rywalizacji z kimś takim, jak on.

- Ma pan na myśli człowieka, który dokonał zakupu?

- Tak.

Poszedłem za jego wzrokiem i spojrzałem w stronę sąsiedniego stołu.

- Ach! Pan Daily. - Albowiem przy jego drugim końcu rozpoznałem mojego towarzysza podróży z poprzedniego wieczoru, który trzymał w ręku wielki kufel i z zadowoloną miną rozglądał się po pomieszczeniu.

- Zna go pan?

- Nie. Spotkałem go, ale tylko przelotnie. Należy do wielkich posiadaczy ziemskich w tej okolicy?

- Tak.

- I z tego powodu pewnie nie jest zbyt lubiany?

Mój sąsiad wzruszył szerokimi ramionami, ale nie odpowiedział.

- No cóż, jeśli wykupi połowę hrabstwa - zauważyłem - to przypuszczam, że jeszcze przed końcem roku będę z nim robił interesy. Jestem notariuszem i zajmuję się sprawami zmarłej niedawno pani Alice Drablow z Domu na Węgorzowych

Moczarach. Całkiem możliwe, że jej nieruchomości zostanie we właściwym czasie wystawiona na sprzedaż.

Mój sąsiad przy stole nadal nie odzywał się przez jakiś czas, smarując masłem grubą kromkę chleba, a potem położył na niej ostrożnie parę skibek sera. Zegar na przeciwległej ścianie pokazywał, że jest wpół do drugiej, a ja chciałem się przebrać przed przybyciem pana Keckwicka, toteż miałem zamiar go przeprosić i iść na górę, gdy nagle przemówił.

- Wątpię - powiedział spokojnym tonem - żeby nawet Samuel Daily posunął się tak daleko.

- Odnoszę wrażenie, że nie w pełni pana rozumiem. Nie obejrzałem jeszcze w całości majątku pani Drabio w, ale domyślam się, że miała farmę położoną kilka mil od miasta,...

- Piach i żwir! - rzucił pogardliwym tonem mój sąsiad. - Pięćdziesiąt akrów, z czego połowa przez większą część roku pod wodą. Nic niewarte, a w dodatku Hoggets wydzierżawił to na całe życie.

- Jest też Dom na Węgorzowych Moczarach i ziemia, która go otacza. Czy nie nadałaby się pod jakąś uprawę?

- Nie, proszę pana.

- No cóż, a czy ten pan Daily nie zechciałby po prostu dodać jeszcze czegoś do swojego imperium, choćby po to, żeby móc powiedzieć, że to posiada? Pana słowa dają do zrozumienia, że to jest tego rodzaju człowiek.

- Być może jest taki. - Sąsiad wytarł usta serwetką. - Ale zapewniam pana, że nie znajdzie się nikt, kto zechciałby mieć z tym cokolwiek do czynienia, nawet Sam Daily.

- Mogę zapytać dlaczego?

Mówiłem raczej głośno, ponieważ zaczynały mnie niecierpliwie napomknienia i mroczone pomruki zgromadzonych tu ludzi, gdy tylko wspomniałem o pani Drablow i jej majątku. Miałem rację, chodziło po prostu o miejsce, na którego temat srożyły się uprzedzenia i plotki niemające nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Oczekiwałem, że krzepki skądinąd mężczyzna, który siedział na lewo ode mnie, szepnie, że gdyby zechciał opowiedzieć mi jakąś historyjkę, to być może by ją opowiedział albo i nie... Ale on zamiast tego odwrócił się ode mnie i nawiązał z sąsiadem po swej drugiej stronie dyskusję o zbiorach. Rozwścieczyła mnie ta powszechna tajemniczość i bezsens, toteż wstałem gwałtownie

i poszedłem do swojego pokoju. Dziesięć minut później, zmieniawszy pogrzebowy strój na mniej oficjalne i wygodniejsze ubranie, stałem na chodniku, czekając na przybycie auta, za którego kierownicą miał siedzieć człowiek o nazwisku Keckwick.

DROGA PRZEZ ŁAWICĘ

Nie pojawił się żaden samochód. Zamiast niego pod hotel Gifford Arms podjechała raczej podniszczona i nędzna konna dwukółka. Nie była całkiem nie na miejscu na placu targowym, gdyż tego ranka zauważyłem kilka podobnych wehikułów. Założyłem nawet, że i ten należał do jakiegoś farmera albo hodowcy bydła, i nie zwróciłem na niego uwagi, rozglądając się nadal za jakimś autem. W chwilę potem usłyszałem, że ktoś woła mnie po nazwisku.

Kucyk był małym, nędznie wyglądającym stworzeniem, które miało oczy osłonięte okularami, a woźnica, w wielkim kapeluszu naciągniętym nisko na czoło i w długim, kosmatym brązowym płaszczu, nie różnił się od niego i pasował do całego ekwipażu. Byłem zachwycony widokiem dwukółki, gdyż chciałem jak najprędzej

puścić się w drogę, toteż wskoczyłem do niej ochoczo. Keckwick ledwie rzucił na mnie okiem i, przypuszczając tylko, że już się rozsiadłem, cmoknął na konika i ruszył, torując sobie drogę przez zatłoczony plac w kierunku uliczki prowadzącej do kościoła. Gdy go mijaliśmy, próbowałem rzucić okiem na grób pani Drablow, ale zasłaniały go zarośla. Przypomniała mi się też chorobliwie wyglądająca samotna młoda kobieta i reakcja pana Jerome'a na moją wzmiankę o niej. Jednak po chwili byłem już zbyt pogrążony obserwacją otoczenia, w jakim się znalazłem, aby snuć dalsze rozważania o szczegółach pogrzebu i o tym, co zdarzyło się później. Znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni i zostawiliśmy małe, ciasne miasteczko Crythin Gifford za plecami. Wydawało się, że wokół nas, w górze i daleko przed nami jest tylko niebo i cienki pasek ziemi. Patrzyłem na ten zakątek świata tak, jak wielcy malarze krajobrazów spoglądali na Holandię albo na wiejską okolicę Norwich. Dzisiejszy dzień był zupełnie wolny od chmur, ale potrafiłem sobie wyobrazić, jak wspaniale mógłby wyglądać ten ogromny, zalegający we wszystkich kierunkach obszar nieba w szarym, zacinającym deszczu, z burzowymi chmurami wiszącymi nad wybrzeżem. Taki widok mógł tu dominować

w okresie lutowych powodzi, gdy bagna przyjmują stalowoszary odcień, a z nieba sączy się nieustanny deszcz. Albo w potężnych marcowych wichurach, gdy z góry spływa poszarpane światło, a cienie obłoków gonią się po zaoranych polach.

Dziś wszystko lśniło i rysowało się wyraźnie skąpane w potokach słonecznego światła, choć jego promienie przybladły już trochę, a niebo utraciło jasnoniebieski poranny koloryt i przybrało niemal srebrzysty odcień. Przemierzając żywo tę idealnie płaską okolicę, nie dostrzegłem żadnych drzew, lecz tylko mroczne, rozgałęzione, niskie żywopłoty.

Zaorana ziemia miała z początku ciemnobrązowy odcień i naznaczona była prostymi bruzdami. Stopniowo jednak zagony uprawnej gleby zaczęły ustępować połącim zwykłych dziko rosnących traw, dostrzegłem też groble i rowy wypełnione wodą, po czym zbliżyliśmy się do samych moczarów. Leżały ciche, spokojne i lśniące pod listopadowym niebem. Zdawały się rozciągać na wszystkie strony, jak okiem sięgnąć, stapiały się bez żadnych luk z przybrzeżnymi wodami i linią horyzontu.

Poczułem zawrót głowy od tego skończonego, zdumiewającego piękna i jego niczym niezakłóconej, szerokiej rozległości. Serce zabiło mi

żywiej na widok ogromu tych przestrzeni i przepastnych głębi nieba nad nimi po obu stronach dróżki. Przejechałbym tysiąc mil, żeby to zobaczyć. Nigdy nawet nie wyobrażałem sobie, że coś takiego istnieje.

Oprócz jednostajnego kłapania podków konika, terkotania kół i skrzypienia wozu słyszałem tylko odzywające się nagle bliskie i dalekie, ostre, niesamowite krzyki ptaków. Przejechaliśmy już ze trzy mile i nie minęliśmy żadnej farmy ani chaty, żadnego w ogóle mieszkalnego budynku, było to zupełne odludzie. A potem skończyły się żywopłoty i wydawało się, że podążamy w stronę prawdziwych krańców świata. Woda przed nami lśniła jak metal. Dostrzegłem biegnący przez nią szlak, podobny do śladu, jaki zostawia za sobą płynąca łódź. Gdy podjechaliśmy bliżej, zobaczyłem, że woda po obu jego stronach jest płytka i ledwo pokrywa pomarszczony piasek, a ów ślad ciągnący się przed nami jest w istocie wąską dróżką, która zdawała się prowadzić do samego wybrzeża. Wjechaliśmy na nią i uświadomiłem sobie, że musi to być owa Ławica Dziewięciu Topielców, tylko ona, nic innego. Byłem pewien, że po nadejściu przypływu znajdzie się szybko pod wodą, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów umożliwiających jej odnalezienie.

Od chwili, gdy najpierw konik, a potem dwu-kółka znalazły się na piaszczystej dróżce, odgłosy jazdy ucichły nagle i jechaliśmy niemal w ciszy, jeśli nie liczyć jedwabistego

syczenia piasku pod kołami. Tu i tam rosły kępki spłowiałych, bladych niczym kości trzciny, które co jakiś czas grzechotały sucho pod powiewem ledwo wyczuwalnego wietrzyku. Słońce za naszymi plecami odbijało się wokół w wodzie tak, że wszystko błyszczało i lśniło jak powierzchnia lustra. Niebo nad horyzontem nabrało słabego różowawego odcienia, który z kolei zaczął zabarwiać moczary i wodę. A ponieważ te lśnienia były tak ostre, że od ustawicznego wpatrywania się w nie rozboleły mnie oczy, uniosłem wzrok i ujrzałem przed sobą, jakby wyrastającą wprost z wody, wysoką, posępną budowlę z szarego kamienia zwieńczoną dachem z łupkowych dachówek, które połyskiwały teraz w promieniach słońca zimnym stalowym blaskiem. Budynek wznosił się niczym latarnia morska lub jedna z owych wież obronnych z czasów napoleońskich, rzucając śmiało wyzwanie szerokiemu pustkowiu moczarów i wybrzeża. Był to najdziwniej usytuowany dom, jaki kiedykolwiek widziałem lub mogłem sobie wyobrazić, samotny i surowy, ale także piękny. Gdy podjechaliśmy bliżej, zobaczyłem, że stoi na nieznacznym wzniesieniu, porośniętym

niemal ze wszystkich stron na przestrzeni trzystu lub może czterystu jardów jednostajną, wybieloną przez sól trawą, która na obrzeżach ustępowała żwirowi. Od strony południowej ta mała wyspa ciągnęła się przez obszar zarośli i odkrytego pola w kierunku rozpadających się ruin, które wyglądały jak pozostałości jakiegoś starego kościoła albo kaplicy.

Rozległ się szorstki hurkot, gdy wóz wjechał na kamieniste podłoże, a zaraz potem się zatrzymaliśmy. Dotarliśmy do Domu na Węgorzowych Moczarach.

Przez chwilę po prostu siedziałem bez ruchu. Rozglądałem się dokoła w zdumieniu, nie słysząc niczego prócz słabego szumu jesiennego wiatru oraz głosu ukrytego gdzieś ptaka, który zakrakał nagle. Poczułem dziwne wewnętrzne poruszenie zmieszane z...

przestrachem? Zupełnie nie wiem, jak to określić. Z pewnością czułem się wyobcowany, bo mimo obecności nieodzywa-jącego się ani słowem Keckwicka i jego kudłatego kucyka odnosiłem wrażenie, że jestem tu zupełnie sam, przed posepnym pustym domem. Ale nie bałem się - bo i czego miałbym się bać w tym tak niepospolitym i pięknym miejscu?

Wiatru? Krzyków bagiennych ptaków? Trzcin i spokojnej wody?

Wysiadłem z dwukółki i podszedłem do woźnicy.

- Jak długo ławica pozostanie przejezdna?

- Do piątej.

A więc nie byłbym w stanie zrobić nic więcej, jak tylko rozejrzeć się, zorientować w rozkładzie domu i rozpocząć poszukiwania papierów, zanim nadszedłby czas, aby Keckwick wrócił i zabrał mnie z powrotem do miasta. Nie chciałem opuszczać tego miejsca tak prędko. Byłem nim zafascynowany i chciałem, żeby woźnica sobie pojechał, żebym mógł obejść je swobodnie i powoli, wchłonąć je całe wszystkimi zmysłami, bez skrepowania niczyją obecnością.

- Niech pan posłucha - powiedziałem, podejmując nagle decyzję. - Byłoby rzeczą całkiem śmieszną, gdyby miał pan jeździć tam i z powrotem dwa razy na dzień. Najlepiej będzie, jeśli przywiozę tu moje bagaże, zabiorę trochę jedzenia i coś do picia, i zostanę tu na kilka nocy. Dzięki temu załatwię moje sprawy dużo sprawniej, a pan nie będzie musiał się mną kłopotać. Wrócę z panem do miasta dziś po południu, a jutro może by pan mógł przywieźć mnie tu jak najwcześniej, w zależności od pływów?

Czekałem. Zastanawiałem się, czy w związku z tym starymi, ponurymi pogłoskami nie będzie

chciał mnie odstraszyć lub może przedstawi jakieś argumenty, żeby wyperswadować mi moje plany. Keckwick zastanawiał się przez jakiś czas. Ale musiał w końcu uznać, że jestem zdecydowany postawić na swoim, bo tylko kiwnął głową.

- Albo może wolałby pan teraz zaczekać na mnie? Zajmie mi to jakieś dwie godziny. Niech pan wybierze rozwiązanie, które będzie dla pana najwygodniejsze.

Za całą odpowiedź Keckwick pociągnął za lejce i zaczął zawracać dwukółką. Kilka minut potem jego wóz oddalał się dróżką przez ławicę, zamieniając się w coraz mniejszą plamkę w niezmierzonej, szerokiej przestrzeni bagien i nieba. Odwróciłem się i podszedłem do frontowej ściany domu, dotykając palcami lewej dłoni klucza, który miałem w kieszeni.

Nie wszedłem jednak do środka. Nie chciałem tego robić, przynajmniej w tej chwili.

Pragnąłem wchłonąć całą tę ciszę i tajemnicze migotliwe piękno, wciągnąć do nosa dziwny słony zapach, który niósł się nieśmiało z wiatrem, wsłuchać się w najcichsze szelesty. Byłem świadom wyostrzenia się wszystkich moich zmysłów, i tego, że to niezwykle miejsce odciska się w moim umyśle, a także w głębinach mojej wyobraźni.

Przyszło mi do głowy, że jeśli zostanę tu przez jakiś czas, to najprawdopodobniej samotność i cisza opętają mnie całkowicie. Zacznę też pewnie podglądać ptaki, bo musiało tu żyć wiele rzadkich gatunków, brodzących i nurkujących, dzikich kaczek i gęsi, zwłaszcza na wiosnę i jesienią. Dzięki książkom i dobrej lornetce mógłbym prędko nauczyć się je

rozpoznawać po locie i wydawanych odgłosach. Wędrując wokół domu, zacząłem się nawet zastanawiać nad zamieszkaniem w tym miejscu i snuć nieśmiało romantyczne rojenia, jakby to było, gdybym osiedlił się tu ze Stellą, aby żyć we dwójkę w tym dzikim i odludnym miejscu - choć muszę przyznać, że dla wygody odsunąłem na bok kwestię, czym mógłbym się tu zająć, żeby zarobić na nasze utrzymanie, i czym wypełnilibyśmy upływające dni.

A potem, snując te fantazyjne rozmyślania, odwróciłem się od domu i ruszyłem przez otwarte pole w stronę ruin. Na prawo ode mnie, daleko na zachodzie, wielka, już niemal zimowa, złotoczerwona kula słońca zaczynała się zniżać nad horyzontem, rzucając na wodę ogniste strzały i krwistoczerwone smugi. Za to na wschodzie morze i niebo ciemniały stopniowo, przyjmując odcień jednolitej ołowianej szarości. Wiatr, który powiał nagle od morskiego brzegu, był zimny.

Zbliżyłem się do ruin i zobaczyłem wyraźnie, że są to istotnie pozostałości jakiejś dawnej kaplicy, być może należącej niegdyś do klasztoru, który zawalił się i rozsypał prawdopodobnie podczas nawałnic, zamieniając się w porośnięte trawą rumowisko. Teren opadał lekko w stronę brzegu morza, a kiedy przechodziłem pod jednym ze starych, ocalałych łuków, wystraszyłem ptaka, który wzniósł się w powietrze i odleciał nad moją głową z głośnym trzepotem skrzydeł i ostrym krakaniem, które odbijało się echem od zrujnowanych ścian, wzmocnione krakaniem w oddali innego ptaka. Było to brzydkie stworzenie o diabolicznym wyglądem, przywodzące na myśl jakiś gatunek morskiego sępa - jeśli takowy istnieje - toteż nie mogłem powstrzymać się od wzdrygnięcia, gdy jego cień przelatywał nade mną, i z ulgą popatrzyłem na jego niezdarny lot w stronę morza. A potem zobaczyłem, że ziemia pod moimi stopami i spadłe kamienie pokryte są ptasimi odchodami. Domyśliłem się, że ptaki te pewnie gniazdują i nocują w ruinach nad moją głową.

To odludne miejsce dość mi się zresztą spodobało i próbowałem wyobrazić sobie, jak może ono wyglądać w ciepły wieczór w środku lata, gdy od morza powiewają balsamiczne wietrzyki, kołysząc wysokimi trawami i dzikim kwieciem

o białych, żółtych i różowych płatkach, które pięło się i kwitło pośród pogruchotanych głazów. Myślałem o tym, jak cienie wydłużają się łagodnie, czerwcowe ptaki napełniają powietrze swoimi najpiękniejszymi śpiewami, a z oddali dochodzą ciche odgłosy bulgotania wody obmywającej nadbrzeżne piaski.

Tak rozmyślając, dotarłem do małego cmentarzyka otoczonego resztkami muru.

Zdumiony jego widokiem stanąłem jak wryty. Było tam może z pięćdziesiąt starych kamieni nagrobnych, z których większość pochyliła się lub zupełnie przewróciła.

Pokrywały je łąty zielonkawożółtych porostów i mchów, zbielałych od słonych wiatrów i noszących ślady padających tu przez całe lata intensywnych deszczy. Rumowiska były porośnięte trawą i zielskiem, a nawet nikły pod nimi zupełnie, zapadnięte w ziemię. Nie można już było odcyfrować żadnych nazwisk ani dat, a całe to miejsce tchnęło atmosferą upadku i zapomnienia.

Przede mną, tuż za zamienionymi w pył i gruz resztkami muru, otwierał się widok na szare wody przybrzeżne. Gdy stałem tak w zamyśleniu, słońce rzuciło ostatni błysk, a w trawach zaszeleściły nagle ostre porywy wiatru. Nad moją głową przeleciał, szybując w kierunku ruin, ten sam

nieprzyjemnie wyglądający ptak o węzowej szyi. Zobaczyłem, że w jego zakrzywionym dziobie wije się bezradna ryba. Gdy przyglądałem się lądowaniu ptaszyska na ruinach, stworzenie potrafiło kilka kamyków, które spadły i znikły mi z oczu.

Poczułem nagły chłód i uświadomiłem sobie wyjątkowo ponury, niesamowity nastrój tego miejsca w coraz głębszej szarości listopadowego popołudnia. Nie chcąc poddawać się zbyt niemu przygnębieniu, które mogłoby sprowadzić na mnie jakieś niezdrowe przywidzenia, już chciałem odejść i ruszyć z powrotem w stronę domu. Zamierzałem zapalić w nim jak najwięcej świec, a gdyby się dało, rozniecić nawet nieduży ogień w kominku i rozpocząć wstępne poszukiwania dokumentów pani Drablow. Ale odwracając się, obrzuciłem jeszcze raz spojrzeniem mały cmentarzyk i w tym momencie znowu ujrzałem kobietę z wymizerowaną twarzą, która była na pogrzebie pani Drablow. Stała po drugiej stronie cmentarnej parceli, przy jednym z niewielu trzymających się prosto kamieni nagrobnych. Miała na sobie te same suknie i czepek, który zdawał się jednak wystarczająco odsunięty do tyłu, abym mógł nieco wyraźniej odróżnić rysy jej twarzy. W niknącym świetle przedwieczornej szarówki bladość jej twarzy przywodziła na myśl już nie pozbawione rumieńców ciało, ale wręcz wysuszoną kość. Gdy widziałem ją wcześniej -choć za każdym razem był to za ledwie szybki rzut oka - na jej wymizerowanym obliczu nie dostrzegłem żadnego wyrazu. Ale wtedy byłem pod wrażeniem jej skrajnie

chorobliwego wyglądu. Teraz patrzyłem na nią tak długo, że oczy zaczęły mnie boleć. Wpatrywałem się w tę postać zaskoczony i zdziwiony jej obecnością, dochodząc do wniosku, że układ jej rysów coś jednak znaczy. Mógłbym określić to coś - choć słowa wydają mi się beznadziejnie ubogie, niezdolne do wyrażenia tego, co zobaczyłem - jako rozpaczliwą, bolesną wrogość. Kobieta wyglądała tak, jakby szukała czegoś, co pragnęła mieć lub czego potrzebowała. A raczej, co musiała zdobyć choćby za cenę życia, a co było jej niedostępne. I kierowała ku temu, kto ją tego czegoś pozbawił, najczystsza złość, nienawiść i odrazę, wkładając w to całą dostępną jej siłę. Jej skrajnie pobladła twarz, jej zapadnięte, ale nienaturalnie błyszczące oczy płonęły skoncentrowanym, pełnym pasji wzburzeniem, które się w niej kryło i wypływało nieprzerwanym strumieniem. Nie umiałem powiedzieć, czy jej nienawiść i wrogość były skierowane przeciwko mnie. Nie miałem absolutnie żadnego powodu, aby przypuszczać, że tak

mogło być, ale w tym momencie byłem daleki od opierania moich reakcji na rozsądku i logice. Gdyż nagłe pojawienie się kobiety w tym dziwnym, odizolowanym miejscu, w połączeniu ze straszliwym wyrazem jej twarzy, zaczęło napełniać mnie strachem. I musiałem przyznać, że nigdy dotąd nie opanował mnie on tak całkowicie, nigdy nie zaznałem tak przeraźliwego drżenia kolan i gęsiej skórki. Nigdy na moje czoło nie wystąpił tak zimny pot, a serce nie skoczyło mi do gardła, jakby chciało sięgnąć moich wyschniętych ust, po czym zaczęło walić w mej piersi niczym młot o kowadło. Nigdy też nie chwyciły mnie w swe szpony taka trwoga i przerażenie ani świadomość istnienia złych mocy. Stałem jak sparalizowany. Strach podpowiadał mi, żebym opuścił to miejsce, ale brakło mi sił, żeby odwrócić się i uciec. Miałem za to pewność, jakiej nie doświadczyłem nigdy dotąd, że w każdej chwili mogę paść trupem na tym nędznym skrawku ziemi. Kobieta poruszyła się pierwsza. Przesunęła się za kamień nagrobny i, trzymając się w cieniu padającym od muru, wśliznęła do jednej z wyrw i znikła.

W tej samej chwili, w której straciłem ją z oczu, zaczęły wracać mi siły, zdolność mówienia i poruszania się, a także poczucie, że ciągle żyję. Rozjaśniło mi się w głowie i nagle poczułem złość. Tak, złość na nieznaną za emocje, jakie we mnie obudziła, za zmuszenie mnie do przeżycia takiego strachu. Ten przyływ złości sprawił, że postanowiłem ruszyć za nią natychmiast i ją zatrzymać. A potem zadać jej kilka pytań i

zmusić ją do udzielenia wyczerpujących odpowiedzi, żeby dotrzeć do sedna tego, co się wydarzyło.

Pobiegłem, pokonując po dzikich trawach rosnących między grobami krótki dystans, jaki dzielił mnie od wyrwy w murze, i wyskoczyłem niemal na brzeg morza. Jeden czy dwa jardy dalej trawa ustępowała piaskowi, a potem płytkiej wodzie. Naokoło mnie rozciągały się trzęsawiska i płaskie ławice słonego piasku, stapiając się w oddali z wodami rosnącego przypływu. Widoczność sięgała wielu mil. Nie znalazłem żadnego śladu po kobiecie w czerni ani miejsca, w którym mogłaby się ukryć.

Nie zadałem sobie pytania, kim - lub może czym - była i jak rozplynęła się w nicości.

Starłem się nie myśleć o tym, ale czułem, że opuszczają mnie szybko ostatki energii, jaka mi pozostała, odwróciłem się i puściłem biegiem, żeby uciec od tego cmentarza, od ruin. I zostawić jak najdalej za sobą tę kobietę. Skupiłem wszystkie siły na biegu, słysząc tylko dudnienie moich stóp

na trawie i świst oddechu. Ani razu nie obejrzałem się za siebie.

Znalazłszy się znowu przed domem, byłem zlany potem z powodu wysiłku i targających mną skrajnych emocji. Gdy gmerałem przy zamku, ręka trzęsła mi się tak mocno, że klucz dwa razy wyśliznął mi się z palców i upadł na stopień schodków, zanim udało mi się w końcu otworzyć frontowe drzwi. Wszedłem do środka i zatrzasnąłem je za sobą z hukiem, który poniósł się po całym domu. Gdy uciszyły się jego ostatnie echa, wydawało się, że wszystko wróciło do normy. Zapadła wielka ogłuszająca cisza. Przez długi czas nie ruszałem się z mrocznej, wyłożonej boazerią sieni. Potrzebowałem czyjegoś towarzystwa i nie miałem go, potrzebowałem światła i ciepła, czułem, że muszę się napić czegoś mocnego, żeby się uspokoić. Ale bardziej niż czegokolwiek innego potrzebowałem wytłumaczenia. To godne uwagi, jak potężną siłą może być zwykła ciekawość. Aż dotąd nie zdawałem sobie z tego sprawy. Pomimo przeżycia silnego strachu, który mną wstrząsnął, pożerało mnie pragnienie odkrycia, kim jest osoba, którą widziałem, i skąd się wzięła. Wiedziałem, że nie spocznę, dopóki się tego nie dowiem. A tymczasem miałem świadomość, że nie odważę się pozostać tu i podjąć jakichkolwiek poszukiwań.

Nigdy nie wierzyłem w duchy. Lub raczej nie wierzyłem w ich istnienie aż do tego dnia, i podobnie jak większość rozsądnych młodych ludzi lekceważyłem wszelkie historie na ich temat, uznając je wyłącznie za zmyślenia. Byłem oczywiście świadom tego, że niektórzy ludzie mają lepsze wyczucie takich spraw i że istnieją historyczne miejsca mające opinię opętanych i nawiedzanych przez duchy. Ale z najwyższą niechęcią byłbym skłonny przyznać, że może się w tym kryć prawda, choćby nawet przedstawiono mi jakieś dowody. A nikt nigdy mi ich nie przedstawił. Zawsze zresztą uważałem za rzecz godną uwagi, że ukazywanie się duchów i podobne dziwne zjawiska zdają się zachodzić wyłącznie w różnych dalekich miejscach, a opowiadają o nich ludzie, którzy słyszeli o tym. od znajomych, którym mówił o tym jeszcze ktoś inny.

Ale właśnie teraz na tych trzęsawiskach, w dziwnym nienaturalnym świetle i na opuszczonym cmentarzysku widziałem kobietę, której sylwetka była najzupełniej materialna, a mimo to - nie miałem co do tego żadnych wątpliwości - pod pewnymi względami niewątpliwie upiorna. Odznaczała się koszmarną bladością, przerażającym wyrazem twarzy i odziana była w suknie, które zupełnie nie przystawały do dzisiejszej mody.

Trzymała się z dala ode mnie i nie odzywała się. Coś, co wiązało się z jej spokojną, milczącą obecnością - a trzeba zaznaczyć, że w obu przypadkach widziałem ją obok czyjegoś grobu - przemawiało do mnie tak mocno, że poczułem nieopisaną odrazę i strach. A przy tym ta kobieta ukazała mi się, a potem znikła w sposób, w jaki z pewnością nie mogłaby tego uczynić żadna rzeczywista, żyjąca i cielesna ludzka istota. A jednak... nie miała żadnych cech, jakimi według moich wyobrażeń powinien być obdarzony klasyczny „duch” czy „upiór”. Nie była przezroczysta ani nie miała mglistych konturów, ale sprawiała wrażenie realnej osoby. Stała tam, widziałem ją całkiem wyraźnie i byłem pewien, że mógłbym do niej podejść, zagadnąć ją i jej dotknąć.

Nie wierzyłem dotąd w duchy.

Czy istniało jakieś inne wytłumaczenie tego zjawiska?

Skądś, z mrocznych głębin domu doszedł odgłos bijącego zegara i wydobył mnie z rojeń. Wzdrygnąłem się, próbując wyrzucić z myśli nieznajomą widzianą na cmentarzu i skupiłem uwagę na domostwie, w którym się znalazłem.

Z przedpokoju, który miałem przed sobą, prowadziły na górę szerokie dębowe schody, a z boku zobaczyłem przejście do pomieszczenia, w którym, jak się domyślałem, musiały się mieścić kuchnia i kącik do zmywania naczyń oraz kredens do ich przechowywania.

Zauważyłem też kilka innych drzwi, wszystkie zamknięte. Zapaliłem światło w przedpokoju, ale żarówka świeciła bardzo słabo. Pomyślałem więc, że zanim zabiorę się do szukania papierów, najlepiej będzie obejść po kolei wszystkie pokoje i wpuścić do środka resztki dziennego światła.

Na podstawie tego, co usłyszałem na temat zmarłej pani Drabio w od pana Bentleya i tutejszych mieszkańców, nabrałem wszelkiego rodzaju szalonych wyobrażeń dotyczących jej domu. Spodziewałem się, że być może napotkam tu coś w rodzaju świątyni pamięci o minionych latach lub, jak w domu nieszczęsnej Miss Havisham, młodości właścicielki albo wspomnień z krótkiego okresu współżycia z mężem. Lub może będzie to po prostu dom zasnuty pajęczynami, pełen kurzu, starych gazet, rozrzuconych po kątach szmat, śmieci i wszelkiego rodzaju pozostałości po dziwaczce - wraz z jakimś na pół zagłodzonym kotem czy psem.

Gdy jednak zacząłem się rozglądać po pokoju porannym i salonie, a potem po bawialni, pokoju stołowym i gabinecie, nie znalazłem w nich nic odpychającego ani nieprzyjemnego. Co prawda

wszędzie unosił się nieokreślony, mdły zapach wilgoci i pleśni, jak w każdym domu, który przez jakiś czas pozostawał zamknięty, a zwłaszcza w takim, który podobnie jak ten położony był między bagnami a brzegiem morza, co narażało go na stałe zawilgocenie. Jednolite ciemne umeblowanie było staroświeckie, ale porządne, solidne i utrzymane we względnie dobrym stanie, choć najwyraźniej z wielu pomieszczeń nie korzystano zbyt często, może nawet nikt nie wchodził do nich od lat. Tylko mały salonik na drugim końcu wąskiego korytarza prowadzącego z przedpokoju wydawał się użytkowany dość często - prawdopodobnie pani Drabio w spędzała w nim większość czasu. We wszystkich pokojach stały oszklone biblioteczki pełne książek, a na ścianach wisiały solidnie oprawione obrazy, mroczne portrety i olejne przedstawienia starych budowli. Popadłem jednak w przygnębienie, gdy kluczami z pęku, który wręczył mi pan Bentley, zacząłem otwierać różne biurka, sekretarzyki i szuflady w stołach, gdyż wszystkie one zapełnione były plikami i pudłami papierów - przewiązanych wstążkami lub sznurkiem, pożółkłych ze starości listów, recept, dokumentów prawnych i notesów. Wyglądało to tak, jakby w ciągu swego życia pani Drablow nie wy-

rzuciła nigdy najmniejszego skrawka papieru ani listu. Ich wstępne choćby posortowanie zajęłoby mi znacznie więcej czasu, niż się spodziewałem. Mogło się okazać, że większość z nich pozbawiona jest wszelkiej wartości i nie przyda się na nic. Mimo to wszystkie one musiały zostać przejrane, zanim mógłbym zapakować i wysłać do Londynu cokolwiek, co mogło mieć jakiś związek z rozporządzeniem składnikami majątku i mogło zostać wykorzystane przez pana Bentleya. Wydawało się rzeczą oczywistą, że rozpoczynanie pracy od razu nie miało większego sensu. Zrobiło się późno, a ja byłem zbyt zdeprymowany przygodą na cmentarzysku. Obszedłem więc tylko cały dom, zaglądając do wszystkich pomieszczeń, ale nie znalazłem w nich nic specjalnie ciekawego ani eleganckiego. Wszystko było kuriozalnie bezosobowe. Meble, bibeloty i dekoracje stanowiły zbiór przedmiotów zgromadzonych przez osobę, która pozbawiona była większej indywidualności czy smaku, składając się na nieciekawą i raczej ponurą, niegościnną dom. Godne uwagi, wręcz nadzwyczajne było tylko jego położenie. Ze wszystkich okien - a w każdym pokoju były one wysokie i szerokie - rozciągał się widok na ten czy inny fragment bagien, wybrzeża i ogrom nieba. Teraz jednak, w przyćmionym świetle po

zachodzie słońca, ich kolorystyka była pozbawiona ostrości i głębi, wszystko zastygło w absolutnym bezruchu, nie było najmniejszego falowania wody, toteż niemal nie mogłem odróżnić linii czy przejścia dzielącego ląd od wody i nieba. Wszystko skąpane było w szarości. Udało mi się rozsunać story i otworzyć kilka okien. Wiatr ucichł zupełnie, słyszałem tylko dalekie syczenie wody podnoszącej się wraz z pełną przyływem. Nie mogłem pojąć, jakim sposobem samotna kobieta była w stanie znieść izolację w tym domu dzień po dniu i noc po nocy, w dodatku przez tyle lat. Ja na jej miejscu chyba bym zwariował. W istocie, zamierzałem poświęcić dosłownie każdą minutę na przeglądanie jej papierów bez żadnych przerw, aby skończyć z tym jak najprędzej. A jednak było coś dziwnie pociągającego w rozglądaniu się po tych dzikich, rozpościerających się szeroko trzęsawiskach, gdyż nawet teraz, w szarym zmierzchu, kryło się w nich nieklamane piękno. Na przestrzeni wielu mil nie było w nich absolutnie nic, na czym mógłbym oprzeć spojrzenie, a jednak nie mogłem oderwać od nich oczu. Ale na dziś miałem dość tych wrażeń. Dość samotności i wsłuchiwania się w ciszę przerywaną jedynie chlupotaniem wody, pojękiwaniem wiatru i melancholijnymi krzykami pta-

ków, dość tej monotonnej szarości i posepnego, starego domu. A ponieważ brakowało jeszcze przynajmniej godziny do powrotu Keckwicka i jego konnej dwukółki, postanowiłem wyruszyć pieszo i zostawić to miejsce za swoimi plecami. Pomyślałem, że ostry, żwawy marsz pozwoli mi otrząsnąć się z przygnębienia i przywróci dobry nastrój, nie mówiąc o pobudzeniu apetytu. A gdybym utrzymał dobre tempo, wróciłbym na czas do Crythin Gifford, oszczędzając drogi Keckwickowi. Zresztą nawet gdyby mi się to nie udało, spotkam go po drodze. Szlak przez łąwicę był ciągle widoczny, prosty jak strzeł, toteż raczej nie groziło mi, że zgubię drogę.

Pozamykałem okna, zaciągnąłem zasłony i w niknącym listopadowym zmierzchu zostawiłem Dom na Węgorzowych Moczarach jego własnemu losowi.

WOŁANIE NA MOCZARACH

Na dworze panował spokój, toteż, ruszywszy żwawo po żwirze, słyszałem tylko odgłosy moich kroków. Ale nawet one ucichły z chwilą, gdy wszedłem na trawę, zmierzając w kierunku dróżki przez łąwicę. Na niebie dojrzałem tylko kilka ostatnich mew, które leciały do swoich gniazd. Raz czy dwa obejrzałem się przez ramię, spodziewając się prawie, że zobaczę czarną sylwetkę kobiety podążającej moim śladem. Teraz byłem już niemal pewien, że po drugiej stronie owego cmentarzyska, gdzieś dalej, musiało być jakieś nachylenie czy zagłębienie terenu, może nawet samotny, niewidoczny domek. Gra światła w takim miejscu może sprawiać różne psikusy, a koniec końców, nie szukałem przecież miejsca, w którym mogła się ukryć, a tylko się rozejrzałem. Nic więc dziwnego, że niczego nie

dostrzegłem. Cóż, trudno. Na razie pozwoliłem sobie zapomnieć o żywiołowej reakcji pana Jerome'a tego ranka na moją wzmiankę o zagadkowej kobiecie.

Dróżka przez ławicę była nadal prawie sucha, ale na lewo ode mnie zobaczyłem wodę, która zaczynała podpływać coraz bliżej, powoli i w zupełnej ciszy. Zadałem sobie pytanie, jak głęboko dróżka zanurza się pod wodą, gdy przyływ osiąga maksimum. Ale w tak spokojny wieczór było dość czasu na to, aby bezpieczne przemierzyć cały dystans, choć teraz, gdy szedłem na piechotę, wydał mi się on dłuższy niż wtedy, gdy pokonywaliśmy go kłusa dwukólką Keckwicka, a koniec drogi przez ławicę zdawał się ginać w szarości, gdzieś daleko przede mną. Nigdy dotąd nie byłem aż tak zupełnie osamotniony ani nie czułem się taki mały i nic nieznaczący jak teraz, w tym rozległym krajobrazie, toteż - zadziwiony absolutną obojętnością wody i nieba na moją obecność - zatopiłem się w całkiem przyjemnym zadumaniu, popadając w iście filozoficzny nastrój.

Kilka minut później, nie mógłbym powiedzieć, ile ich upłynęło, z zadumy wyrwał mnie fakt, że nie sięgam już wzrokiem zbyt daleko przed siebie, a kiedy się odwróciłem, przestraszyło mnie odkrycie, że Dom na Węgorzowych

Moczarach również jest niewidoczny. Nie z powodu wieczornych ciemności, ale gęstej i wilgotnej morskiej mgły, która nadeszła na trzęsawiska i owinęła wszystko łącznie ze mną, zasłaniając dom za moimi plecami, koniec drogi przez ławicę i rolnicze tereny daleko przede mną. Ta mgła przypominała parę, przylepiała się jak kleista pajęczyna, delikatna, a jednak nieprzezroczysta. Pachniała i smakowała zupełnie inaczej niż żółta, brudna mgła w Londynie. Tamta wisiała ciężko i bez ruchu, zatykając gardło, ta była słonawa, lekka, o bladym odcieniu i przez cały czas wirowała przed moimi oczami. Poczuję się zakłopotany z powodu jej drażniącej natarczywości. Wydawało mi się, że wokół mnie pełzną miliony żywych palców, które czepiają się mnie, a potem przesuwają dalej. Moje włosy, twarz i rękawy płaszczka były już zroszone cienką warstwą wilgoci. Przede wszystkim jednak irytowała mnie i dezorientowała nagłość, z jaką opary osaczały mnie ze wszystkich stron.

Szedłem powoli przed siebie, zdecydowany trzymać się szlaku, dopóki nie dojdę do bezpiecznej gruntowej drogi przez pola. Ale zaczęła nachodzić mnie myśl, że gdybym tylko zszedł z prostej drogi przez ławicę, mógłbym się łatwo zagubić i błąkać bez końca przez całą noc. Pomyślałem, że najbardziej oczywistym i racjonalnym rozwiązaniem będzie, jeśli zawrócę i przemierzę z powrotem tych kilkaset jardów, jakie już pokonałem, a potem zaczekam w domu, aż mgła się przejaśni albo zjawi się Keckwick, żeby mnie zabrać do miasta.

Droga powrotna rychło zamieniła się w koszmar. Musiałem stawiać powoli krok za krokiem, obawiając się, że skrećę w trzęsawisko albo na teren zajęty przyływym. Gdy tylko spojrzałem w górę lub w bok, natychmiast myliła mnie płynąca, przesuwająca się mgła, toteż potykałem się, prąc do przodu i modląc się, żebym mógł dotrzeć do domu, który był dalej, niż sobie wyobrażałem. A potem, gdzieś daleko w kłębiącej się mgle i mroku usłyszałem odgłosy, które podniosły mnie na duchu - odległe, ale rozpoznawalne kłapanie podków konia, hurkotanie kół i skrzypienie wozu. Jak widać, Keckwick nie przejmował się mgłą, przyzwyczajony do jeżdżenia po polnych drózkach i przez łąwicę w ciemnościach. Zatrzymałem się i postanowiłem poczekać, aż ukaże się światło - bo z pewnością musiał zaopatrzyć się w latarkę. Zastanawiałem się, czy powinienem krzyknąć i dać o sobie znać na wypadek, gdyby wyjechał nagle prosto na mnie i zepchnął mnie do jakiegoś zagłębienia.

Po chwili zdałem sobie sprawę, że mgła zwodzi zarówno mój wzrok, jak i słuch, bo odgłosy dwukółki nie tylko oddaliły się ode mnie na czas dłuższy, niż mogłem się tego spodziewać, ale także wydawało mi się, że nie dochodzą bezpośrednio z za moich pleców, prosto wzdłuż dróżki przez ławicę, ale z miejsca położonego na prawo ode mnie, w głębi bagien. Próbowałem ustalić kierunek wiatru, ale nie wyczułem żadnych podmuchów. Obróciłem się naokoło, ale wtedy dźwięk znowu zaczął się oddalać. Zaintrygowany przystanąłem i zacząłem czekać, starając się usłyszeć coś przez mgłę. Odgłosy, które do mnie dotarły, zmroziły mnie i przerażyły, chociaż nie mogłem ani ich pojąć, ani określić miejsca, z którego dochodziły. Skrzypienie konnej dwukółki zaczęło cichnąć, po czym urwało się nagle i z oddali, z głębi moczarów, doszły mnie osobliwe, ciągnące się długo dźwięki jakby zatapiania się czegoś, bulgotania i chlupotania wody, którym towarzyszyło przeraźliwe rżenie i parskanie przestraszonego konia. A potem usłyszałem krzyki, wrzaski i straszliwe łkania - trudno je było określić - i z przerażeniem uświadomiłem sobie, że wydaje je małe dziecko. Stałem absolutnie bezradny we mgle, która otulała mnie i nie pozwalała mi nic zobaczyć, bliski rozplakania się w przystępie strachu i zupełnej dezorientacji. Nie miałem wątpliwości, że słyszę zatrważające ostatnie odgłosy wydawane przez konia i wóz wiozący dziecko i jakiegoś dorosłego - prawdopodobnie Keckwicka –

który nim powoził, a teraz rozpaczliwie walczył o życie. Jakimś sposobem zgubił drogę przez ławicę i wpadł w bagna. Ruchome piaski wciągały cały zaprzęg coraz głębiej pod powierzchnię rosnących wód przyływu.

Zacząłem krzyczeć. Tak głośno, że omal nie pękły mi płuca. A potem rzuciłem się biegiem przed siebie, ale zatrzymałem się prędko, gdyż nie byłem w stanie nic zobaczyć. A poza tym, jaki byłby z tego pożytek? Nie mógłbym przebyć tych moczarów, a nawet gdyby mi się to udało, nie było najmniejszej szansy, że odnajdę wóz i udzielę pomocy tym, którzy nim jechali, a według wszelkiego prawdopodobieństwa naraziłbym się tylko na to, że topiel wciągnęłaby również i mnie. Jedyne wyjście był powrót do domu na Węgorzowych Moczarach, zapalenie wszelkich możliwych świateł i sygnalizowanie nimi z okien, mając wbrew wszelkiemu rozsądkowi nadzieję, że zostaną one dostrzeżone, niczym światła latarni, przez kogoś, gdzieś, w okalającej dom okolicy. Dygocąc pod naporem straszliwych myśli, które przelatywały mi przez głowę, i wyobrażając

sobie bezwiednie biedne istoty wciągane powoli w śmiertelną pułapkę błotnej topieli, zapomniałem o własnym strachu i gorączkowych wizjach sprzed paru minut. Skupiłem się wyłącznie na tym, aby jak najprędzej i najbezpieczniej dostać się z powrotem do domu. Woda bulgotała już bardzo blisko skraju dróżki, chociaż mogłem ją tylko słyszeć, gdyż mgła była ciągle gęsta, a w dodatku zapadły kompletne ciemności. Z westchnieniem ulgi poczułem pod stopami twarde grunto, a potem żwir i po omacku znalazłem drogę do drzwi domu.

Za mną, na bagnach, panował spokój; słyhać było tylko szum wody, natomiast koń i jadący dwukółką nie dawali znaku życia.

Wszedłem do domu i zdołałem dotrzeć do krzesła w ciemnym przedpokoju. Opadłem na nie dokładnie w chwili, gdy nogi ugięły się pode mną, oparłem głowę na rękach i w poczuciu bezradności dałem upust wybuchowi szlochów, uświadamiając sobie w pełni to, co się właśnie wydarzyło.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem pogrążony w skrajnej rozpacz i przerażeniu. Ale po jakimś czasie mogłem już zebrać się w garść, wstać i obejść dom, zapalając wszystkie lampy, jakie tylko znalazłem. Zostawiłem je zapalone, choć żadna z nich nie paliła się jasnym światłem, a ja wiedziałem w głębi duszy, jak mało jest szans na to, aby ktokolwiek dostrzegł poprzez mgłę to nikłe jarzenie się garści rozrzuconych świateł, nawet gdyby znalazł się jakiś wędrowiec czy podróżnik, żeby rzucić na nie okiem. Ale porzuciłem

bezczytność i coś zrobiłem - w istocie wszystko, na co było mnie stać - i to pozwoliło mi poczuć się odrobinę lepiej. Następnie zacząłem przeszukiwać kuchenne szafki, komody i kredensy, aż w końcu, w tylnej części jednego z nich w stołowym, znalazłem butelkę brandy, która miała trzydzieści lat i ciągle była zakorkowana i zalakowana. Otworzyłem ją, znalazłem kieliszek i nalałem sobie porcję, którą uznałem za rozsądną, aby mógł ją wypić człowiek w stanie wielkiego szoku, kilka godzin po spożyciu ostatniego posiłku.

Najwyraźniej od wielu lat pani Drabio w nie korzystała z tego pokoju. Meble pokryte były spłowiałym nalotem soli unoszącej się w powietrzu, lichterze i stojąca na środku stołu waza były zmatowiałe, lniane obrusy sztywno złożone i przedzielone pożółkłym materiałem, a szkła i porcelana zakurzone.

Wróciłem do małego saloniku, jedyne go pokoju w całym domu, który mógł zapewnić trochę

wygody, chociaż był zimny i pachniało w nim pleśnią. Zacząłem pociągać brandy małymi łydkami, próbując ustalić, co powinienem zrobić.

Kiedy trunek zadziałał, poczułem pewne podniecenie, a moje myśli zaczęły ogarniać coraz większy zamęt. Byłem zły na pana Bentleya za to, że przysłał mnie tutaj, a także na siebie za niemądrą niezależność i głupotę, która objawiła się w lekceważeniu wszystkich napomknien i zawoalowanych ostrzeżeń, jakie otrzymałem na temat tego miejsca.

Zacząłem też tęsknić, a raczej modlić się o jak najszybsze oswobodzenie i powrót do bezpiecznych, wygodnych zajęć, do wrzawy Londynu, między przyjaciół - a tak naprawdę między jakichkolwiek ludzi. O powrót do Stelli.

Nie mogłem usiedzieć spokojnie w tym przyprawiającym o klaustrofobię, ale zarazem budzącym dziwne poczucie pustki, starym domu. Wędrowałem od jednego pokoju do drugiego, sięgając po ten czy inny przedmiot tylko po to, aby odłożyć go zaraz z powrotem na miejsce. Ruszyłem na górę, żeby zajrzeć do sypialni z zaciągniętymi zasłonami, a potem jeszcze wyżej, na poddasze pełne gratów, pozbawione dywanów, zasłon i okiennic w wysokich wąskich oknach.

Żadne drzwi nie były zamknięte na klucz, we wszystkich pokojach panował porządek,

choć były nieciekawe, przejmująco zimne i wilgotne, a także na swój sposób duszne. Tylko jedne drzwi były zamknięte na głucho, na samym końcu korytarzyka, który prowadził do trzech sypialni na drugim piętrze. Brakowało w nich zamka, nie miały też żadnej zasuwki.

Z jakiegoś niejasnego powodu rozzłościłem się na te drzwi, kopnąłem je i mocno szarpnąłem za klamkę, ale potem zrezygnowałem nagle i wróciłem na dół, wsłuchując się w echo moich kroków.

Co parę chwil podchodziłem do tego czy innego okna, pocierałem dłonią szybę i próbowałem wyrzeć na dwór, ale mimo iż usuwałem z nich cienką warstewkę brudu w sposób wystarczający, aby zapewnić przejrzystość, nie potrafiłem zlikwidować zasłony z morskiej mgły, która przylegała do nich od zewnątrz. Przyglądając się oparom, zauważyłem, że kłębią się stale niczym chmury, choć nawet na chwilę nie znikają ani się nie rozpraszają. W końcu opadłem na pokrytą pluszem sofę w wielkiej bawialni z wysokim sufitem, odwróciłem twarz od okna i poddałem się, pociągając ostatki drugiego kieliszka przyjemnie pachnącej brandy. Zacząłem popadać w melancholijną zadumę i rozczulać się nad sobą. Nie było mi już zimno,

nie czułem strachu i pozbyłem się wcześniejszego niepokoju, ale otoczyłem się jakby kokonem, odcinając się od straszliwych wypadków, które miały miejsce na trzęsawiskach. Poddałem się, zapadłem w stan obojętnej rezygnacji, w zamęt myśli równie chaotyczny jak mgła na dworze. Chciałem odpocząć, pograżyć się w niebycie i odnaleźć jeśli nie spokój, to przynajmniej pewną ulgę w uciszeniu skrajnych emocji, które mną targały. W moich uszach i w głowie odzywało się uporczywe dzwonięcie, które było zarazem bardzo bliskie i dziwnie dalekie. Odnosiłem wrażenie, że dochodzące mnie dźwięki kołyszą się, a ja kołyszę się razem z nimi. Próbowałem wydostać się z jakiejś ciemności, która nie tkwiła w miejscu, ale kręciła się wraz z ziemią, która zdawała się usuwać spod moich stóp. Stwierdziłem w przerażeniu, że się osuwam i spadam, coraz niżej, wciągany w straszliwie dudniący wir. Dzwonięcie nie ustawało. Obudziłem się w oszołomieniu i za wysokim oknem, na czarnym tle przejrzystego nieba zobaczyłem wielki jak dynia księżyc. Miałem ciężką głowę, opuchnięte, suche wargi i zeszywniałe kończyny. Spałem, być może kilka minut, może kilka godzin, straciłem poczucie czasu. Uniosłem się z trudem i uświadomiłem

sobie, że dzwonek, który słyszę, nie jest złudzeniem z kapryśnego nocnego koszmaru, ale naprawdę niesie się przez cały dom. Ktoś stał przed frontowymi drzwiami.

Spałem skulony na sofie, przez co moje stopy i nogi były zupełnie odrętwiałe. Teraz, w drodze do drzwi, potykałem się bezustannie. Wyszedłem z pokoju na korytarz i zacząłem przypominać sobie ostatnie wydarzenia. W mej pamięci odżyły przede wszystkim, sprowadzając nowy przypływ strachu, odgłosy konia i dwukółki wraz z wołaniami dziecka, które słyszałem gdzieś daleko, w głębi trzęsawiska. Wszystkie pozostawione przeze mnie światła paliły się nadal, toteż przyszło mi do głowy, że musiały zostać przez kogoś dostrzeżone. Otwierając drzwi, wbrew wszelkiemu rozsądkowi spodziewałem się ujrzeć ludzi wysłanych, by przeszukali teren i udzielili pomocy zaginionym.

Muskularnych mężczyzn, w których ręce mogłem przekazać tę sprawę i którzy będą wiedzieli, co robić, a nade wszystko zabiorą mnie z tego miejsca.

Ale na zwirowanym podjeździe, w strumieniu światła płynącego z sieni i w blasku księżyca w pełni, stał tylko jeden człowiek - Keckwick. A za jego plecami zobaczyłem konika i dwukółkę. Cały zaprzęg wydawał się najzupełniej

realny, całkiem normalny i nieuszkodzony. Powietrze było czyste i zimne, niebo usiane gwiazdami. Moczary leżały w ciszy i bezruchu, oblane lśniąca srebrzyście księżycową poświatą. Ani śladu mgły czy chmur, znikło też zupełnie zawilgocenie powietrza. Sceneria uległa tak kompletnej zmianie, że poczułem się jak nowo narodzony w całkowicie innym świecie, a cała reszta wydała mi się jedynie gorączkowym majaczeniem.

- Po takiej mgle trzeba poczekać, aż się zupełnie przejaśni. Do tego czasu nie ma przejazdu - powiedział rzeczowo Keckwick. - Na nieszczęście dla pana, ma się rozumieć.

Wydawało mi się, że język przylgnął mi do podniebienia, a za chwilę kolana załamały się pode mną.

- A potem trzeba poczekać, aż spłynie woda. - Keckwick rozejrzał się naokoło. - Dziwne miejsce. Przekona się pan o tym, i to szybko.

Rzuciłem okiem na zegarek i stwierdziłem, że jest prawie druga nad ranem. Odpływ właśnie się zaczął, odsłaniając powoli Ławicę Dziewięciu Topielców. Spałem siedem godzin, niemal tyle, ile by mi to zajęło podczas normalnej nocy, ale tu do świtu wciąż jeszcze było daleko, a ja czułem się źle, zmęczony i wyczerpany jak człowiek, który całymi godzinami nie zmrużył oka.

- Nie spodziewałem się, że wróci pan o tej porze - zdołałem wyjąkać. - To bardzo uprzejmie z pana strony...

Keckwick odsunął czapkę trochę do tyłu, żeby podrapać się w czoło, dzięki czemu zauważyłem, że jego nos i większa część dolnej połowy twarzy usiane są dziwnymi guzami, grudami i naroślami, a pokrywająca je skóra jest dziobata i sinoczerwona.

- Nie mogłem zostawić pana na noc - odparł w końcu. - Nigdy bym panu tego nie zrobił. Popadłem na moment w zakłopotanie, ponieważ zdawaliśmy się nawiązywać normalną, rzeczową rozmowę. Zresztą powitałem jego przybycie z radością, jakiej nigdy dotąd nie odczuwałem na widok bliźniego. Z taką samą przyjemnością spoglądałem na jego solidnego małego konika, który spokojnie i cierpliwie stał opodal.

W tej samej chwili przypomniałem sobie jednak wydarzenia z poprzedniego wieczoru.

- Ale co się panu przydarzyło, jak pan zdołał tu dotrzeć... Jak się pan wydostał? - rzuciłem pytająco. W tej samej chwili serce skoczyło mi do gardła, gdyż uświadomiłem sobie, że oczywiście to nie Keckwick i jego konik wjechali w ruchome piaski. To ktoś inny, ktoś z dzieckiem, i teraz nie było już po nich śladu. Zginęli, wchłonęło

ich trzęsawisko, a wody zamknęły się nad nimi, nie pozostawiając na swej spokojnej, lśniącej powierzchni żadnej zmarszczki ani najdrobniejszego zakłócenia. Ale któż to mógł być? Kto w ciemny listopadowy wieczór, w napływającej mgle i przy rosnącym przyływie wyruszył w drogę, do tego z dzieckiem, przez to zdradliwe miejsce? W jakim celu, skąd i dokąd jechali? Siedziba pani Drablow była przecież jedynym domem na przestrzeni wielu mil. Chyba że domyślałem się słusznie, że gdzieś tu w pobliżu ukryty jest domek tamtej kobiety w czarnej sukni.

Keckwick patrzył mi prosto w twarz i zdałem sobie sprawę, że z pewnością jestem rozczochrany i zaniedbany, zupełnie nie jak poważny, pewny siebie, sprawny młody prawnik, którego zostawił on koło tego domu wczoraj po południu. Keckwick wskazał konika i wóz.

- Najlepiej będzie, jeśli pan wsiądzie - powiedział.

- Tak, ale z pewnością...

Jednak Keckwick odwrócił się nagle i zaczął wspinać na kozioł woźnicy. Zająwszy na nim miejsce, spojrzął prosto przed siebie i otulił się płaszczem z podniesionym kołnierzem, żeby osłonić szyję i podbródek. Czekał. Było jasne, że jest w pełni świadom mojego stanu. Wie, że coś mi się przydarzyło, i wcale go to nie zaskoczyło, a jego zachowanie wskazywało bezbłędnie, że nie chce słyszeć, co to było, pytać i odpowiadać na pytania, ani

w ogóle dyskutować o sprawie. Jego zadaniem było tylko zabrać mnie i przewieźć, niezawodnie i o każdej godzinie, ale nic więcej.

Bez słowa wróciłem szybkim krokiem do domu i pogasiłem światła, a potem wsiadłem do dwukółki, godząc się na to, aby Keckwick powiózł mnie przez spokojne, tajemniczo piękne moczary, pod wędrującym po niebie księżycem. Kołysanie wozu sprawiło, że poczułem się jak w transie, pół śpiąc i pół czuwając. Zaczęła mnie boleć głowa, a co jakiś czas łapał mnie skurcz żołądka i zbierało mi się na wymioty. Nie rozglądałem się naokoło, czasami tylko spoglądałem w górę na wielką czarę nocnego nieba i rozrzucone na nim konstelacje gwiazd. Ich widok uspokajał mnie i podnosił na duchu, wydawało mi się, że wszystko na niebie pozostało uporządkowane i bez zmian. Nie tak jak wszystkie inne sprawy, w moim wnętrzu i wokół mnie. Wiedziałem już, że wkroczyłem w jakiś obszar świadomości, którego aż dotąd sobie nie wyobrażałem. W istocie, nie wierzyłem nawet w jego istnienie. Przyjazd w to miejsce zmienił mnie już, nie pozostawiając

drogi powrotnej. Albowiem w ciągu ostatniego dnia oglądałem i słyszałem rzeczy, jakie nigdy nawet mi się nie przyśniły. Nie tylko uwierzyłem, ale nabrałem pewności, że kobieta, którą widziałem w pobliżu grobów, była upiorem. Ta pewność zagnieździła się gdzieś głęboko we mnie i miałem świadomość, że zamieniła się w trwałe, niezmiennie przekonanie, być może w trakcie niespokojnego nerwowego snu. Zacząłem także podejrzewać, że konik i dwukółka, które słyszałem na trzęsawiskach - zaprzęg z tak rozpaczliwie wołającym dzieckiem wciągnięty przez ruchome piaski, podczas gdy moczary i wybrzeże, ziemia i morze zasnuły się całunem nagłej mgły, w której zgubiłem się i ja - także nie były rzeczywiste i pojawiły się tam nie w materialnym, ale również w upiornym kształcie. To, co słyszałem, było realne. Równie wyraźnie, jak teraz skrzypienie dwukółki i stukanie podków konika. To samo mógłbym powiedzieć o widoku kobiety z bladą i wymizerowaną twarzą, którą ujrzałem najpierw koło grobu pani Drablow, a potem znowu na starym cmentarzysku. Potwierdziłbym to pod przysięgą na wszelkie świętości. Jednak w jakiś sposób, którego nie pojmowałem, wszystko to było nierzeczywiste, upiorne, należące do krainy umarłych.

Pogodziłem się z tym stanem rzeczy i od razu poczułem spokojniejszy. Niebawem zostawiliśmy wybrzeże oraz moczary za plecami i sunęliśmy dróżką przez pola w samym

środku spokojnej nocy. Miałem nadzieję, że właściciel zajazdu Gifford Arms obudzi się na moje stukanie i wpuści mnie do środka. Marzyłem o tym, żeby iść na górę, położyć się w wygodnym łóżku i zasnąć znowu, próbując przepędzić wszystkie te niesamowitości z mojej głowy i serca, żeby więcej o nich nie myśleć. A jutro, w świetle dnia, postarałbym się wrócić do siebie i zaplanować, co mam robić dalej. W tym momencie byłem pewien tylko tego, że za nic w świecie nie chcę wracać do Domu na Węgorzowych Moczarach i powinienem wykręcić się od dalszego zajmowania się jakimikolwiek sprawami pani Drablow. Nie miałem pojęcia, czy poszukam jakiejś wymówki, czy też powiem panu Bentleyowi prawdę, mając nadzieję, że nie narażę się śmiech.

Dopiero gdy szykowałem się do łóżka - właściciel okazał się bardzo wyrozumiały i uprzejmy - zacząłem się zastanawiać znowu nad nadzwyczajną wielkodusznością Keckwicka, który przyjechał tam po mnie, gdy tylko mgła i przypyływ mu na to pozwoliły. Można było z pewnością

oczekiwać od niego, że wzruszy ramionami, zrezygnuje z jazdy i postanowi zabrać mnie z samego rana. Ale on musiał czekać w gotowości, a może nawet trzymał w uprząży swojego konika, myśląc o tym, że nie powinienem spędzać samotnie nocy w tamtym domu. Byłem mu za to głęboko wdzięczny i napisałem notatkę, że powinien zostać szczerze wynagrodzony za swoje wysiłki.

Wśliznąłem się do łóżka trochę po trzeciej, gdy do świtu pozostały jeszcze dwie godziny. Właściciel powiedział mi, że mogę spać, ile tylko będę chciał, nikt nie będzie mi w tym przeszkadzał, a śniadanie zostanie podane o każdej porze. Także on, na swój obojętny sposób, zdradzał podobnie jak Keckwick troskę o moje dobre samopoczucie, chociaż obaj zachowywali się nader powściągliwie i przez to nie pozwalali na zadawanie żadnych pytań. Słuchając głosu rozsądku, nawet nie próbowałem niczego dociekać. Kto wie, co oni sami mogli widzieć czy słyszeć. Nie starałem się też domyślić, o ile bogatsza jest ich wiedza o przeszłości i wszelkiego rodzaju dawnych wypadkach, by nie wspomnieć o plotkach, pogłoskach i podejrzeniach. Miałem dość tej odrobiny, której sam doświadczyłem. I byłem daleki od myśli, żeby podejmować jakiegokolwiek próby wyjaśnienia.

Takie myśli towarzyszyły mi tej nocy, gdy kładłem głowę na miękkiej poduszce, aby zapaść niebawem w niespokojny, pełen mrocznych cieni sen, w którym pojawiały się i znikwały jakieś postaci, przeszkadzając mi tak bardzo, że raz czy dwa niemal się obudziłem, wołając albo wypowiadając parę słów bez żadnego związku. Pociłem się i obracałem bezustannie z boku na bok, starając się uwolnić od tych koszmarów, uciec od prześladowających mnie podświadomie strachów i przeczuć. Ale przez cały czas, wciąż na nowo, przez powierzchnię tych snów przewiercało się przerażające rzenie konia oraz wołania i szlochy tamtego dziecka. A ja stałem bezradnie we mgle, nie ruszając się z miejsca i czując, że coś ciągnie mnie do tyłu, podczas gdy za moimi plecami, chociaż nie mogłem jej dostrzec, a tylko wyczuwałem jej mroczną obecność, ukrywała się ta kobieta.

PANI JEROME SIĘ BOI

Gdy się obudziłem, zobaczyłem znowu przyjemną sypialnię wypełnioną jasnym zimowym słońcem. Jednak porównując mój obecny stan z samopoczuciem z poprzedniego ranka, kiedy to spałem tak dobrze, obudziłem się odświeżony i wyskoczyłem z łóżka gotów rozpocząć nowy dzień, uświadomiłem sobie, że przepełnia mnie wielkie znużenie i zniechęcenie. Czyżby to było zaledwie wczoraj? Wydawało mi się, że odbyłem daleką podróż i doświadczyłem wiele w duchu, jeśli nie w czasie, a moja tak poprzednio spokojna i usatkwowana osobowość doznała tylu zawirowań, jakby upłynęły całe lata. Miałem ociężałą i obolałą głowę, byłem przemęczony, wyczerpany i rozdrażniony, a moje nerwy i wyobraźnia całkiem się rozstroiły.

Jednak po chwili zmusiłem się, żeby wstać, gdyż trudno mi było przypuścić, że na nogach

poczuję się gorzej, niż leżąc w łóżku, które teraz wydawało mi się masywne i niewygodne niczym sterta worków z kartoflami. Gdy rozsunałem zasłony, odsłaniając jasnoniebieskie niebo, i wziąłem długą gorącą kąpiel zakończoną opłukaniem głowy i szyi strumieniem zimnej wody, poczułem się mniej zdeprymowany i przygnębiony, spokojniejszy i zdolny do porządniejszego myślenia o dniu, jaki miałem przed sobą. Po śniadaniu, które zjadłem z większym apetytem, niż się spodziewałem, zacząłem rozważać różne wyjścia. Wczoraj wieczorem postanowiłem twardo, nie dopuszczając żadnych możliwych sprzeciwów, że nie chcę mieć nic wspólnego z Węgorzowymi Moczarami i sprawami pani Drablow. Zatelegrafuję do pana Bentleya, zostawię wszystko w rękach pana Jerome'a i wyjadę najbliższym pociągiem do Londynu.

Krótko mówiąc, zamierzałem stąd uciec. Tak, tak właśnie ujrzałem tę sprawę w jasnym świetle dnia. Mojej decyzji nie towarzyszyło żadne specjalne poczucie winy. Doznałem największego przerażenia, jakie można sobie wyobrazić. Nie uważałem, że będę pierwszym człowiekiem, który ucieknie od zagrożenia, choć nie miałem powodu, żeby uznać, iż jestem znacznie odważniejszy od kogokolwiek innego. To, z czym spotkałem

się na bagnach, było tym bardziej przerażające, że niepojęte i niewytłumaczalne, pozbawione wprawdzie dowodów, a mimo to głęboko poruszające. Zacząłem uświadamiać sobie, że tym, co przstraszyło mnie najbardziej - a z analizy moich myśli i odczuć tego ranka wynikało, że nadal budzi we mnie lęk - było nie to, co zobaczyłem, gdyż w kobiecie z wymizerowaną twarzą nie było nic szczególnie odpychającego ani przerażającego. Nie były to nawet upiorne odgłosy, jakie słyszałem przez mgłę. Daleko gorsze było to, co emanowało z tych rzeczy i unosiło się nad nimi, wprowadzając niepokój do moich myśli. Atmosfera, tkwiąca w nich moc - nie umiem nazwać tego dokładnie - coś złego i nieczystego, strach i cierpienie, złośliwość i gorzka zaciętość. Czulem, że jestem zupełnie niezdolny stawić czoło żadnemu z tych zjawisk.

- Dziś w Crythin będzie dużo spokojniej - stwierdził właściciel zajazdu, gdy podszedł, żeby zabrać tacę i dolać mi kawy. - Dzień targowy ściąga ludzi mieszkających mile stąd. Ale dzisiejszego ranka nie będzie się tu działo nic specjalnego.

Stał przez chwilę, przyglądając mi się badawczo, aż uznałem za konieczne przeprosić go znowu za to, że ostatniej nocy musiał wstać i zejść na dół, by mnie wpuścić do środka. Gospodarz potrząsnął głową.

- Och, wolę już to, niż gdybym miał skazać pana na spędzenie... hm... niekomfortowej nocy gdzie indziej.

- Tak czy owak, mam za sobą noc, która była trochę denerwująca. Wydaje mi się, że miałem za dużo złych snów i byłem ogólnie rozstrojony.

Właściciel zajazdu nie odpowiedział.

- Myślę, że dziś dobrze mi zrobi trochę ruchu na świeżym powietrzu. Być może pospace-
ruję sobie po okolicy i popatrzę na farmy ludzi, którzy byli tu wczoraj i ubijali targowe
interesy.

Miałem na myśli to, że odwrócę się plecami do trzęsawisk i pomaszuję w przeciwną
stronę.

- No cóż, będzie pan miał miłą i łatwą przechadzkę, ziemia w promieniu wielu mil jest tu
płaska jak stół. Oczywiście, dotarłby pan znacznie dalej, gdyby wołał pan pojechać konno.

- Niestety, nigdy w życiu nie jechałem na koniu i muszę się zwierzyć, że nie mam nastroju,
żeby zacząć to robić dzisiaj.

- Lub też - zaoferował się nagle gospodarz z uśmiechem - mógłbym użyczyć panu dobrego
mocnego roweru.

Rower! Rozpogodziłem się od razu. Jeszcze jako chłopiec wyprawiałem się na regularne

i dalekie wycieczki rowerowe, czasami wsiadałem też ze Stellą do pociągu jadącego w kierunku którejś ze śluz, żeby pedałować razem z nią całymi milami po ścieżkach holowniczych wzdłuż Tamizy, a potem zjeść na świeżym powietrzu przywiezione w koszykach drugie śniadanie.

- Znajdzie go pan za domem, na podwórzu. Proszę go po prostu wziąć, sir, jeśli znajdzie pana ochota. -1 wyszedł z jadalni.

Pomysł jazdy na rowerze przez godzinę lub dwie, żeby strząsnąć z siebie tę utrzymującą się ciągle pajęczynę sennych przywidzeń i znużenia niespokojną nocą, odświeżyć się i odprężyć, był bardzo pociągający i z miejsca poprawił mi nastrój. Co więcej, nie zamierzałem już stąd uciekać.

Postanowiłem za to iść do pana Terome'a i porozmawiać z nim. Chciałem poprosić go o pomoc przy sortowaniu papierów pani Drablow. Być może zatrudniał on w kancelarii jakiegoś chłopca, bez którego mógłby się obejść, gdyż znowu nabrałem pewności, że w dzień i w towarzystwie innej osoby jestem gotów stawić czoło Domowi na Węgorzowych Moczarach. Planowałem, że wrócę do miasta dobrze przed zapadnięciem zmroku i będę pracował możliwie najbardziej metodycznie i sprawnie. Nie ruszę się też na krok w stronę tamtejszego cmentarzyska.

Rzecz godną uwagi było to, że dobra forma fizyczna dodała mi otuchy. Gdy wyszedłem na plac targowy, poczułem od razu, że wraca mi moje zwykłe, zrównoważone i pogodne samopoczucie. I że z radością wyglądam rowerowej wycieczki.

Odnalazłem biuro Horatia Jerome'a - miejscowego agenta pośredniczącego w sprzedaży gruntów rolnych i nieruchomości - dwa ponure, nisko sklepione pomieszczenia nad sklepem sprzedawcy kukurydzy w wąskim zaułku odchodzącym od placu. Spodziewałem się, że zastanę tu asystenta lub innego pracownika, któremu podam moje nazwisko. Ale w obskurnej i pustej poczekalni nie było nikogo, a w biurze panowała cisza. Oczekałem więc chwilę, podszedłem do jedynych, zamkniętych drzwi i zapukałem. Cisza przeciągnęła się odrobinę, po czym dało się słyszeć szuranie krzesła i czyjeś szybkie kroki. W otwartych drzwiach stanął pan Jerome.

Odniosłem wrażenie, że moja wizyta nie sprawiła mu najmniejszej przyjemności. Jego twarz przyjęła zamknięty, martwy wygląd z poprzedniego dnia. Po krótkim wahaniu zaprosił

mnie do środka, rzucając mi dziwne, ukradkowe spojrzenia, a potem spojrzął szybko w bok, kierując swój wzrok na jakiś punkt nad moimi ramionami. Nie odzywałem się, gdyż przypuszczałem, że zapyta, jak mi poszło w Domu na Węgorzowych Moczarach. Milczał jednak, toteż zacząłem przedstawiać mu moją propozycję.

- Widzi pan, nie miałem pojęcia i nie wiem, czy pan je miał, ile papierów zostawiła po sobie pani Drablow. Całe tony, choć nie wątpię, że większość z nich okaże się bezużyteczna. Mimo to trzeba je będzie przejrzeć po kolei. Wydaje się rzeczą oczywistą, że będę potrzebował czyjejś pomocy, chyba że zatrzymam się na najbliższą przyszłość w Crythin Gifford.

Na twarzy pana Jerome'a pojawił się wyraz paniki. Odsunął swoje krzesło, aby znaleźć się jeszcze dalej ode mnie, za chwiejącym się biurkiem. Przeleciało mi przez głowę, że gdyby mógł wydostać się przez ścianę na ulicę, chętnie by to zrobił.

- Obawiam się, że nie będę mógł panu pomóc, panie Kipps. Och, tylko nie to.

- Nie miałem na myśli tego, żeby zrobił to pan osobiście - zapewniłem uspokajającym tonem. - Ale ma pan może jakiegoś pomocnika?

- Nie ma tu nikogo takiego. Jestem zdany tylko na siebie. Nie mogę udzielić panu absolutnie żadnej pomocy.

- No dobrze, ale w takim razie niech mi pan pomoże kogoś znaleźć. Z pewnością znajdzie się w tym mieście młodzieniec obdarzony jaką taką inteligencją, który chętnie zarobi parę funtów, a którego mógłbym zatrudnić do tej pracy?

Zauważyłem, że jego ręce - choć łokcie opierał na poręczach krzesła - były bezustannie w ruchu. Zacierał dłonie i kręcił nimi w podnieceniu.

- Przykro mi... to jest małe miasteczko... młodzi ludzie wyjeżdżają... nie ma tu żadnych możliwości.

- Ależ ja oferuję taką możliwość... choćby nawet czasowo.

- Nie znajdzie pan nikogo, kto by się nadawał - odparł pan Jerome, podnosząc głos.

Odpowiedziałem mu bardzo spokojnie i cicho:

- Panie Jerome, pan chyba nie twierdzi, że nie ma tu nikogo takiego. Że nawet po gruntownych poszukiwaniach nie znajdzie się w tym mieście ani w okolicy żaden młody człowiek albo i starszy, jeśli o to chodzi, wystarczająco zdolny i wolny, żeby podjąć się tej pracy. Jestem pewien, że nie zgłosiłoby się wielu chętnych, ale na

pewno znaleźlibyśmy jednego lub dwóch możliwych kandydatów do tej pracy. Ale pan wycofuje się i unika mówienia prawdy. A prawda jest taka, że nie znajdę żywej duszy, która zechciałaby spędzić jakiś czas tam, w Domu na Węgorzowych Moczarach. A wszystko to ze strachu, że historie, jakie opowiadają o tym miejscu, okażą się prawdziwe. Ze strachu przed natknięciem się na to, na co ja już się natknąłem.

Zapadła kompletna cisza. Ręce pana Jerome'a nadal poruszały się nerwowo, niczym szpony jakiegoś wysiłającego się stworzenia. Jego blade wypukłe czoło pokryło się kropelkami potu. Po chwili podniósł się, omal nie wywracając swego krzesła, i podszedł do wąskiego okna, żeby wyrzucić przez brudną szybę na stojące naprzeciwko domy i spokojną alejkę poniżej. Po czym odezwał się wreszcie, stojąc plecami do mnie:

- Przyjechał po pana Keckwick.
- Tak. Byłem mu za to wdzięczny, bardziej niż mogę to wyrazić.
- Nie ma nic, czego by Keckwick nie wiedział o Domu na Węgorzowych Moczarach.
- Czy dobrze się domyślam, że czasami wysługiwał się pani Drablow?
- Nie widywała nikogo innego - przytaknął Jerome. - Nawet... - jego głos się załamał.
- Żadnej innej żywej duszy - wtrąciłem obojętnym tonem.

Gdy pan Jerome odezwał się po chwili, jego głos był zachrypnięty i zmęczony.

- Opowiadają różne historie - powiedział -i plotki. Niestworzone rzeczy.
- Wierzę panu. Takie miejsce musiało stworzyć bagienne potwory, kryjące się w głębinach, i błędne ogniki snujące się wokół wyladowanych wozów.
- Może pan pominąć większość z nich.
- Oczywiście. Ale nie wszystkie.
- Widział pan na cmentarzu tę kobietę.
- Zauważyłem ją znowu. Kiedy wczoraj po południu Keckwick zostawił mnie tam, obszedłem cały teren wokół domu. Stała na tamtejszym starym cmentarzysku. Są tam też ruiny... po jakimś kościele czy kaplicy?
- Na tej wyspie znajdował się kiedyś klasztor... na długo przed wybudowaniem domu. Żyła w nim mała wspólnota, która odcięła się od reszty świata. Pozostały po niej wspomnienia w dziejach tego hrabstwa. Ale wieki temu klasztor został porzucony... skazany na zniszczenie.
- A cmentarzysko?
- Korzystano z niego po trosze... także później. Kilka grobów.

- Państwa Drablow?

Pan Jerome odwrócił się nagle twarzą do mnie. Pokrywała ją teraz chorobliwa szarawa bladość. Uświadomiłem sobie, z jaką powagą traktuje naszą rozmowę i że prawdopodobnie wolałby jej nie kontynuować. Chciałem wprawdzie załatwić sprawę, z którą tu przyszedłem, na razie jednak postanowiłem zrezygnować z próby nawiązania jakiegoś porozumienia z panem Jerome'em. Za to powinienem zadzwonić do Londynu i skontaktować się bezpośrednio z panem Bentleyem. W tym celu musiałem wrócić do hotelu.

- No, cóż - stwierdziłem. - Jeśli o mnie chodzi, panie Jerome, to nie zamierzam dać się przepędzić jakiemuś duchowi czy nawet całej ich gromadzie. To nie było przyjemne i przyznaję, że wolałbym znaleźć kogoś, kto by mi towarzyszył podczas pracy w tym domu. Ta praca musi zostać wykonana. Wątpię zresztą, żeby kobieta w czerni odczuwała jakąś niechęć względem mojej osoby. Zastanawiam się, kim ona była? Czy może jest?

-Roześmiałem się, chociaż zabrzmiało to dość fałszywie w tym pokoju. - Nie wiem nawet, co o niej myśleć!

Próbowałem zlekceważyć coś, o czym obaj wiedzieliśmy, że jest śmiertelnie poważne, starając się odsunąć na bok jako rzecz bez znaczenia, może nawet nieistniejącą, coś, co

dotknęło nas obu tak głęboko, jak żadne z doświadczeń, które stały się dotychczas naszym udziałem, albowiem postawiło nas to na krawędzi, poza którą życie zdawało się stapiać ze śmiercią.

- Panie Jerome, muszę jakoś to wytrzymać. Trzeba znosić takie rzeczy - oświadczyłem, czując, że rośnie we mnie nowa determinacja.

- Ja też tak mówiłem. - Spoglądał na mnie z politowaniem. - Ja też tak mówiłem... dawno temu.

Ale jego obawy wzmocniły tylko moje postanowienie. Bo i co osłabiło go tak i złamało? Jakaś kobieta? Parę hałasów? Czy też kryło się w tym coś jeszcze, czego do tej pory nie odkryłem? Wiedziałem, że jeśli go spytam, odmówi odpowiedzi, a w każdym razie nie byłem pewien, czy rzeczywiście chcę słuchać budzących lęk, dziwnych opowieści o dawnych przygodach nerwowego pana Jerome'a w Domu na Węgorzowych Moczarach. Doszedłem do wniosku, że jeśli chcę dotrzeć do prawdy o całej tej sprawie, powinienem polegać na świadectwie moich własnych zmysłów i na niczym innym. Koniec końców, być może lepiej będzie, jeśli nie znajdę żadnego pomocnika.

Pożegnałem się z panem Jerome'em, zauważając na odchodnym, że najprawdopodobniej nie zobaczę już ani tej kobiety, ani żadnych innych dziwacznych gości w domu świętej pamięci pani Drablow.

- Bardzo bym chciał, żeby tak się stało - odparł, przytrzymując w nagłym, mocnym uścisku moją dłoń, którą właśnie potrząsał.

- Proszę się tym nie przejmować! - zawołałem, świadomie przyjmując beztroski, wesoły ton głosu, a potem zbiegłem lekkim krokiem po schodach, pozostawiając pana Jerome'a z jego niespokojnymi myślami.

Wróciłem do Gifford Arms i zamiast dzwonić do pana Bentleya, napisałem do niego list. Opisałem w nim dom i nagromadzenie znajdujących się w nim papierów, wyjaśniłem też, że muszę pozostać tu dłużej, niż przewidywałem. Dodałem, że oczekuję wezwania do powrotu, gdyby pan Bentley potrzebował mnie w Londynie i postanowił załatwić inaczej sprawę tych dokumentów. Napomknąłem też delikatnie o złej sławie Domu na Węgorzowych Moczarach i że z tego powodu - ale również z innych, bardziej przyziemnych - trudno mi będzie znaleźć tu jakiegokolwiek pomocnika, choć bardzo by mi na nim zależało. Mimo wszystko powinienem załatwić wszystko w ciągu tygodnia i wysłać do Londynu wszelkie papiery, które wydadzą mi się ważne.

Następnie położyłem list na stoliku w holu, żeby mógł zostać zabrany w południe, wyszedłem na dwór i znalazłem rower gospodarza, porządny i staromodny, gotowy do jazdy model z koszykiem z przodu, niemal tak dużym, jak koszyki chłopców od rzeźnika w Londynie. Wsiadłem na niego i wyjechałem na plac, a potem skręciłem w jedną z uliczek prowadzących ku otwartym polom. Dzień doskonale nadawał się na rowerową wycieczkę, było wystarczająco chłodno, aby wiatr szczypał mnie w czasie jazdy w policzki, a jasne i czyste powietrze pozwalało mi sięgnąć bardzo daleko wzrokiem w głąb płaskiej, otwartej okolicy.

Zamierzałem dojechać do sąsiedniej wsi. Miałem nadzieję, że znajdę w niej wiejską gospodę i będę mógł zamówić na lunch chleb z serem i piwo. Gdy jednak dotarłem do ostatnich domów, nie mogłem się oprzeć silnej pokusie i zatrzymałem się nie po to, aby spojrzeć ku zachodowi, gdzie widać było pola, gospodarstwa i odległe dachy najbliższej wioski, ale ku wschodowi. A tam rozciągały się lśniące, zapraszające, srebrzyste moczary, nad którymi daleko na

horyzoncie, w miejscu, w którym dotykały morskiego brzegu, wisiał pas bladego nieba. Wiał od nich lekki wiaterek, niosąc z sobą zapach soli. Pomimo dystansu słyszałem ich tajemniczą ciszę i urzekało mnie ich czarodziejskie dziwne piękno. Nie mógłbym uciec od tego miejsca, musiałem do niego wrócić, nie teraz wprawdzie, ale niebawem. Rzuciło na mnie urok i czułem, że te moczary mnie przyciągają, że pobudzają moją wyobraźnię, podsycają tęsknoty i ciekawość, pociągają ku sobie całą moją duszę. Przez dłuższą chwilę nie mogłem oderwać od nich wzroku. Zastanawiałem się nad tym, co się ze mną dzieje. Przeżywałem zmienne i skrajne emocje, a reakcje mojego układu nerwowego stały się tak bezpośrednie, szybkie i ostre, że zdawałem się żyć jakby w innym wymiarze. Miałem wrażenie, że moje serce bije przyspieszonym rytmem, nogi poruszają się zwawiej, a wszystko, na co patrzę, jest jaśniejsze i odznacza się ostrzejszymi, dokładnie określonymi konturami. I wszystko to odczuwam od wczoraj. Zacząłem się zastanawiać, czy mój wygląd zewnętrzny nie doznał jakiejś gruntownej zmiany, na tyle wyraźnej, że po powrocie do domu moi przyjaciele i rodzina ją zauważą. Poczułem się starszy, jak człowiek, który został wystawiony na próbę i zawładnął

nim strach połączony ze zdumieniem, czyniąc z niego niewolnika namiętności i podniecenia.

Teraz jednak czułem potrzebę ruchu, aby zapanować nad tymi ostrymi emocjami i odzyskać zwykłe zrównoważenie, toteż zawróciłem rower, wskoczyłem na siodełko i zacząłem pedałować równym rytmem, pozostawiając moczary zdecydowanie za plecami.

FRYGA

Wróciłem po około czterech godzinach w doskonałym nastroju, przejechawszy przeszło trzydzieści mil. Przemierzałem z uporem wiejskie okolice i przyglądałem się ostatnim przeblyskom złotej jesieni, które stapiały się z początkami zimy. Twarz omiatały mi podmuchy czystego, chłodnego powietrza, a wysiłek usunął wszelką nerwowość i chorobliwe przywidzenia. Znalazłem wiejską gospodę i posiliłem się w niej chlebem i serem, a potem wśliznąłem nawet do stodoły gospodarza, żeby uciąć sobie godzinną drzemkę.

Wracając do Crythin Gifford, czułem się jak nowo narodzony. Byłem zadowolony i pewien siebie, a nade wszystko gotów stanąć wobec najgorszych wyzwań, jakie mogły mi jeszcze rzucić dom pani Drablow i otaczające go posepne trzęsawiska. Krótko mówiąc, byłem hardy i wesoły. I w takim nastroju wyjechałem zza rogu na

główny plac, omal nie wpadając na duży automobil, który starał się pokonać wąski zakręt, jadąc w przeciwnym kierunku. Gdy skręciwszy w bok, wyhamowałem i zeskoczyłem z roweru, zobaczyłem, że jest to auto pana Samuela Daily'ego, mojego towarzysza podróży, który kupował farmy na wczorajszej licytacji. Na mój widok dał znak szoferowi, żeby przyhamował. Wychylił się z okna i spytał, jak mi się wiedzie.

- Odbyłem właśnie niezłą przejażdżkę po okolicy i jestem gotów pożreć konia z kopytami na kolację - zażartowałem.

Pan Daily uniósł brwi.

- A pańskie sprawy zawodowe?

- Ma pan na myśli majątek pani Drablow? Och, mam nadzieję, że dam sobie z tym wszystkim prędko radę, choć muszę przyznać, że będę miał więcej pracy, niż się spodziewałem.

- Był pan już w jej domu?

- Oczywiście.

- Ach, tak...

Przez dłuższą chwilę spoglądaliśmy na siebie, ale najwyraźniej żaden z nas nie miał ochoty na choćby nieznaczące zgłębienie tego tematu. Wreszcie, szykując się do podjęcia dalszej jazdy, rzuciłem chełpliwie:

- Prawdę mówiąc, nieźle się tym bawię. Cała ta sprawa rysuje mi się jako coś w rodzaju wyzwania.

Pan Daily wpatrywał się we mnie nadal, aż w końcu poczułem się zmuszony ustąpić i spojrzeć w bok, niczym uczeń przyłapany na zmyślonej naprędce wymówce.

- Panie Kipps - powiedział - udaje pan wielkiego zucha. A skoro spodziewa się pan takiego apetytu przy kolacji, to zapraszam do siebie. Proszę przyjść o siódmej. Gospodarz hotelu powie panu, jak znaleźć mój dom. - Po czym dał znak szoferowi, oparł się głębiej na siedzeniu i odwrócił wzrok ode mnie.

Wróciwszy do hotelu, podjąłem poważne przygotowania na najbliższy dzień lub może kilka dni. I choć w oskarżeniu pana Daily'ego tkwiło ziarnko prawdy, byłem zdecydowany i gotów kontynuować moją misję w Domu na Węgorzowych Moczarach. Zgodnie z tym poprosiłem

0 przygotowanie kosza z zapasami, a nawet wyszedłem do miasta i zakupiłem trochę dodatkowych artykułów - kilka torebek herbaty, kawy

i cukru, parę bochenków chleba, puszkę biszkoptów, świeży tytoń do fajki, zapalniczki i tym podobne rzeczy. Nabyłem też dużą latarkę na baterie i parę

gumowych butów z cholewami. Gdzieś na dnie pamięci zachowało mi się żywe wspomnienie marszu przez trzęsawiska we mgle i przy rosnącym przypływie. Postanowiłem przygotować się jak najlepiej przynajmniej na fizyczne zagrożenia, gdyby miało się to powtórzyć - choć modliłem się gorąco w duchu, żeby do tego nie doszło. Gdy przedstawiłem gospodarzowi mój plan, że zamierzam spędzić najbliższą noc w jego hotelu, a następne dwie w Domu na Węgorzowych Moczarach, nie odezwał się słowem, ale wiedziałem doskonale, że podobnie jak mnie, przed jego oczami ożyła scena z dzisiejszych wczesnych godzin porannych, kiedy to stanąłem pod drzwiami hotelu i zacząłem walić w nie gwałtownie, mając wypisane na twarzy przeżycia ostatniej nocy. Gdy zapytałem, czy mogę powtórnie skorzystać z jego roweru, skinął tylko głową. Powiedziałem, że chcę zatrzymać mój pokój i że, w zależności od tego, jak prędko uporam się z porządkowaniem papierów po pani Drablow, będę chciał zakończyć mój pobyt u niego gdzieś tak pod koniec tygodnia. Zastanawiałem się zawsze w późniejszych czasach, co ten człowiek rzeczywiście myślał o mnie i o przedsięwzięciu, które podejmowałem tak radośnie. Było jasne, że podobnie jak wszyscy

inni nie tylko zna historie i pogłoski związane z domem pani Drabio w, ale nie jest mu także obca prawda o tym miejscu. Podejrzewam, że wolałby, żebym wyniósł się na dobre, ale dla własnego interesu uznał za stosowne nie wyrażać żadnej opinii ani mnie nie ostrzegać, nie udzielać mi rad. A moje zachowanie tego dnia wskazywało, że nie ścierpię żadnych sprzeciwów, nie będę zważał na ostrzeżenia, choćby nawet zrodziły się one w moim wnętrzu. Uparłem się po prostu, żeby iść raz obraną drogą.

To właśnie skonstatował tego wieczoru pan Samuel Daily już w parę chwili po moim przybyciu do jego domu. Przyglądał mi się tylko i słuchał mojej paplaniny, nie odzywając się przez większą część kolacji.

Znalazłem bez trudu drogę do jego posiadłości i wywarła ona na mnie wielkie wrażenie. Zamieszkiwał w imponującym, raczej surowo wyglądającym wiejskim parku, którego mieszkańcem mógł być któryś z bohaterów powieści Jane Austin. Prowadził przez niego długi, obrzeżony drzewami podjazd, którym docierało się do domu z portykiem. Wejścia pilnowały kamienne lwy i urny ustawione na kolumnach po obu stronach niewysokich schodów prowadzących na taras z balustradą, z którego rozpościerał się widok na raczej jednostajny trawnik otoczony przystrzyżonymi krótko żywopłotami. Całość wyglądała okazale i raczej chłodno, pozostając w pewnym kontraście z samym panem Dailym. Było

jasne, że zakupił tę nieruchomość, ponieważ miał dość pieniędzy, żeby to zrobić, a także z uwagi na to, że był to największy dom w promieniu wielu mil. Ale mimo iż pan Daily został właścicielem tej siedziby, nie robił wrażenia, że czuje się tu swobodnie. Zastanawiałem się, ile pokoi pozostaje pustych i nieużywanych przez większość czasu, gdyż oprócz nielicznej służby mieszkali tu tylko on i jego żona. Choć, jak mi sam powiedział, mieli też syna, który się ożenił i zamieszkał z żoną oraz dzieckiem oddzielnie. Pani Daily była spokojną, raczej nieśmiałą i zwiewną, drobną kobietą, która wyglądała na jeszcze bardziej skrępowaną w tym otoczeniu niż jej małżonek. Odzywała się rzadko i wybuchała nerwowym śmiechem, szydełkując coś pracowicie delikatną bawełnianą nitką. Niemniej oboje przyjęli mnie bardzo ciepło, a jedzenie okazało się wyśmienite - na kolację podano piezzonego bażanta oraz ogromny placek z syropem - toteż poczułem się w tym domu nader przyjemnie.

Przed kolacją i w jej trakcie oraz przy kawie, którą pani Daily podała nam w salonie, służyłem opowieści Samuela Daily'ego o jego życiu i powiększaniu majątku. Okazał się osobą nie tyle chełpliwą, ile raczej niezmiernie rozradowaną własną przedsiębiorczością i szczęściem w interesach. Mówił o posiadanych przez siebie akrach i nieruchomościach, o liczbie ludzi, których zatrudniał lub którzy byli jego dzierżawcami, a także o planach na przyszłość, które sprowadzały się do tego, że - jeśli dobrze go zrozumiałem - chciał po prostu zostać największym posiadaczem ziemskim w całym hrabstwie. Opowiadał o swoim synu i wnuczku, dla których budował to imperium. Przyszło mi do głowy, że niektórzy ludzie mogli mu zazdrościć lub nawet oburzać się na niego. Zwłaszcza ci, którzy współzawodniczyli z nim przy zakupie nowych terenów i majątków. Był jednak człowiekiem tak prostym, bezpośrednim i nieukrywającym swoich ambicji, że z pewnością musiano go lubić. Oceniałem go jako przebiegłego, ale nie przesadnie chytrego, bystrego człowieka, który potrafił się targować, zachowując przy tym pełną uczciwość. W miarę upływu wieczornych godzin czułem do niego coraz więcej sympatii i także zacząłem mu się zwierzać, opowiadając o moich skromnych ambicjach, jakie chciałem urzeczywistnić, gdyby pan Bentley dał mi taką szansę, oraz o Stelli i naszych planach na przyszłość.

Dopiero gdy pani Daily zostawiła nas samych w gabinecie, przy małym stoliku zastawionym karafkami dobrego portwajnu i nie gorszej od niego whisky, przedstawiłem mu powody, dla których znalazłem się w tej okolicy.

Pan Daily szczerze napełnił mój kieliszek portwajnem i, podając mi go, powiedział:

- Postąpi pan niemądrze, jeśli będzie pan kontynuował tę sprawę.

Pociągnąłem spokojnie jeden czy dwa łyki, nie odpowiadając, choć szorstka szczerłość jego głosu obudziła głęboko we mnie nagły przypływ strachu, który natychmiast stłumiłem.

- Jeśli chce pan powiedzieć, że powinienem zrezygnować z wykonania pracy, dla której zostałem tu wysłany, odwrócić się plecami i uciec...

- Niech mnie pan posłucha, Arthurze. -W przystępie dobroduszości zaczął zwracać się do mnie po imieniu, nie proponując mi, abym zrewanżował mu się tym samym. - Nie zamierzam zasypywać pana babskimi opowieściami... Pozna je pan szybko, jeśli tylko zacznie pan wypytywać o to miejsce. Może nawet już pan to zrobił.

- Nie - odparłem - słyszałem tylko delikatne aluzje. A pan Jerome trochę pobladł na twarzy.
- Ale udał się pan już na miejsce.

- Byłem tam i przeżyłem coś, czego wolałbym nie doświadczać ponownie, choć muszę przyznać, że nie umiem tego wytłumaczyć.

Po czym opowiedziałem mu ze szczegółami

o kobiecie ze zniszczoną twarzą na pogrzebie

i na starym cmentarzysku, o mojej wyprawie przez bagna podczas mgły i straszliwych odgłosach, jakie tam usłyszałem. Pan Daily siedział bez ruchu z kieliszkiem w dłoni i słuchał, nie przerywając mi aż do końca.

- Wydaje mi się, panie Daily - dodałem - że to, co widziałem, to był upiór, który nawiedza Węgorzowe Moczary i ten stary cmentarz. Kobieta ze zniszczoną twarzą. Po prostu nie mam żadnych wątpliwości, że wyglądała jak to, co ludzie nazywają upiorem. Nie była rzeczywistą, żywą, oddychającą istotą ludzką. Ale nie wyrządziła mi żadnej krzywdy. Nie odezwała się ani nie podeszła do mnie. Nie podobało mi się jej spojrzenie... A jeszcze bardziej siła, jaka zdawała się z niej emanować. Natomiast doszedłem do przekonania, że jest to siła, która może mi tylko napędzić strachu. Jeśli udam się tam i znowu ją zobaczę, będę na to przygotowany.

- A co z koniem i dwukółką na bagnach? Nie umiałem odpowiedzieć, ponieważ to było rzeczywiście dużo gorsze i bardziej przerażające z uwagi na to, że niczego nie widziałem, a tylko słyszałem. Również dlatego, że nigdy -byłem tego pewien - przez resztę mojego życia nie zapomnę krzyków tego dziecka. Pokręciłem głową.

- Mimo wszystko nie ucieknę.

Czułem się silny, siedząc tu przy kominku u niego. Wypełniała mnie męska śmiałość i byłem z tego dumny, o czym gospodarz wiedział doskonale. Przyszło mi do głowy, że uzbrojony w takie przymioty mężczyzna może śmiało iść w bój, choćby miał walczyć z gigantami.

- Nie powinien pan tam jechać.

- Obawiam się, że jednak pojedę.

- Nie powinien pan jechać tam samotnie.

- Nie znajdzie pan nikogo, kto by zechciał pojechać ze mną.

- To prawda - potwierdził pan Daily - ale i panu by się to nie udało.

- Dobry Boże, przecież pani Drablow mieszkała tam sama przez... Ile tego było? Przeszło sześćdziesiąt lat! I dożyła sędziwego wieku. Musiała ułożyć się jakoś ze wszystkimi upiorami, jakie nawiedzają to miejsce.

- No, tak - odparł, podnosząc się. - Być może rzeczywiście zrobiła właśnie to, o czym pan mówi. Bunce odwiezie pana do domu.

- Nie, dziękuję... wolę wrócić na piechotę. Zaczynam znajdować przyjemność w spacerach na świeżym powietrzu. - W rzeczywistości przyjechałem tu rowerem, ale na widok wspaniałej rezydencji pana Daily'ego ukryłem go w rowie za zewnętrzną bramą. Czułem, że nie wyglądałoby to dobrze, gdybym pokonał podjazd na dwukołowym wehikule. Gdy dziękowałem mu za gościnę i wciągałem surdut, pan Daily wydawał się zastanawiać nad czymś i w ostatniej chwili spytał nagle:

- Ciągle trwa pan w swoim postanowieniu?

- Tak.

- W takim razie proszę zabrać ze sobą psa. Roześmiałem się.

- Nie mam psa.

- Ale ja mam - odparł pan Daily, a potem zostawił mnie i ruszył do drzwi, wyszedł na dwór, zszedł po schodach i zniknął w cieniu obok domu, gdzie prawdopodobnie znajdowały się jakieś przybudówki. Czekałem w rozbawieniu, ale także ujęty jego zatroskaniem o mnie. Zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym wykorzystać psa przeciwko duchom czy upiorom. Mimo to byłem gotów przyjąć bez wahania propozycję pana Daily'ego. Lubiałem

psy i pomyślałem, że towarzystwo ciepłokrwistego, żywego czworonoga w tym zimnym, pustym i starym domu sprawiłoby mi przyjemność.

Po chwili usłyszałem tupotanie psich łap, a za nimi miarowe kroki pana Daily'ego.

- Niech ją pan weźmie - powiedział. - A jak się pan upora ze wszystkim, proszę odprowadzić ją z powrotem.

- Pójdzie ze mną?

- Zrobi to, co jej każę.

Spojrzałem w dół. Tuż koło mnie stała mocno zbudowana, nieduża suczka rasy terier z szorstką moregowatą sierścią i żywymi oczami. Machała lekko ogonem, jakby na powitanie, ale poza tym była spokojna i trzymała się blisko pana Daily'ego.

- Jak ma na imię?

- Fryga.

Suczka pomachała znowu ogonem.

- W porządku - powiedziałem. - Przyznaję, będzie mi milej w jej towarzystwie. Dziękuję. -

Po czym odwróciłem się i ruszyłem szerokim podjazdem do bramy. Po kilku krokach odwróciłem i zawołałem: - Chodź tu, Fryga! No chodź, kochana. - Suczka nie ruszyła się z miejsca i wyglądała

na zdezorientowaną. Samuel Daily zachichotał, strzelił palcami i coś powiedział. Fryga natychmiast podbiegła do mnie i posłusznie przykleiła się do moich nóg. Kiedy byłem już pewien, że nie widać mnie z domu, wsiałem na rower, a suczka pobiegła wesoło za mną cichą, oblaną księżycowym światłem, polną drogą w kierunku miasta. Podniosło mnie to na duchu. Dziwna rzecz, ale zacząłem niecierpliwie wyczekiwać następnego dnia.

W POKOJU DZIECINNYM

Rozsunąłem zasłony i stwierdziłem, że piękna pogoda się utrzymuje - świeci słońce, a niebo urzeka czystym błękitem. Miałem lekki, niespokojny sen pełen dziwnych, oderwanych majaków. Być może za dużo zjadłem i wypilem podczas obfitej kolacji u pana Daily'ego. Ale mój nastrój pozostał niezmienny. Byłem zdecydowany i pełen optymizmu. Ubrałem się i zjadłem śniadanie, a potem zacząłem szykować się do kilkudniowej wyprawy na Węgorzowe Moczary. Ku memu zaskoczeniu mała suczka Fryga spała jak suseł koło mojego łóżka. Byłem nią oczarowany, choć miałem dość blade pojęcie o psach i ich zachowaniu. Fryga okazała się pełna animuszu, żywa i czujna, a przy tym całkowicie posłuszna. Wyraz jej błyszczących oczu, prawie niewidocznych za zmierzwionymi kudłami, które opadały

z jej czoła, układając się w nieco komiczny kształt krzaczastych brwi, wydawał mi się bardzo rozumny. Przeleciało mi przez głowę, że jej towarzystwo przyniesie mi wiele zadowolenia.

Tuż po dziewiątej gospodarz zawołał mnie do telefonu. Usłyszałem szorstki i suchy głos pana Bentleya, który bardzo nie lubił posługiwać się tym urządzeniem. Powiedział, że otrzymał mój list i zgadza się, żebym został tu dłużej. Przynajmniej do czasu, gdy uda mi się jakoś posortować papiery po pani Drablow i oddzielić te, które mogły okazać się użyteczne, od bezwartościowych starych śmieci. Miałem zapakować i wysłać wszystko, co wyda mi się ważne, pozostawiając resztę materiału na miejscu, aby w bliżej nieokreślonej przyszłości mogli się nim zająć spadkobiercy. A potem wrócić do Londynu.

- To jest bardzo dziwne miejsce - powiedziałem.

- Bo też ona była dziwną kobietą - odparł pan Bentley i gwałtownie odłożył słuchawkę, aż zadzwoniło mi w uszach.

O dziewiątej trzydzieści miałem już wszystko zapakowane do kosza przy rowerze i paru innych pojemników, mogłem się więc puścić w drogę. Tuż za mną ruszyła lekkim truchtem Fryga. Był na to najwyższy czas, gdyż przy jakimkolwiek opóźnieniu przyplływ mógł zakryć drogę przez ławicę. Przyszło mi nawet do głowy, gdy sunąłem przez otwarte szerokie trzęsawiska, że - przynajmniej w pewnym ograniczonym sensie - palę za sobą

mosty, gdyż gdybym zapomniał o czymś ważnym, nie mógłbym po to wrócić wcześniej niż za kilka godzin.

Słońce stało wysoko na niebie, wody lśniły, wokół mnie otwierały się pełne światła i życia szerokie przestrzenie, nawet powietrze wydawało się czystsze i bardziej radosne.

Srebrzysto-szare i białe ptaki podlatywały w górę i pikowały w dół, a daleko przed mną, na końcu długiej i prostej dróżki, stał Dom na Węgorzowych Moczarach, wzywając mnie do swego wnętrza.

Przybyłem na miejsce i przez około pół godziny pracowałem bez wytchnienia, starając się rozgościć w starym budynku. W nieco ponurej kuchni na tyłach znalazłem naczynia stołowe i sztućce - umyłem je, wysuszyłem i odłożyłem do późniejszego użytku.

Opróżniłem też w spiżarni kącik na moje zapasy. Następnie, przeszukawszy komody i szafki na górze, znalazłem czystą bieliznę i koce. Rozwiesiłem je w salonie przed ogniem w kominku, żeby się przewietrzyły. Rozpaliłem też ogień w innych kominkach,

w małym saloniku i w stołowym, a nawet udało mi się, po serii prób i błędów, rozpalić pod wielką czarną kuchnią tak, że miałem nadzieję zagrzać do wieczoru dość wody, żeby urządzić sobie gorącą kąpiel.

Następnie podniosłem żaluzje i otworzyłem kilka okien oraz urządziłem miejsce do pracy przy dużym biurku w jednej z podokiennych wnęk w pokoju porannym, z którego, jak mi się wydawało, rozpościerał się najładniejszy widok na niebo, bagna i wybrzeże. Obok siebie postawiłem dwa pudła z papierami. Po czym, mając po prawej ręce imbryk z herbatą, a u moich stóp Frygę, zabrałem się do roboty. Było to nader nudne zajęcie, ale przedzierałem się przez nie cierpliwie, rozwiązując i sprawdzając pobieżnie jeden po drugim pliki bezwartościowych starych papierów, aby wrzucić je do pustego pudła, które w tym celu postawiłem po swej drugiej stronie. Były tu stare domowe rachunki, pokwitowania i rozliczenia z dostawcami sprzed trzydziestu i więcej lat. Znalazłem wyciągi bankowe, recepty wystawione przez lekarzy i kosztorysy stolarzy, szklarzy i dekoratorów. Było też mnóstwo listów od nieznanych osób oraz bożonarodzeniowe i rocznicowe kartki z powinszowaniami, choć żadne z nich nie odnosiły się do ostatnich czasów; rachunki z londyńskich domów towarowych oraz zapiski z listami zakupów i miarami.

Do późniejszego przeczytania odkładałem tylko listy. Cała reszta była do wyrzucenia. Od czasu do czasu, aby oderwać się od tego nudnego zajęcia, wyglądałem przez szerokie okna na trzęsawiska, ciągle jeszcze wolne od cieni i urzekające spokojnym pięknem w późnojesiennym słońcu. Zjadłem lunch złożony z chleba z szynką i piwa, po czym, tuż po drugiej, zwołałem Frygę i wyszedłem na dwór. Byłem bardzo spokojny i wesoły, trochę zdrewniał po spędzeniu paru godzin przy biurku, ale bynajmniej nie zdenerwowany. Wspomnienia wszelkich strachów z mojej pierwszej wizyty w domu i na bagnach wyparowały już całkowicie, razem z mgłą, która osaczyła mnie wówczas na krótko. W rześkim i świeżym powietrzu obszedłem skrawek ziemi, na której stał dom, co jakiś czas rzucając patyk Frydze, która pędziła za nim wesoło, aby chwycić go w zęby i aportować. Całkowicie rozluźniony, wdychałem głęboko czyste powietrze. Dotarłem nawet do ruin i starego cmentarzyska, po którym Fryga zaczęła myszkować w poszukiwaniu prawdziwych czy urojonych królików, co jakiś czas rozgrzebując energicznie ziemię przednimi łapami, aby po chwili skoczyć gdzie indziej.

Ale nie zobaczyliśmy ani jednego zwierzaka. Po trawie nie przemknął żaden cień. Przez chwilę wędrowałem wśród starych kamieni nagrobnych, starając się bezskutecznie odcyfrować niektóre imiona i nazwiska, aż dotarłem do zakątka, w którym poprzednim razem stała tamta kobieta w czerni. Odniosłem wrażenie, że na kamieniu, o który się opierała - byłem zupełnie pewien, że dobrze go zapamiętałem -widzę nazwisko Drablow. Poszczególne litery pokryte były słonym osadem naniesionym, jak przypuszczam, przez wiejące tu latami zimowe wichury.

In L ... g Mem net Drablow ...190 nd of He iel... Iow Bor...

Przypomniałem sobie, że pan Jerome wspomniał o kilku zapomnianych grobach rodziny Drablowów znajdujących się nie na przykościelnym cmentarzu, ale gdzie indziej. Mogłem śmia-

ło przypuszczać, że jest to miejsce spoczynku przodków, którzy żyli przed laty. Ale było rzeczą zupełnie pewną, że teraz nie ma tu nic prócz starych kości, toteż nie odczuwałem najmniejszego strachu i stałem spokojnie, kontemplując scenerię tego miejsca.

Poprzednim razem uderzyła mnie ona swoją złowieszczą, niesamowitą grozą, a teraz budziła jedynie zwykłe melancholijne odczucia z powodu popadnięcia w ruinę i zapomnienia. Było to miejsce z rodzaju tych, w których sto lub więcej lat temu lubili przebywać romantycznie usposobieni poeci, szukając w nich natchnienia do przesadnie smutnych wierszy.

Wróciłem wraz z Frygą do domu, ponieważ słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, powietrze mocno się oziębiło, a niebo utraciło swój blask.

Zaparzyłem świeżej herbaty, podsyciłem ogień w kominkach i przed podjęciem na nowo pracy nad nudnymi papierami, przejrzałem na chybił trafił regały w salonie i znalazłem sobie coś do czytania na wieczór - jedną z powieści sir Waltera Scotta i tom poezji Johna Clare'a. Zaniósłem je na górę i położyłem na szafce w małej sypialni. Pokój ten postanowiłem zająć dla siebie głównie dlatego, że znajdował się od frontu i nie był tak przestronny i zimny jak inne, toteż, jak

przypuszczałem, powinien być bardziej przytulny. Z okna rozciągał się widok na część bagien bardziej oddaloną od wybrzeża, a także, jeśli wyciągnąłem szyję, na rysującą się prosto Ławicę Dziewięciu Topielców.

Praca przedłużyła mi się do wieczoru, gdy zaczęło się robić ciemno, toteż zapaliłem wszystkie lampy, jakie tylko mogłem znaleźć, zaciągnąłem zasłony, a potem przyniosłem zapas węgla i drewna do kominków z drewnutni w przybudówce, którą znalazłem za drzwiami pomieszczenia służącego do zmywania naczyń.

Stos papierów do wyrzucenia rósł w pudle, w odróżnieniu od małego stosu dokumentów, które moim zdaniem należało zbadać dokładniej. Z różnych miejsc domu przyniosłem kilka następnych pudełek i szuflad wypełnionych papierami. Gdybym utrzymał takie tempo, na uporanie się ze wszystkim powinien mi wystarczyć jeszcze jeden dzień, najwyżej półtora. Nalałem sobie kieliszek białego hiszpańskiego wina i zjadłem skromną, ale całkiem przyjemną kolację, podzieliwszy się nią z Frygą. Wreszcie, zmęczony pracą, wyszedłem na dwór, na ostatni spacer przed pozamykaniem drzwi na noc.

Panowały cisza i spokój, nie czułem najłżejszych powiewów wiatru. Nie słyszałem nawet

pluskania wody. Wszystkie ptaki pochowały się już w nocnych kryjówkach. Na wiele mil przede mną rozciągały się czarne i ciche trzęsawiska.

Opowiadam o wydarzeniach tamtego dnia - lub raczej o ich braku - ze wszystkimi szczegółami, jakie zapamiętałem. Robię tak po to, aby przypomnieć sobie, że moja psychika znajdowała się w stanie zupełnego spokoju i zrównowżenia. I że dziwne wypadki, które tak mnie uprzednio zdenerwowały, zostały zapomniane. Jeśli w ogóle o nich myślałem, to tylko po to, aby zbyć je wzruszeniem ramion. Nie zdarzyło się nic więcej, nie stała mi się żadna krzywda. Atmosfera dnia i wieczoru była jednostajna, nieciekawa, zwyczajna. Fryga okazała się doskonałym towarzyszem i byłem zadowolony, słysząc jej cichy oddech, od czasu do czasu drapanie pazurami lub tupot łap uderzających w podłogę w tym dużym pustym domu. Jednak dominującym uczuciem były znudzenie i pewnego rodzaju senność, połączona z pragnieniem dokończenia pracy i znalezienia się znowu w Londynie z moją drogą Stellą. Przypomniałem sobie, że postanowiłem powiedzieć jej, że gdy będziemy już mieli własny dom, musimy postarać się o małego pieska, dokładnie takiego, jak Fryga. A nawet postanowiłem poprosić pana Daily'ego, żeby - jeśli

Fryga będzie miała małe - przeznaczył jednego szczeniaczka dla mnie.

Pracowałem wytrwale i w skupieniu, ale zażyłem też trochę ruchu i odetchnąłem świeżym powietrzem. Położywszy się do łóżka, przez około pół godziny czytałem *Więzienie w Edynburgu*, a pies ułożył się na dywaniku koło nóg łóżka. Myślę, że musiałem zasnąć zaraz po zgaszeniu lampy, i zapadłem w całkiem głęboki sen, bo kiedy nagle się obudziłem -, lub może coś mnie zbudziło - przez chwilę byłem oszołomiony i niepewny, gdzie się znajduję i dlaczego. Stwierdziłem, że jest zupełnie ciemno, ale, gdy moje oczy odzyskały ostrość widzenia, zobaczyłem, że przez okno płynie księżycowe światło, ponieważ nie dociągnąłem dość ciężkich zasłon. Zimne, ale piękne światło księżycy padało na haftowaną kołdrę i na ciemne drewno szafy i komody. Pomyślałem, że wstanę z łóżka i popatrzę z okna na trzęsawiska i morski brzeg.

W pierwszej chwili wydało mi się, że wszystko trwa w bezruchu i ciszy, toteż zadałem sobie pytanie, dlaczego się obudziłem. Potem, ze zmartwiałym sercem zobaczyłem, że Fryga stoi przed drzwiami ze zjeżoną sierścią, nastawionymi uszami i uniesionym ogonem, gotowa do skoku. Z jej gardła wydobywało się stłumione niskie

warczenie. Usiadłem jak sparaliżowany w łóżku, świadom tylko psa i gęziej skórki na mojej skórze, a także tego, że panująca w domu cisza zrobiła się nagle inna, złowieszcza i groźna. A potem, skądś z głębin domu - ale z miejsca niezbyt odległego od pokoju, w którym przebywałem - dobiegł mnie dziwny odgłos. Był cichy, toteż mimo iż nastawiłem uszy, nie byłem w stanie go zidentyfikować. Przypominał regularne, ale przerywane stukoty, jakby obijanie się jakiegoś przedmiotu o coś innego. Poza tym nie słyszałem nic innego. Nie doszedł mnie odgłos kroków ani trzeszczenia desek podłogi, powietrze było absolutnie spokojne, z odsuniętego lufcika nie dochodziło jęczenie wiatru. Słysząc było tylko te stłumione hałasy. Fryga nadal stała ze zjeżoną sierścią koło drzwi, dotykając czubkiem nosa szczeliny u dołu i węsząc, to znów cofając się o krok, unosząc łeb i, podobnie jak ja, nasłuchując. I co jakiś czas z jej gardła dobiegał cichy warkot.

W końcu - jak przypuszczam dlatego, że nic innego się nie wydarzyło i mogłem zabrać ze sobą psa - wygramoliłem się z łóżka, chociaż byłem rozdygotany, a serce waliło mi przyspieszonym rytmem. Potrzebowałem trochę czasu na zebranie wystarczającej odwagi, która pozwoliłaby mi otworzyć drzwi sypialni i wyjść na ciemny

korytarz. Gdy to zrobiłem, Fryga wyskoczyła przede mną i usłyszałem, że biega w kółko, obwąchując z zapalem wszystkie zamknięte drzwi, warcząc ciągle i pomrukując.

Po chwili usłyszałem znowu ten dziwny hałas. Zdawał się dochodzić z korytarzyka na lewo ode mnie, z jego drugiego końca. Ale nadal trudno go było zidentyfikować. Bardzo ostrożnie, ciągle nasłuchując i wstrzymując oddech, zrobiłem kilka niepewnych kroków w tym kierunku. Fryga ruszyła przede mną. Po obu stronach korytarzyka znajdowały się drzwi do trzech innych sypialni. Odzyskując po drodze spokój, otworzyłem je po kolei i zajrzałem do środka. Nic, tylko ciężkie, stare meble i puste, nakryte łóżka, a w pokojach położonych w tylnej części domu światło księżyca. Pode mną, na parterze domu, cisza, niespokojna i przytłaczająca, niemal namacalna. I zatechły gęsty mrok.

Wreszcie dotarłem do drzwi na samym końcu korytarzyka. Fryga znalazła się przy nich przede mną. Węsząc u ich podstawy, zeszywniała i zaczęła głośniejsz warczeć. Położyłem rękę na jej obroży, pogłaskałem ją po szorstkiej krótkiej sierści, tyleż dla własnego uspokojenia, co i jej. W jej kończynach i ciele wyczuwałem takie samo napięcie, jak we własnych członkach.

Były to owe drzwi bez dziurki od klucza, których nie zdołałem otworzyć podczas mojej pierwszej wizyty. Nie miałem pojęcia, co się za nimi kryje. Z wyjątkiem tego odgłosu. Dochodził z tego właśnie pokoju, niezbyt głośny, ale bardzo bliski, tuż po drugiej stronie drewnianej przegrody. Był to odgłos czegoś, co dość rytmicznie i łagodnie uderzało o podłogę. Tego rodzaju dźwięk był mi znajomy, ale nadal nie mogłem go zidentyfikować, wydawało mi się tylko, że znam go z przeszłości, tak jakby budził we mnie jakieś dawne, na pół zapomniane wspomnienia i skojarzenia. Odgłos, który w każdym innym miejscu nie napędziłby mi strachu, ale - jak myślę - byłby dziwnie uspokajający i przyjazny. Ale u moich stóp Fryga zaczęła skomleć. Z cichym żalnym i przeraźliwym skowytom cofała się od drzwi i naciskała na moje nogi. Poczulem, że mam ściśnięte i wyschnięte gardło, że zaczynam dygotać. W tym pokoju coś było, a ja nie mogłem się do niego dostać. A gdybym nawet mógł, zabrakłoby mi śmiałości, żeby to zrobić. Powiedziałem sobie, że to musi być szczur albo ptak, który wpadł w pułapkę, zleciał kominem na palenisko i nie potrafi się wydostać. Nie wydawało się jednak, aby te dźwięki mogły pochodzić od jakiegoś małego, przerażonego stworzenia.

Stuk, stuk. Przerwa. Stuk, stuk. Przerwa. Stuk, stuk. Stuk, stuk. Stuk, stuk.

Myślę, że mógłbym tam stać w oszołomieniu i przerażeniu przez całą noc lub może dałbym nogi za pas i razem z psem wybiegł z domu, gdybym nie usłyszał innego, cichego odgłosu. Dochodził z za moich pleców, nie całkiem dokładnie z tyłu, ale w każdym razie z frontowej części domu. Odwróciłem się od zamkniętych na głucho drzwi i, dygocąc i opierając się o ścianę, ruszyłem z powrotem do sypialni, prowadzony przez padające ukośnie światło księżyca, które rozpraszało mrok korytarza. Fryga biegła o pół kroku przede mną.

W sypialni nic się nie zmieniło, łóżko wyglądało tak, jak je zostawiłem, nic nie zakłócało ciszy. Po chwili uświadomiłem sobie, że odgłosy dochodzą nie z pokoju, ale spoza niego, z za okna. Podciągnąłem przesuwany lufcik najwyżej, jak się dało, i wyjrzałem na dwór.

Przed mną rozciągało się srebrzyste bagienne pustkowie, widać było tylko gładką niczym tafla szkła przybrzeżną wodę, w której odbijał się odwrócony księżyc w pełni. Nic.

Nikogo. Z wyjątkiem czegoś, co przypominało dalekie, bardzo dalekie echo. Tak ciche, że zacząłem się zastanawiać, czy nie odzywa się ono w mojej pamięci i czy nie ożywia tam-

tego wołania, tamtego krzyku dziecka. Ale nie. Powierzchnię wody zakłócił leciutki wietrzyk, zmarszczył ją, przemknął kostycznym szmerem wśród kepek trzciny i uleciał dalej. Nic więcej.

Poczułem ciepły wilgotny dotyk na kostce u nogi. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że to Fryga tuli się do mnie i liże moją skórę. Pogłaskałem ją i stwierdziłem, że wrócił jej spokój, rozluźniła się i opuściła uszy. Zacząłem nasłuchiwać. W domu panowała kompletna cisza. Po chwili znowu ruszyłem korytarzykiem do zamkniętych drzwi. Fryga pobiegła wesoło za mną i stanęła potulnie koło nich, być może z nadzieją, że się otworzą. Przyłożyłem do nich ucho. Nic. Absolutna cisza. Niepewnie położyłem dłoń na klamce, czując znowu przyspieszone bicie serca. Wciągnąłem parę razy głęboko powietrze do płuc i pchnąłem drzwi. Nie otworzyły się, ale ich trzeszczenie odbiło się echem w położonym za nimi pokoju, tak jakby na podłodze nie było dywanu. Spróbowałem otworzyć je znowu i nacisnąłem na nie lekko ramieniem. Nie ustąpiły.

W końcu wróciłem do łóżka. Przeczytałem dwa następne rozdziały powieści Scotta, choć niezupełnie rozumiałem ich treść, po czym zgasłem lampę. Fryga ułożyła się znowu na dywaniku. Było parę minut po drugiej.

Długo leżałem w ciemności, zanim udało mi się zasnąć.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy następnego ranka, była zmiana pogody. Tuż po przebudzeniu kilka minut przed siódmą poczułem, że w powietrzu unosi się wilgoć i zrobiło się chłodniej, a gdy wyrząłem przez okno, niemal nie mogłem odróżnić linii dzielącej ląd od wody i wodę od wiszącego nad nią nieba, wszystko było jednolicie szare, a tuż nad trzęsawiskami unosiła się ciężka chmura, z której siąpiła mżawka. Nie był to dzień, który mógłby poprawić nastrój. W dodatku czułem się niewypoczęty i zdenerwowany po ostatniej nocy. Fryga zbiegła jednak po schodach ochoczo i raczej wesoło, a ja niebawem roznieciłem na nowo ogień w kominkach i nastawiłem kocioł z wodą, wykąpałem się, zjadłem śniadanie i poczułem się normalnie, jak każdego innego dnia. Wróciłem nawet na górę i podszedłem do zamkniętych drzwi w wąskim korytarzyku, ale ze środka nie dochodziły żadne odgłosy - ani dziwne, ani jakiegokolwiek inne.

O dziewiątej wyszedłem na dwór, wsiadłem na rower i zacząłem mocno naciskać na pedały, żeby jak najprędzej przebyć łąwicę i dróżką przez pola wrócić do Crythin.

Biegająca za mną

Fryga skręcała co jakiś czas w bok, obwąchując przelotnie rowy albo goniąc za zwierzątkiem, które umykało po polu.

Poprosiłem żonę gospodarza zajazdu, żeby wypełniła mój kosz nowym zapasem jedzenia, i dokupiłem jeszcze parę rzeczy w sklepie spożywczym. Wymieniłem kilka krótkich, żartobliwych uwag z gospodarzem i jego żoną, a także z panem Jerome'em, którego spotkałem w bocznej uliczce. Nie wspominałem jednak ani słowem o tym, jak mi idzie w Domu na Węgorzowych Moczarach. Dzielne światło, choćby nawet tak ponure jak dzisiaj, odnowiło we mnie zapas energii, neutralizując i przepędzając opary nocy. Co więcej, znalazłem miły list od Stelli, pełen sympatycznych narzekań na moją nieobecność oraz dumy z powierzonego mi zadania. Włożyłem go do wewnętrznej kieszeni na piersi i, podbudowany jego ciepłym tonem, wskoczyłem na rower, żeby ruszyć z powrotem w kierunku bagien i samotnego domostwa, pogwizdując po drodze.

Mimo że nie nadeszła jeszcze pora lunchu, musiałem zapalić większość lamp w domu. Panował w nim mrok i było za ciemno, żeby pracować, nawet tuż przy oknie. Wyjrzałem na dwór i stwierdziłem, że zachmurzenie i mżawka

jeszcze się nasiliły. Nie dostrzegałem niemal nic oprócz trawy sięgającej krawędzi wody. Z nadejściem popołudnia opary połączyły się w kłębowisko mgły. Stwierdziłem, że zaczynam się trochę denerwować, i doszedłem do wniosku, że mógłbym się spakować i wrócić do miejskich wygod. Ruszyłem do frontowych drzwi i wyszedłem na dwór. Wilgoć oblepiła moją twarz i ubranie niczym delikatna pajęczyna. Wzrosła siła wiatru, który nadlatywał od wybrzeża, a jego lodowaty chód przejmował mnie do kości. Fryga odskoczyła ode mnie na jeden czy dwa kroki, ale zatrzymała się i obejrzała niepewnie, nie zdradzając większej ochoty, by pobiec gdzieś dalej w taką brzydką pogodę. Nie widziałem ruin ani muru otaczającego stare cmentarzysko, gdyż zasłoniły je mgła i wisząca nisko nad ziemią chmura. Nie mogłem też dostrzec szlaku przez łąwicę, nie tylko z powodu mgły, ale także dlatego, że przypyływ zakrył go już zupełnie. Miał się odsłonić dopiero w późnych godzinach nocnych. Wyszło zatem na to, że powrót do Crythin Gifford okazał się na razie niemożliwy.

Gwizdnąłem na Frygę, która przybiegła natychmiast i z radością, po czym wróciłem do domu i do papierów pani Drablow. Jak dotąd natrafiłem tylko na jeden, nieduży plik dokumentów

i listów, który wyglądał interesująco. Przyszło mi do głowy, że dla odmiany mógłbym poczytać je sobie po kolacji. Aż do tej godziny przeglądałem sterty innych bezwartościowych papierów i ucieszył mnie widok kilku pustych już pudeł i szuflad, choć martwiły mnie te, które nadal były pełne i nieprzejrzane.

Wszystkie listy z pierwszej paczki, obwiązanej wąską ciemnoczerwoną wstążką, napisane były tym samym charakterem pisma. Pochodziły sprzed sześćdziesięciu lat i obejmowały okres od lutego do lata następnego roku. Wysyłano je najpierw z dworku stojącego we wsi, która - jak pamiętałem

z mapy - oddalona była od Gifford o około dwudziestu mil, a potem z wiejskiego domku w Szkocji położonego gdzieś za Edynburgiem. Wszystkie rozpoczynały się od słów „Droga” albo „Najdroższa Alicjo” i podpisane były przeważnie literą J, ale czasami także pełnym imieniem „Jennet”. Były krótkie i utrzymane w bezpośrednim, raczej prostym stylu, a ich przedmiotem była poruszająca, choć niespecjalnie oryginalna historia. Autorka, młoda kobieta, najwyraźniej spokrewniona z panią Drablow, była panną i spodziewała się dziecka. Z początku mieszkała nadal w domu,

z rodzicami; później została jednak odesłana gdzie indziej. Nie znalazłem żadnych wzmianek na temat ojca dziecka, z wyjątkiem kilku aluzji odnoszących się do jakiegoś P. „P nie wróci tutaj”. Oraz: „Myślę, że P został wysłany za granicę”. Przebywając w Szkocji, kobieta ta urodziła syna i natychmiast doniosła o jego przyjściu na świat z rozpaczliwą, chwytającą za serce afektacją. Korespondencja urwała się na kilka miesięcy, ale gdy listy zaczęły nadchodzić znowu, zawierały najpierw namiętne oburzenie i protesty, a później spokojne, pełne rezygnacji rozgoryczenie. Kobietę naciskano, żeby zgodziła się na adopcję dziecka przez inną rodzinę. Odmówiła, powtarzając wielokrotnie, że ona i jej synek „nigdy się nie rozdziela”.

On jest mój. Dlaczego nie miałabym mieć przy sobie tego, co jest moje? Nie pójdzie do obcych ludzi. Prędzej zabiję jego i siebie, zanim pozwolę na odłączenie go ode mnie.

Jednak później ton listów się zmienił.

Czy mogę postąpić inaczej? Jestem zupełnie bezradna. Byłoby mi nie tak przykro, gdybyście wzięli go ty i M. I znowu: Przypuszczam, że tak się musi stać.

A przy końcu ostatniego listu znajdował się dopisek skreślony bardzo drobnym, nieczytelnym pismem: *Kochaj go, troszcz się o niego jak*

o własne dziecko. Ale on należy do mnie, jest mój i nigdy nie stanie się twoją własnością. Och, wybacz mi. Serce chyba mi pęknie.

W tym samym pliku znajdował się krótki dokument wypisany przez prawnika i zawierający oświadczenie, iż Nathaniel Pierston, nowo narodzony syn Jennet Humfrye, został adoptowany przez Morgana Thomasa Drablowa z Domu na Węgorzowych Moczarach koło Crythin Gifford i jego żonę Alice, stając się ich synem. Były do niego dołączone trzy inne dokumenty. Pierwszy zawierał referencje dla niańki Rose Judd, udzielone jej przez lady M. z Hyde Park Gate.

Przeczytałem go i odłożyłem na bok. Już chciałem otworzyć następny w postaci pojedynczej, złożonej na pół kartki, gdy nagle podniosłem oczy, przestraszony odgłosem, który usłyszałem w tym momencie.

Fryga skoczyła do drzwi, wydając takie samo jak poprzedniej nocy, stłumione warczenie. Obejrzałem się na nią i zobaczyłem, że ma zjeżoną sierść na grzbiecie. Przez chwilę siedziałem jak kamień, zbyt przerażony, aby się ruszyć. A potem przypomniałem sobie podjęte wcześniej postanowienie, że nie będę unikał duchów tego domu i śmiało stanę przed nimi. Byłem pewien -choć być może odnosiło się to tylko do godzin

dziennych - że im bardziej będę uciekał przed tymi zjawami, one tym bardziej zajadle będą ścigać mnie i psa, i z tym większą mocą będą mnie niepokoić. Tak więc odłożyłem listy, podniosłem się i spokojnie poszedłem do drzwi małego saloniku, w którym pracowałem. Gdy je otworzyłem, Fryga wyskoczyła natychmiast z pokoju i pognąła w stronę schodów, ciągle warcząc. Usłyszałem, że biegnie korytarzykiem na górze i zatrzymuje się nagle. Podbiegła do zamkniętych drzwi i nawet tu na dole usłyszałem znowu dziwne i delikatne, rytmiczne odgłosy. Stuk, stuk, przerwa, stuk, stuk, przerwa, stuk, stuk...

Zdecydowany dostać się do środka, gdyby mi się to tylko udało, żeby zidentyfikować ów hałas i źródło jego pochodzenia, poszedłem do kuchni i zmywalni, rozglądając się za jakimś młotkiem, dłutem lub innym narzędziem, które umożliwiłoby mi sforsowanie tamtych drzwi. Niczego takiego nie znalazłem, ale przypomniałem sobie, że w przybudówce, gdzie przechowywany był opał, widziałem siekiere, toteż otworzyłem tylne drzwi i, zabrawszy ze sobą latarkę, wyszedłem na dwór.

W powietrzu ciągle wisiała mgła i wilgotna mżawka, choć nie było to nic przypominającego gęste, wirujące opary, w jakich znalazłem się

w środku nocy, gdy usiłowałem przebyć ławicę. Panowały jednak kompletne ciemności; nie było ani księżyca, ani gwiazd na niebie, toteż szedłem do szopy niepewnym krokiem mimo światła z latarki.

Znalazłszy siekiere wracałem do domu, gdy usłyszałem znowu znany mi już hałas, i to dochodzący z tak bliskiej odległości, że wydało mi się, jakby jego źródło znajdowało się zaledwie kilka jardów od domu. Odwróciłem się i zamiast iść przed siebie, okrążyłem szybko dom i podszedłem do frontowych drzwi, spodziewając się, że zastanę przed nimi jakiegoś gościa.

Krocząc po żwirze, skierowałem światło latarki w ciemność w stronę dróżki przez ławicę. To stamtąd dochodziło kłapanie podków konika, poskrzypywanie dwukółki i turkot kół. Ale niczego nie dostrzegłem. I w tej samej chwili doznałem olśnienia, a z gardła wyrwał mi się straszliwy, stłumiony krzyk. Zrozumiałem prawdę. Nikt tu nie jechał - a przynajmniej nie był to żaden żywy człowiek, nawet Keckwick. Odgłosy zaczęły teraz dochodzić z innego kierunku, gdy zaprzęg skręcił z dróżki i zaczął się przedzierać przez otwarte trzęsawisko.

Stałem zdjęty straszliwą trwogą, nastawiając uszy w ponurą, mglistą ciemność i starając się

wyłowić choćby najdrobniejszą różnicę między tymi odgłosami a hałasem, jaki mógł pochodzić od prawdziwego wozu. Ale takiej różnicy nie było. Gdybym mógł pobiec, widząc drogę przed sobą, z pewnością zdołałbym dotrzeć do zaprzęgu, wdrapać się na kozioł i potrząsnąć woźnicą. Byłem jednak w położeniu, w którym nie mogłem zrobić nic. Stałem tylko bez ruchu jak słup, zeszywniały ze strachu, a mimo to rozdygotany wewnątrz w wirze denerwującego zrozumienia, zdany na bezwiedne reakcje i wizje, jakie podpowiadała mi rozbudzona wyobraźnia.

Zauważyłem, że Fryga zbiegła na dół i zatrzymała się koło mnie na żwirze. Przystanęła nieruchomo jak ja i nastawiła uszy w stronę bagien i źródła odgłosów. Zaprzęg zdawał się oddalać, turkotanie kół przycichło, a potem dały się słyszeć odgłosy rozbryzgiwania wody i grzęźnięcia w błocie, którym towarzyszyło parskanie przerażonego konia. Zwierzę się topiło. Cały zaprzęg pogrążał się w ruchomych piaskach i tonął. Aż wreszcie przyszedł straszliwy moment, gdy wody zaczęły zamykać się nad nim z bulgotem i ponad to wszystko, ponad rzenie i prychanie konia wzniósł się krzyk dziecka przechodzący w coraz głośniejszy, przeraźliwy wrzask, który zaczął zamierać stopniowo, dławiony przez wodę. W końcu wszystko się uspokoiło.

Zapanowała cisza, słyszałem tylko dalekie pluskanie wody. Całe moje ciało drżało w rozdygotaniu, usta miałem zupełnie wyschnięte, a wewnętrzne powierzchnie dłoni obolałe od zaciskania na nich paznokci, kiedy stałem tam zupełnie bezradny, wsłuchując się po raz drugi w tę straszliwą sekwencję odgłosów, które odtąd miały się już zawsze, po tysiącokroć, powtarzać w mojej głowie.

Nie miałem żadnych wątpliwości co do tego, że koń, dwukółka i wołające dziecko są nierzeczywiste. Byłem też najzupełniej pewien, że ta ich ostatnia jazda przez bagna i pogrążenie się w zdradliwe ruchome piaski zaledwie sto jardów ode mnie w ciemności nie rozgrywają się naprawdę. Ale z drugiej strony kiedyś, kto wie jak dawno temu, ale jakiegoś konkretnego dnia, ten przerażający wypadek wydarzył się tu, na Węgorzowych Moczarach. Koń i dwukółka powożone przez nieznanego woźnicę, a wraz z nimi pasażer, którym było dziecko, zostali wchłonięci przez bagno i utonęli w kilka chwil. Już sama myśl o tym, a cóż dopiero wsłuchiwanie się w upiorną powtórkę tego wydarzenia, wprawiały mnie w roztrzęsienie, które przekraczało moją

odporność. Stałem drżący i zziębnięty od mgły, nocnego wiatru i potu, który błyskawicznie chłodził moje ciało.

W tym momencie Fryga, ze zjeżoną sierścią i błyskiem w oczach, cofnęła się o kilka kroków, unosząc niemal nad ziemię przednie łapy, i zaczęła wyć, wydając z siebie głośne i długie, bolesne, ściskające za serce psie skargi.

W końcu musiałem wziąć ją na ręce i zanieść do domu - nie posłuchałaby żadnego wezwania. Jej sztywne ciało w moich ramionach mówiło mi wyraźnie, że znalazła się w stanie zupełnego rozstroju, a kiedy postawiłem ją na podłodze w sieni, przywarła do moich nóg.

Dziwna rzecz, ale to właśnie jej bojaźliwość przekonała mnie, że muszę odzyskać panowanie nad sobą, niczym matka, która wie, że aby uspokoić przestraszone dziecko, powinna okazać mu spokojne, śmiałe oblicze. Fryga była tylko psem, ale mimo to czułem się zobowiązany, żeby ją ułagodzić i podnieść na duchu. A robiąc to, sam też się uspokajałem i mogłem nawet zebrać trochę sił. Jednak Fryga tylko przez chwilę pozwoliła mi się głaskać i przeczesywać palcami sierść, bo zaraz potem zerwała się na nogi i, węsząc i warcząc, ruszyła ku schodom. Pobiegnęłem za nią szybko, zapalając po drodze wszystkie światła, jakie tylko mogłem znaleźć. Jak się spodziewałem, pognęła w kierunku wąskiego korytarzyka, przy którego końcu znajdowały się zamknięte drzwi. Spiesząc za nią, już z daleka usłyszałem ten sam irytujący znajomy stukot, który nie dawał mi spokoju,

ponieważ ciągle nie potrafiłem go zidentyfikować.

Dobiegłem do drzwi. Byłem porządnie zdyszany, a serce zdawało się wyprawiać dzikie skoki w mojej piersi. Jeśli jednak najadłem się już wcześniej strachu z powodu tego, co wydarzyło się dotąd w tym domu, to tym razem rzeczywistość przekroczyła najśmielsze oczekiwania. Widok, jaki otworzył się przed mną, gdy dotarłem do końca krótkiego korytarzyka, nappełnił mnie jeszcze większym przerażeniem i przez dobrą chwilę myślałem, że przyprawi mnie o śmierć. A nawet wydawało mi się, że już umieram, gdyż nie mogłem pojąć, w jaki sposób człowiek może znieść tego rodzaju emocje i wstrząsy, pozostając przy życiu, a cóż dopiero przy zdrowych zmysłach. Drzwi do pokoju, z którego dochodziły dziwne odgłosy, drzwi, które były na głucho zamknięte, tak, że nie byłem w stanie wedrzeć się do środka... Drzwi, do których nie było żadnego klucza... Te same drzwi były teraz otwarte. Na oścież!

Za nimi zobaczyłem całkowicie ciemny pokój, z wyjątkiem małego jaśniejszego kręgu przy wejściu. Docierało tam przyćmione światło żarówki z podestu, padając na błyszczącą brązową podłogę. Do moich uszu dochodziły teraz zarówno ów stukot, głośniejszy z powodu otwartych drzwi, jak i hałasy czynione przez Frygę, która biegała niespokojnie tu i tam, sapiąc i obwąchując wszystko po drodze.

Nie wiem, jak długo stałem w straszliwym oszołomieniu, trzęsąc się ze strachu. Straciłem wszelkie poczucie czasu i zwykłej rzeczywistości. W mojej głowie kłębiły się oderwane skojarzenia i emocje, obrazy duchów i realnych intruzów, myśli o morderstwie, przemocy i wszelkiego rodzaju dziwne przelotne lęki. Przez cały ten czas drzwi stały otworem i słyszałem... kołysanie. No właśnie, kołysanie! Tak, na pewno. Doszedłem do tego wniosku, ponieważ uświadomiłem sobie w końcu, skąd biorą się hałasy w tym pokoju, a przynajmniej, z czym mi się one kojarzą. Z odgłosami, jakie wydawał drewniany fotel na biegunach mojej niańki, która kołysała się na nim bezustannie, siedząc przy mnie co wieczór w porze zasypiania, gdy byłem jeszcze małym dzieckiem. Czasami, kiedy chorowałem i leżałem w gorączce lub budziłem się z jakichś męczących snów, ona albo moja matka przychodziły do mnie, wyjmowały mnie z łóżka i siadały ze mną w tym fotelu, tuląc mnie i kołysząc, dopóki się nie uspokoilem i nie ogarnęła mnie znowu senność. Dźwięki, które dochodziły teraz do moich uszu, były identyczne z odgłosami, jakie

pamiętałem z bardzo dawnej przeszłości, z czasów, zanim byłem w stanie zapamiętać świadomie cokolwiek innego. Były to odgłosy, które gwarantowały wygodę i bezpieczeństwo, spokój i pewność. Ten regularny, rytmiczny stukot, który pod koniec dnia przynosił mnie do krainy snów, oznaczał, że jest przy mnie jedna z dwóch najbliższych mi na świecie osób, które kochałem najbardziej. Teraz, gdy nasłuchując stałem w mrocznym wejściu, odgłos ten zaczął wywierać na mnie taki sam hipnotyzujący wpływ. Aż w końcu poczułem odprężenie i senność. A jednocześnie narosłe we mnie lęki i napięcie zaczęły się rozpląwać. Czułem, że z każdym głębokim, powolnym oddechem do moich rąk i nóg napływa ciepło. Nabierałem pewności, że nic nie może podpełznąć do mnie i wyrządzić mi krzywdy, ponieważ mam tuż obok siebie mego obrońcę i strażnika. I być może miałem go rzeczywiście. Być może wszystko, w co uwierzyłem i o czym kiedykolwiek dowiedziałem się w pokoju dzieciennym

na temat niewidzialnych niebiańskich duchów, które unoszą się naokoło, wspierając nas i chroniąc, jest rzeczywiście prawdziwe. Lub może to tylko moje wspomnienia ożywione przez ów jednostajny odgłos kołysania okazały się tak dobroczynne i potężne, że przeważyły i na dobre przegnały wszystkie złe i groźne, niepokojące odczucia...

Jakkolwiek się sprawy miały, byłem już pewien, że mam dość odwagi, żeby wejść do pokoju i stanąć wobec tego, co mogło się w nim znajdować. I zanim to przekonanie zdążyło się zachwiać i wrócił na nowo lęk, który przenikał mnie wcześniej, zdecydowanie i śmiało wkroczyłem do środka. Po drodze uniosłem rękę do kontaktu na ścianie i nacisnąłem go, ale światło się nie zapaliło. Oświetliłem latarką sufit i zobaczyłem, że w oprawce nie ma żarówki. Promienie latarki były jednak wystarczająco jasne, aby umożliwić mi znalezienie odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Gdy znalazłem się już w pokoju, Fryga zaskowyczała cicho z kąta, ale nie podeszła do mnie. Bardzo powoli i ostrożnie rozejrzałem się po wnętrzu.

Pokój wyglądał niemal dokładnie tak, jak dziecięca sypialnia, która odżyła właśnie w mojej pamięci i z którą kojarzyłem sobie kołysanie bu-

janego fotela. Był to pokój dziecięcy. W rogu stało niskie i szerokie drewniane łóżko, niemal identyczne z tym, w jakim ja sam niegdyś sypiałem. A obok niego, naprzeciwko otwartego kominka, stał ukosem bujany fotel, który również był taki sam, jak fotel z mojego dzieciństwa albo bardzo podobny - z ciemnego drewna, być może wiązu, wysoki, ale z nisko umieszczonym siedzeniem i oparciem z wąskich listewek, wspierający się na podniszczonych i szerokich, zakrzywionych biegunach. Gdy mu się przyglądałem, wlepiając w niego wzrok z maksymalną uwagą, bujał się łagodnie i coraz wolniej, tak jak się buja każdy tego rodzaju fotel, z którego właśnie ktoś się podniósł. Ale nikogo tu nie było. Pokój był pusty. Gdyby ktoś właśnie go opuścił, musiałby wyjść na korytarz i natknąć się na mnie, a ja musiałbym odsunąć się na bok, żeby go przepuścić. Szybko omiotłem światłem latarki ściany pokoju. Znajdował się w nim zwykły kominek z parapetem i paleniskiem, było też zamknięte okno z dwoma poprzecznymi drewnianymi listwami, jakie umieszcza się we wszystkich pokojach dziecięcych po to, aby zabezpieczały dzieci przed wypadnięciem na zewnątrz. Nie było innych drzwi.

Bujanie fotela uspokajało się stopniowo, a wreszcie jego ruchy stały się niemal niedostrzegalne i niesłyszalne. Na koniec ustały zupełnie i zapadła cisza.

Pokój miał kompletne umeblowanie i wyposażenie. Panował w nim idealny porządek, tak jakby jego mieszkaniec opuścił go na jedną lub dwie noce lub po prostu wyszedł na spacer. W powietrzu nie było ani śladu wilgoci, ani stęchłego zaduchu wskazującego, że nikt w nim nie mieszka, jak we wszystkich pozostałych pokojach tego domu. Obejrzałem go ostrożnie i uważnie, niemal wstrzymując oddech. Spojrzałem na zasłane, przykryte kapą łóżko opatrzone w komplet prześcieradeł, poduszek i koców. Obok niego stał mały stolik, a na nim maleńki drewniany konik i lichtarzyk z wypaloną w połowie świecą, która tkwiła ciągle w oprawce, oraz wodą w zagłębieniu podstawki. W komodzie i w szafie znajdowały się śliczne, porządnie uszyte ubrania, bielizna osobista, ubiory na co dzień i od święta, a także do zabawy, przeznaczone dla chłopca w wieku sześciu lub siedmiu lat, zdradzające modę, jaka panowała około sześćdziesięciu lat temu. Takie same stroje nosili moi rodzice, gdy byli jeszcze dziećmi, na fotografiach, które ciągle jeszcze mieliśmy w domu. Było tu także mnóstwo dziecięcych zabawek, zadbanych i ułożonych w schludnym porządku. Zobaczyłem całe pułki ustawionych rzędami ołowianych żołnierzyków oraz wiejską farmę na dużej podstawie, z malowanymi stodołami i płotami, kopami siana i małymi drewnianymi kopkami kukurydzy. Był model statku, który miał maszty z

bocianimi gniazdami i płócienne żagle trochę pożółkłe od starości oraz rzemienną cumę. Były plansze do gry w chińczyka i halnę, warcaby i szachy, układanki z wiejskimi pejzażami, cyrkami i scenami z lat chłopięcych sławnego podróżnika sir Waltera Raleigha, w małej drewnianej klatce widać było skórzaną małpkę, a obok kota i cztery kociątka zrobione z wełny, puchatego misia i łysą lalkę z porcelanową głową w marynarskim stroju. Mieszkające tu dziecko miało pióra i pędzelki, butelki z kolorowymi atramentami oraz książkę z dziecięcymi wierszykami, komplet kości do gry i dwie talie kart, miniaturową trąbkę i malowaną grającą szkatułkę ze Szwajcarii, był też cynowy Murzynek Sambo, który miał ruchome ręce i nogi.

Wziąłem kilka z tych przedmiotów do ręki, żeby je pogłaskać, a nawet powąchać. Musiały tu leżeć przez pół wieku, ale można by się było nimi pobawić tego popołudnia i poukładać je na noc.

Znowu poczułem strach. Byłem tym wszystkim zaintrygowany. Czułem się dziwnie, inaczej niż zwykle. Poruszałem się jak we śnie. Ale przynajmniej na razie nie było tu nic, co mogłoby mnie przestraszyć albo wyrządzić mi jakąś krzywdę. Tylko pustka, otwarte drzwi, schludnie posłane łóżko i dziwny nastrój smutku, czegoś utraconego, brakującego - tak że sam poczułem w końcu strapienie i ból w sercu. Jak wyjaśnić, skąd się brały te emocje? Nie umiałbym tego zrobić. Ale pamiętam, że tak właśnie się czułem.

Fryga siedziała teraz spokojnie na dywaniku koło łóżka. W końcu, ponieważ obejrzałem wszystko i nie potrafiłem niczego wyjaśnić, a nie chciałem pozostawać dłużej w tym smutnym nastroju, wyszedłem, obrzuciwszy pokój ostatnim, powolnym spojrzeniem, i zamknąłem za sobą drzwi.

Pora nie była jeszcze zbyt późna, ale nie miałem już sił, żeby kontynuować przeglądanie papierów pani Drablow. Czułem się wyczerpany. Wszystkie emocje, jakie przeżyłem wcześniej, znikły, pozostawiając mnie niczym przedmiot wyrzucony na spokojną plażę pod koniec sztormu.

Zrobiłem sobie drinka z gorącej wody i brandy i obszedłem dom, dorzucając węgli do pale-

nisk i zamykając drzwi przed położeniem się do łóżka. Do poduszki zamierzałem poczytać powieść sir Waltera Scotta.

Podczas tego obchodu zajrzałem na chwilę do korytarzyka, który prowadził do dziecięcego pokoju. Drzwi były zamknięte tak, jak je zostawiłem. Zacząłem nasłuchiwać, ale z wnętrza nie dochodziły żadne odgłosy. Nie chciałem mieć ciszy ani poczucia pustki, toteż wróciłem spokojnie do mojej sypialni we frontowej części domu.

GWIZDNIJ, A PRZYBIEGNĘ

W ciągu nocy wiatr przybierał na sile. Leżąc i czytając książkę, uświadomiłem sobie, że jego porywy stają się coraz gwałtowniejsze i co jakiś czas uderzają w lufciki. Gdy obudziłem się nad ranem, za oknem szalała już potężna wichura. Dom reagował na nią niczym statek na morzu pod ciosami sztormu. Wiatr uderzał z rykiem przez otwarte trzęsawiska. Szczękały wszystkie okna, z kominków i z wszelkiego rodzaju szczelin oraz zakamarków dało się słyszeć pojękiwania i gwizdy.

Z początku byłem tym zaniepokojony. Potem, leżąc spokojnie i zbierając myśli, uświadomiłem sobie, że dom stoi w tym miejscu od lat, mocny niczym latarnia morska, zupełnie samotny i wystawiony na ciosy, znosząc zima za zimą impet sztormów, ulew, mokrego śniegu i bryzgów wody. Nie

wyglądało na to, żeby dał się zmieścić tej nocy. A potem wróciło mi znowu kłębowisko wspomnień z dzieciństwa i zadumałem się nostalgicznie nad wszystkimi nocami, podczas których leżałem sobie w ciepłym i przytulnym schronieniu mojego łóżka w pokoju dzieciennym na najwyższym piętrze naszego rodzinnego domu w Sussex. Wsłuchiwałem się tak jak teraz w porywy wiatru, który miotał się wściekle, wył w szczelinach drzwi i uderzał w okna, ale miał za mało siły, żeby mnie dosięgnąć. Leżałem zatem na plecach w sypialni, w domu pani Drablow i zapadałem w przyjemny, podobny do transu stan między czuwaniem a snem, ożywiając przeszłość i przeżywane wówczas emocje i wrażenia, aż w końcu poczułem, że znowu jestem małym chłopcem.

W pewnej chwili skądś zza okna, z tego wyjącego mroku, do moich uszu doszedł krzyk, przenosząc mnie nagle z powrotem do teraźniejszości i przepędzając wszelki spokój. Zacząłem nasłuchiwać. Nic. Tylko odgłosy wichury przypominające wycie zjawy zwiastującej śmierć oraz kołatanie i grzechotanie okna w jego starych obluzowanych ramach. Potem znowu krzyk, ten znany mi już krzyk rozpaczony i udreki, dochodzący z bagien głos dziecka wołającego o pomoc.

Ale tam nie było dziecka. Wiedziałem o tym. Bo i skąd mogłoby się tam wziąć? Czy mogłem jednak leżeć spokojnie, nie zważając na wołania, nawet jeśli był to głos jakiejś dawno temu umarłej zjawy?

Odpoczywaj w pokoju, pomyślałem, ale to biedactwo nie mogło spełnić mojego życzenia, nie było w stanie tego zrobić.

Chwilę potem wstałem z łóżka. Pomyślałem, że zejść do kuchni i zrobić, sobie drinka, podsyć trochę ogień i usiądę przy nim, starając się nie słyszeć błagalnych krzyków upiora, dla którego nie mogłem nic uczynić. Dla którego nikt nie był w stanie nic zrobić od...

Właśnie, od jak wielu lat?

Gdy znalazłem się na podeście schodów, mając przy sobie Frygę, która natychmiast za mną pobiegła, wydarzyły się naraz dwie rzeczy. Odniosłem wrażenie, że przed sekundą ktoś szedł schodami z góry, a potem obok mnie, aby udać się do jednego z pozostałych pokoi, a jednocześnie dom zachwiał się pod straszliwym uderzeniem wiatru i zgasły światła. Nie zabrałem ze sobą latarki z szafki nocnej przy łóżku i stałem teraz przez chwilę w nieprzeniknionych ciemnościach całkowicie zdezorientowany.

A osoba, która minęła się ze mną i była teraz ze mną w tym domu? Właściwie to nikogo nie widziałem ani nie wyczułem. Nie zaobserwowałem żadnego ruchu ani nie usłyszałem

szelestu rękawa ocierającego się o mój rękaw. Nie poczułem na skórze żadnego zawirowania powietrza, nie usłyszałem nawet odgłosu kroków. Miałem jedynie absolutną pewność, że ktoś dopiero co minął się ze mną i odszedł korytarzem. Tym samym krótkim i wąskim korytarzykiem, który prowadził do pokoju dziecięcego.

Przez chwilę zacząłem naprawdę snuć podejrzenia, że w istocie jest ktoś - inna istota ludzka -kto mieszka w tym domu, kto ukrywa się w tajemniczym pokoju dziecięcym i wychodzi nocą, żeby zdobyć coś do jedzenia i picia albo zaczerpnąć powietrza. Czy mogła to być tamta kobieta w czarnym stroju? Czyżby pani Drablow utrzymywała jakąś samotną starą siostrę lub domow-niczkę, a może zostawiła po sobie jakąś obłąkaną przyjaciółkę, o której nikt nie wiedział? Starałem się rozpaczliwie znaleźć racjonalne wytłumaczenie obecności tej osoby. Obecności, której byłem tak pewien. I w mojej głowie zawirowały wszelkiego rodzaju dzikie, niepowiązane ze sobą domysły. Ale równie nagle ustały. W Domu na Węgorzowych Moczarach nie mieszkał nikt żywy. Byliśmy tu tylko ja i pies pana Daily'ego. Jeśli widziałem i słyszałem kogoś, jak się kołysał

w bujanym fotelu, i dopiero co przeszedł tuż obok mnie oraz otworzył zamknięte drzwi, to ten ktoś nie był postacią realną. Nie. Ale w takim razie, co było realne? Zacząłem wątpić w moje własne istnienie.

Przed wszystkim jednak potrzebne mi było światło, toteż wróciłem po omacku do mojego łóżka. Jednak gdy wyciągnąłem rękę i w końcu wymacałem latarkę, odstąpiłem krok do tyłu i potknąłem się o Frygę. Latarka wypadła mi z ręki. Potoczyła się po podłodze i grzotnęła z łoskotem o ścianę gdzieś koło okna. Usłyszałem słaby odgłos tłuczonego szkła. Rzuciłem przekleństwo, ale udało mi się, pełznąć na czworakach, wymacać ją znowu i nacisnąć wyłącznik. Światło się nie zapaliło. Latarka była zepsuta.

Przez chwilę miałem ochotę wybuchnąć płaczem z rozpacz i strachu, frustracji i napięcia, jak nigdy od czasów mojego dzieciństwa. Ale zamiast popadać w histerię, zacisnąłem pięści i zacząłem walić nimi o podłogę w wybuchu gwałtownej wściekłości, dopóki mnie nie rozboleły. Do zmysłów przywróciła mnie Fryga, która drapnęła mnie lekko łapą w ramię, a potem polizała dłoń, gdy ją do niej wyciągnąłem. Usiadłem razem z nią na podłodze i przytuliłem do siebie jej ciepłe ciało zadowolony, że mam ją przy sobie. Byłem zawsty-

dzony swoim zachowaniem, ale już spokojniejszy i rozluźniony. Wiatr łomotał i ryczał za oknem, a ja znowu usłyszałem przejmujące wołania dziecka, które porywy wiatru niosły w tę stronę.

Byłem pewien, że nie zdołam zasnąć. Ale też nie odważyłbym się zejść po schodach w tych absolutnych ciemnościach i wśród odgłosów szalejącej burzy, wytrącony z równowagi przez świadomość, że w domu jest ktoś jeszcze. Moja latarka leżała strzaskana. Musiałem zdobyć świecę, żeby mieć jakieś światło, choćby słabe i niepewne, dzięki któremu poczułbym się bezpieczniej. Niedaleko, niemal w zasięgu ręki, stała świeca. Widziałem ją wcześniej na stoliku koło łóżka w pokoju dzieciennym.

Przez bardzo długi czas nie mogłem zebrać dość odwagi, żeby wymacać sobie drogę krótkim korytarzykiem prowadzącym do pokoju, który w moim pojęciu był w jakiś dziwny sposób ogniskiem i źródłem wszystkich dziwnych zjawisk zachodzących w tym domu. Znalazłem się całkowicie we władaniu strachu, niezdolny do podjęcia decyzji ani pozbierania myśli, a cóż dopiero do ruszenia się z miejsca. Stopniowo jednak uświadomiłem sobie prawdziwość twierdzenia, że człowiek nie może pozostawać bez końca w stanie wielkiego przerażenia. Albo emocje

rosną do tego stopnia, że pod naciskiem coraz okropniej szych wypadków i skojarzeń ono ogarnia go tak bardzo, że ucieka bądź popada w szaleństwo. Lub też wewnętrzne poruszenie zacznie go stopniowo opuszczać, ustępując miejsca rosnącemu opanowaniu. Wichura wyła nadal nad trzęsawiskami i uderzała w dom, ale były to naturalne odgłosy. Potrafiłem je rozpoznać i znieść, gdyż nie mogły wyrządzić mi żadnej krzywdy. Ciemności nie uległy wprawdzie rozproszeniu i stan ten mógł trwać jeszcze kilka godzin, ale zwykłe zjawisko, jakim jest mrok, nie może napędzić człowiekowi więcej strachu niż odgłosy sztormowej wichury. Nie wydarzyło się nic dziwnego. Wszelkie poczucie obcej obecności rozplynęło się, dalekie wołania dziecka ustały w końcu, a z pokoju dziecinnego nie dochodził żaden najcichszy nawet odgłos bujającego się fotela. Modliłem się skulony na deskach podłogi z przylepioną do mnie Frygą. Błagałem, aby to coś, co mnie prześladowało i znajdowało się w domu, zostało stąd przepędzone. Lub przynajmniej żebym odzyskał dość panowania nad sobą, aby stanąć wobec tego zjawiska i je przewartościować.

Wreszcie podniosłem się niepewnie na nogi. Czułem ból i sztywność we wszystkich członkach od napięcia, które sięgnęło w moim ciele takich wyżyn, że w końcu zmusiło mnie, żebym ruszył się z miejsca. Bądź co bądź byłem uspokojony faktem, że - jak mi się

wydawało - przynajmniej w tej chwili nie muszę stawać wobec niczego, co byłoby groźniejsze od przedzierania się po omacku korytarzem do pokoju dziecięcego w poszukiwaniu świecy.

Odbyłem tę wyprawę bardzo powoli i coraz bardziej roztrzęsiony. Ale okazała się udana, ponieważ znalazłem drogę do stolika koło łóżka, a na nim świecę wraz z podstawką, w której była osadzona. Trzymając ją mocno, zacząłem obmacywać wolną ręką ścianę i meble, żeby wrócić do drzwi.

Powiedziałem, że z wyjątkiem wycia wiatru i kompletnych ciemności tej nocy nie było żadnych innych dziwnych i przerażających odgłosów, które mogłyby napędzić mi strachu. I w pewnym sensie jest to prawda, gdyż pokój dziecinny był całkiem pusty, a bujany fotel stał nieruchomo. Wydawało mi się, że wszystko znajduje się w takim samym stanie, jak przedtem. Nie wiedziałem więc, czemu mógłbym przypisać uczucie, jakie przeniknęło mnie z chwilą, gdy wszedłem do tego pokoju. Nie czułem strachu, a tym bardziej przerażenia, ale ogarnął mnie

obezwładniający ból i smutek. Świadomość zatracenia i żałoby, udreka pomieszana ze skrajną rozpaczą. Oboje moi rodzice ciągle żyli, miałem brata, spore grono przyjaciół i narzeczoną Stellę. Wciąż byłem młodym mężczyzną. Gdyby pominąć nieuniknioną utratę starszych ciotek, wujów i dziadków, nigdy nie zaznałem śmierci nikogo bliskiego. Nigdy nie przeżywałem prawdziwej żałoby i nie pogrążyłem się w ekstremalnym cierpieniu. Nigdy dotąd. Ale tu, w dzieciennym pokoju w Domu na Węgorzowych Moczarach poznałem uczucia, jakie musiałyby towarzyszyć śmierci kogoś najbliższego memu sercu, pozostającego w największej zażyłości z moją osobą. Nie złamały mnie one, ale byłem zdezorientowany i zaintrygowany. Nie widziałem absolutnie żadnego powodu, dla którego miałbym się znaleźć w uścisku tak rozpaczliwej udreki i bólu. Wyglądało to tak, jakbym na czas przebywania w tym pokoju stawał się kimś innym lub przynajmniej doświadczał emocji, które przeżywał ktoś inny.

Zjawisko to niepokoiło mnie tak samo jak wszystkie widzialne i słyszalne wypadki, jakie w ostatnich dniach wydarzyły się głównie na dworze.

Gdy opuściłem pokój dziecienny, zamknąłem za sobą drzwi i stanąłem znowu na korytarzu, doznania te opadły ze mnie niczym okrycie, które nakłada się na krótki czas na ramiona, a

potem zdejmuję. Stałem się znowu sobą, przeżywałem moje własne emocje. Niepewnie wróciłem do sypialni, znalazłem zapalniczki, które trzymałem w kieszeni płaszcza razem z fajką i tytoniem, i wreszcie zapaliłem świecę. Gdy ująłem palcami okrągłą cynową podstawkę, ręka trzęsła mi się tak, że żółty płomień migotał i falował na wszystkie strony, rzucając niesforne odblaski na ściany i drzwi, podłogę, sufit, lustro i szybę w oknie. Mimo to poczułem odprężenie i ulgę, a gdy uspokoiłem się trochę, świeca zaczęła się w końcu palić jasnym, równym płomieniem. Spojrzałem na tarczę mojego zegarka. Była dopiero trzecia nad ranem i miałem nadzieję, że świeca będzie się palić do świtu. Zdawałem sobie jednak sprawę, że przy takiej niepogodzie przyjdzie on z opóźnieniem, tym bardziej że mieliśmy listopad. Usiadłem na łóżku, owinąłem się płaszczem i zabrałem się do czytania powieści sir Waltera Scotta, wyteżając wzrok w słabym świetle. Nie wiem, czy stało się to jeszcze, zanim pierwsze szczupłe promienie dziennego światła wśliznęły się do pokoju, ale w końcu zapadłem w sen, choć

na pewno nie miałem takiego zamiaru. Gdy obudziłem się w środku mokrego, wodnistego świtu, byłem wymęczony i przygnębiony, świeca wypaliła się do ostatniej kropli wosku i zgasła, zostawiając tylko czarną plamę u swojej podstawy, a moja książka leżała na podłodze.

Także i tym razem obudził mnie hałas. Fryga drapała łapami drzwi i skowyczała cicho. Uświadomiłem sobie, że od kilku godzin biedne stworzenie nie było na dworze. Wstałem i ubrałem się prędko, zszedłem po schodach i otworzyłem frontowe drzwi. Niebo było nabrzmiące deszczowymi chmurami, wszystko wyglądało szaro i bezbarwnie, wody przybrzeżne rosły. Ale wiatr ucichł, a powietrze było lżejsze i chłodne, prawie mroźne. Suczka pobiegła najpierw po żwirze w kierunku nędznych traw, żeby się przeciągnąć i odprężyć, podczas gdy ja stałem i ziewałem, rozcierając ręce i drepcąc nogami w miejscu, żeby trochę się ożywić i rozgrzać. Postanowiłem włożyć płaszcz i buty z cholewami, a potem pomaszerować zwawo przez pole, żeby przepędzić z głowy senną ospałość. Odwróciłem się już, zamierzając wejść do domu, gdy z oddali, z głębi trzęsawisk dobiegł mnie bezbłędnie rozpoznawalny, czysty i wyraźny gwizd, taki sam, jakim przywołuje się do siebie psa.

Fryga znieruchomiała na ułamek sekundy, a potem, zanim zdążyłem zebrać myśli i ją powstrzymać, ruszyła pędem, tak jakby gonila uciekającego zająca. Zaczęła oddalać się prędko od domu i bezpiecznej trawy, zagłębiając się w wilgotne bagna. Na kilka chwil znieruchomiałem w oszołomieniu i zdumieniu, niezdolny do zrobienia choćby kroku. Przyglądałem się tylko, jak drobna figurka psa niknie i roztapia się w otwartej przestrzeni rozległego grzędawiska. Nie dostrzegałem tam nikogo, ale gwizdnięcie było prawdziwe i nie miało nic wspólnego ze sztuczkami wiatru. Przysięgnęłbym jednak, że nie wyszło z warg żadnego człowieka. A potem zobaczyłem, że suczka potyka się i zwalnia, a w końcu się zatrzymuje. Z przerażeniem zrozumiałem, że zapada się w błocie, usiłując utrzymać równowagę i nie dać się wciągnąć w zdradliwe podłoże ustępujące pod jej łapami. Rzuciłem się pędem, jakim nie biegłem nigdy dotąd. Nie zważałem na własne bezpieczeństwo, starając się rozpaczliwie udzielić pomocy małemu, dzielnemu stworzeniu, którego towarzystwo w tym odludnym miejscu przyniosło mi tak wiele pokrzepienia i radości. Z początku ścieżka pod moimi stopami była twarda, chociaż błotnista, mogłem więc biec dość

szybko. Czułem na twarzy ukąszenia lodowatego wiatru wiejącego nad wybrzeżem. Z oczu zaczęły mi płynąć piekące łzy, toteż musiałem obetrzeć je dłonią, żeby wyraźniej widzieć drogę przed sobą. Do moich uszu dochodził głośny skowyt Frygi. Pies był przestraszony, ale wciąż znajdował się na powierzchni. Zawołałem do niej, próbując ją uspokoić. Po chwili ja także poczułem, że błotnista ziemia staje się coraz bardziej lepka i niepewna. Moja noga natrafiła na wodnistą dziurę i utkwiała w niej mocno. Zebrałem wszystkie siły i zdołałem ją uwolnić. Ze wszystkich stron otaczała mnie wezbrana i ciemna woda. Idący od morza przyptyw przybrał na sile i dotarł już do samych trzęsawisk, co zmusiło mnie, żebym brodził, a nie szedł zwykłym krokiem. Jednak w końcu, oddychając ciężko i wkładając w każdy ruch maksimum wysiłku, zagłębiłem się w bagna na tyle, że Fryga znalazła się niemal w zasięgu mojej ręki. Biedna psina nie mogła już prawie utrzymać się na powierzchni, jej łapy i połowa ciała znikły w ciastowatym, zdradliwym błocie. Unosiła nad nim już tylko spiczasty pysk, skowycząc i walcząc o życie. Dwa czy trzy razy próbowałem zbliżyć się do niej, ale za każdym razem musiałem zatrzymać się nagle ze strachu, że i ja pójdę na dno. Żałowałem, że nie mam przy sobie jakiegoś kija, który mógłbym wyciągnąć do niej i zahaczyć o jej obrozę. Przez chwilę znajdowałem się w szponach czystej rozpacz, samotny pośród rozległych bagien, mając nad głową

przesuwające się szybko burzowe chmury, a wokół siebie tylko wodę, z której sterczał ten straszliwy dom, jedyne solidne oparcie w promieniu wielu mil.

Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że jeśli poddam się panice, to czeka mnie pewna zguba. Błyskawicznie przeanalizowałem sytuację, a potem bardzo ostrożnie położyłem się całą długością na bagiennym błocie, opierając się z całych sił dolną częścią ciała na małej wysepce twardszego gruntu. Zacząłem cal po calu wyciągać tułów i ręce do przodu, łapiąc z trudem powietrze. Aż w końcu, w chwili, gdy ostatnie fragmenty jej tułowia znikły pod wodą, sięgnąłem ręką i chwyciłem Frygę za szyję, a potem zacząłem ciągnąć ją ze wszystkich sił, nie podejrzewając nawet, że kiedykolwiek mógłbym ich zebrać aż tyle.

Niewątpliwie swoją rolę odegrały tu strach i desperacja. Wreszcie, po trwającej przeraźliwie długo walce o życie ze zdrażliwymi ruchomymi piaskami, które wciągały i mnie, i psa w głąb grzęzawiska, uświadomiłem sobie w końcu, że utrzymam go i wygram. Jeszcze przed chwilą przemoczona

i śliska sierść wymykała mi się z dłoni, teraz z najwyższym wysiłkiem przesunąłem się z powrotem na twardszy grunt. Poczulem, że ciało psa poddało się nagle i pozwoliło pociągnąć w moją stronę, a ja - nie znajdując już oporu w holowaniu go - upadłem na plecy, przytrzymując je z całych sił. Oboje w jednej chwili nasiąkliśmy wodą i błotem. Paliło mnie w piersi i czulem, że za chwilę moje płuca wybuchną, a ręce pourywają się w stawach, do czego w istocie omal nie doszło.

Skrajnie wyczerpani odpoczywaliśmy przez chwilę, dysząc ciężko. Zadałem sobie pytanie, czy zdołam się podnieść, i poczułem się nagle zupełnie bezsilny i zagubiony pośrodku bagien. Biedna psina zaczęła wydawać zdławione pojękiwania i bezustannie ocierała o mnie łeb, bez wątpienia zarówno ze strachu, jak i z wielkiego bólu, gdyż omal jej nie zadusiłem, ściskając ją tak mocno za szyję. Ale i ona, i ja żyliśmy. Odrobina ciepła z naszych ciał i ten krótki odpoczynek ożywiły nas nieco, toteż wziąłem Frygę jak dziecko na ręce i zacząłem przedzierać się z trudem przez bagna, z powrotem do domu. Gdy byliśmy zaledwie kilka jardów od niego, spojrzałem w górę. W jednym z górnych okien, jedynym, które było zabezpieczone listwami, czyli w oknie pokoju

dziecinnego, dojrzałem jakąś postać. Kobiety. Tej kobiety. Patrzyła prosto w moją stronę. Fryga skomlała żałośnie w moich ramionach i pokasływała od czasu do czasu. Oboje dygotaliśmy gwałtownie. Nigdy się nie dowiem, w jaki sposób zdołałem dotrzeć do traw przed domem, ale gdy już się na nich znalazłem, usłyszałem jakieś odgłosy. Dochodziły z drugiego końca dróżki przez ławicę, która zaczynała odsłaniać się właśnie w miarę ustępowania wód przyplýwu. Były to odgłosy konika i dwukółki.

PAKIET LISTÓW

Swieciło jasne światło, a ja wpatrywałem się prosto w nie. A raczej odnosiłem wrażenie, że wwierca się ono we mnie, świdruje moje oczy i przenika prosto do mózgu. Próbowałem odwrócić głowę, która zupełnie mi nie ciążyła, tak jakby wcale nie była osadzona na moich ramionach, ale wirowała i unosiła się lekko jak puch!

A potem światło nagle zgasło. Otworzyłem oczy i stwierdziłem, że znowu pojawił się przede mną normalny świat i zwykłe rzeczy. Uświadomiłem sobie, że leżę rozciągnięty na kanapie w pokoju porannym, a nade mną góruje szeroka, zaróżowiona, zatroskana twarz pana Samuela Daily'ego. Trzymał w ręku kieszonkową latarkę, którą przed chwilą musiał świecić mi prosto w oczy, próbując obudzić mnie w ten bezceremonialny sposób.

Usiadłem, ale ściany natychmiast zaczęły gdzieś uciekać i wykrzywiać w moją stronę, toteż musiałem znowu opaść bezsilnie na plecy. A potem, w błyskawicznym olśnieniu, w mojej pamięci ożyło z wielką wyrazistością wszystko, co się wcześniej wydarzyło - wyprawa po Frygę przez zalane wodą bagna i wysiłki, żeby ją uwolnić, widok kobiety w czarnej sukni w oknie pokoju dziecinnego, a potem te odgłosy, które napełniły mnie tak wielką trwogą, że straciłem panowanie nad sobą i upadłem bez zmysłów na ziemię.

- Ale ten wóz... konik i dwukółka...

- Stoją przed frontowymi drzwiami. Otworzyłem szerzej oczy.

- Och, ja ciągle lubię przejechać się dwu-kółką od czasu do czasu. To przyjemny sposób podróżowania, gdy nie trzeba się spieszyć, a w przypadku jazdy przez ławicę powóz jest dużo bezpieczniejszy niż samochód.

- Ach... - Poczulem przypływ odprężenia, uświadamiając sobie prosty fakt, że odgłosy, które słyszałem, towarzyszyły przybyciu mojego znajomego.

- A pan myślał, że co? - Pan Daily przyglądał mi się z uwagą.

- Chodzi o konika i dwukółkę...

- Tak?

- Tak, właśnie... wcześniej słyszałem inne. Inną.
 - Mógł to być Keckwick - odparł obojętnym tonem pan Daily.
 - Nie, nie.... - Powoli i ostrożnie uniosłem się do pozycji siedzącej. Tym razem pokój nie zawirował mi w oczach.
 - Powinien pan trochę odpocząć.
 - Czuję się już lepiej... nic mi nie jest. To było... - Przeciagnałem wierzchem dłoni po brwiach. - Napiłbym się czegoś.
 - Ma pan pod ręką.
- Odwróciłem głowę i zobaczyłem dzbanek z wodą i szklankę. Nalałem sobie i napiłem się łąpczywie, czując, że z każdym łykiem staję się coraz bardziej odświeżony i spokojny. Widząc to, pan Daily przestał pochylać się nade mną i usiadł na stojącym naprzeciwko mnie krześle.
- Myślałem o panu - powiedział po dłuższej chwili. - Martwiłem się bezustannie i zaczęło mnie to niepokoić.
 - Coś mi się zdaje, że jest jeszcze całkiem rano... wszystko zaczęło mi się mieszać...
 - Rzeczywiście, dość wcześnie. Ciągle się budziłem. Jak powiedziałem, cały czas myślałem o panu.
 - Jakie to dziwne.

- Naprawdę? Mnie wcale się tak nie wydaje. Nie ma w tym nic dziwnego.
- Rzeczywiście.
- I dobrze zrobiłem, przyjeżdżając tutaj.
- Tak, w istocie, jestem panu bardzo wdzięczny. Ale musiał pan chyba... wnieść mnie tutaj? Niczego nie pamiętam.
- Nosilem już osoby cięższe od pana. Jest pan raczej szczupłym mężczyzną.
- Jestem niezwykle rad, że pana widzę, panie Daily.
- Ma pan po temu dobre powody.
- Rzeczywiście, mam.
- W tym bagnie utonęło już wielu ludzi.
- Tak, wiem już coś o tym. Czulem, że ono wciąga mnie w głąb, razem z psem. - Wzdrygnąłem się na to wspomnienie. - Fryga...
- Jest tutaj. Nic jej nie będzie. Spojrzałem w kierunku, w którym wskazał ręką, i zobaczyłem suczkę, która leżała na dywaniku między nami. Na dźwięk swego imienia poruszyła ogonem, ale leżała dalej z łapami oblepionymi grubą warstwą błota, którego strąki schły też na jej sierści. Wyglądała na równie osłabioną i wyczerpaną, jak ja.

- No, to jeśli doszedł pan trochę do siebie, niech pan zabiera to, co może się panu przydać, i ruszamy w drogę.

- W drogę?

- Tak. Przyjechałem zobaczyć, jak pan sobie radzi w tym przeklętym miejscu. I zobaczyłem. Niech pan je lepiej zostawi i pojedzie ze mną, żeby wrócić do sił w moim domu.

Nie odpowiedziałem. Opadłem znowu na plecy i przez dłuższą chwilę przebiegałem w myślach wypadki, do jakich doszło ostatniej nocy i tego ranka - a w istocie także wcześniej, od mojego przyjazdu tutaj. Przypomniałem sobie strach, jaki ogarnął mnie na widok kobiety w czerni, a także lęki wywołane być może obecnością innych osób w tym domu. Byłem pewien, że odgłosy, jakie słyszałem na bagnach, pochodziły od jakichś upiórów. Ale mimo iż wszystko to było przerażające i niewytłumaczalne, przyszło mi do głowy, że gdybym musiał przejść przez to znowu, zrobiłbym to chętnie, choćby dlatego, że byłem coraz bardziej zdecydowany, żeby się dowiedzieć, cóż to za niespokojna dusza wywołuje cały ten zamęt w moich myślach i dlaczego, dlaczego to robi. Gdybym zdołał odkryć prawdę, być może udałoby mi się położyć temu kres na zawsze.

I naprawdę chciałem tego. Nie mogłem znieść dłużej atmosfery, która towarzyszyła tym wydarzeniom, przygniatającej nienawiści i złościwości przepełniającej upióra, który je

prowokował, a także poczucia straszliwego bólu i cierpienia, które mi się udzielało. Wszystko to zdawało się wdzierać do mojej duszy i brać ją we władanie w sposób absolutnie nieznośny. Powiedziałem panu Daily'emu, że pojedę z nim z zadowoleniem i wdzięcznością, żeby choć przez krótką chwilę odpocząć w jego domu. Byłem jednak zmartwiony, że opuszczę to miejsce, nie wyjaśnwszy tajemnicy. Miałem też na uwadze i to, że w jakimś momencie ktoś inny będzie musiał dokończyć niezbędnego sortowania i pakowania papierów po pani Drablow.

Wspomniałem o tym panu Daily'emu.

- A co pan tu znalazł, panie Kipps? - zapytał. - Mapę z oznaczeniem miejsca, w którym zakopano skarb?

- Nie, wręcz przeciwnie. Zwykle śmieci, stare niepotrzebne papierzyska i niewiele interesujących dokumentów. Żadnych wartościowych rzeczy. Szczerze mówiąc, wątpię, czy jest tu jeszcze coś ciekawego. Mimo wszystko teraz czy kiedy indziej ktoś będzie musiał wykonać tę pracę. Jesteśmy do tego zobowiązani.

Podniosłem się na nogi i zacząłem chodzić po pokoju, próbując rozruszać kończyny. Stwierdziłem, że znajdują się w jakim takim porządku.

- W tej chwili mogę tylko powiedzieć, że będę bardzo zadowolony, jeśli zostawię to wszystko za plecami. Znalazłem jedną czy dwie kartki, które chętnie przeczytałbym znowu, wyłącznie z własnej ciekawości. Jest też pakiet starych listów, do którego dołączonych zostało kilka dokumentów. Przeglądałem je wczoraj wieczorem. Zabiorę je ze sobą.

Podczas gdy pan Daily obchodził pokoje na dole, żeby zaciągnąć zasłony i sprawdzić, czy ogień wygasł we wszystkich kominkach, ja udałem się najpierw do saloniku, w którym pracowałem, żeby pozbierać wspomniane listy, a potem poszedłem na górę po moje rzeczy. Nie bałem się już niczego, ponieważ przynajmniej na jakiś czas opuściłem ten dom, a także z powodu uspokajającej obecności pana Samuela Daily'ego. Nie wiedziałem, czy jeszcze tu wrócę, ale gdyby do tego doszło, to z pewnością nie zrobię tego sam. Byłem więc najzupełniej spokojny, gdy dotarłem do szczytu schodów i skręciłem w stronę zajmowanej przeze mnie małej sypialni. Wypadki ostatniej nocy zdawały się należeć już do odległej przeszłości i nie mogły wyrządzić mi więk-

szej krzywdy niż jakiś szczególnie niepokojący sen.

Szybko spakowałem torbę, zamknąłem okno i zaciągnąłem zasłony. Na podłodze leżały resztki potłuczonej latarki. Zmiotłem je kantem buta do najbliższego kąta. Na dworze panował zupełny spokój, wiatr zdążył ucichnąć od świtu, choć -gdy zamknąłem oczy - wydało mi się, że znowu słyszę jego jęki i wycia, wraz ze wszystkimi hałasami i grzechotami, jakie podnosił w tym starym domu. Miały one swój niewątpliwy udział w doprowadzeniu mnie do takiego rozstroju nerwowego, ale doskonale odróżniałem te przypadkowe, naturalne zjawiska - morską burzę, uderzenia wichru o trzeszczące okiennice i panujące ciemności - od innych, upiornych wypadków i towarzyszącej im atmosfery. Wiedziałem też, że pogoda mogła się zmienić, wiatr mógł ucichnąć, słońce mogło świecić, Dom na Węgorzowych Moczarach stać sobie spokojnie i cicho, a mimo to całe to miejsce nie traciło nic ze swojego przerażającego klimatu. Ktoś, kto je nawiedzał, budząc z uśpienia tak straszliwe emocje, nadal odwodziłby od zmysłów każdego, kto by tu zawitał. Byłem tego pewien.

Dokończyłem zbierania moich rzeczy i wyszedłem z pokoju. Gdy dotarłem do podestu

schodów, nie mogłem się powstrzymać od rzucenia szybkiego lęklivego spojrzenia w stronę korytarzyka, który prowadził do pokoju dziecinnego.

Drzwi do niego były uchylone. Przystanąłem, czując, że zaczyna rosnać we mnie ukryty tuż pod powierzchnią niepokój. Serce zaczęło mi mocniej bić. Słyszałem kroki pana Daily'ego na dole i pacnięcia łap Frygi, która nie odstępowała go na krok. Uspokojony ich obecnością zebrałem się na odwagę i ostrożnie ruszyłem w stronę półotwartych drzwi. Dotarłem do nich i się zawahałem. Ona tu jest. Nie tak dawno widziałem ją przecież w oknie. Kimkolwiek była, tu, w tym pokoju ogniskowały się jej pragnienia, jej troski czy może cierpienia - nie miałem pojęcia co. Tu znajdowało się samo sedno tajemnicy jej pojawiania się.

W tej chwili ze środka nie dobiegał żaden odgłos. Bujany fotel stał bez ruchu. Bardzo powoli, cal po calu, zacząłem otwierać drzwi coraz szerzej, a potem zrobiłem parę kroków do przodu, dopóki moim oczom nie ukazało się całe wnętrze.

W pokoju panował nieład, jaki mogła zostawić po sobie banda włamywaczy nastawionych na dzikie, bezsensowne niszczenie wszystkiego.

Tam, gdzie wcześniej oglądałem porządnie posłane łóżko, teraz leżały wyciągnięte skądś i

rozrzucone bezładnie ubrania. Część z nich walała się też po podłodze. Drzwi szafy i szuflady małej komódki były otwarte, a znajdujące się w nich części garderoby wyciągnięto do połowy tak, że zwisały niczym wnętrzności z wypatroszonego ciała. Ołowiane żołnierzyki leżały poprzewracane jak figurki do gry w kręgle, drewniane zwierzątka z arki rozrzucone na półce, książki były pootwierane i miały podarte okładki, układanki i gry zwalone wszystkie razem na bezładny stos na środku podłogi. Miękkie lalki porozdzierano i odarto z ubiorów, cynowy Sambo leżał zmiażdżony jak od uderzenia młotkiem. Szafka nocna koło łóżka i mały kredensik były przewrócone. A bujany fotel z wysokim oparciem został odepchnięty na środek i niczym wielki ptak brodzący spoglądał z góry na to rumowisko.

Przemierzyłem pokój i podszedłem do okna, ponieważ przyszło mi do głowy, że wandalę mogli dostać się przez nie do środka. Było solidnie zamknięte i przerdzewiałe, ale drewniane listwy pozostały nietknięte, na swoim miejscu. Nikt nie mógł wtedy wejść.

Wdrapałem się niepewnie do dwukółki pana Daily'ego, która czekała na podjeździe. Potknąłem się przy tym, a on poczuł się zobowiązany, żeby chwycić mnie za ramię i podeprzeć, dopóki nie złapię równowagi. Zauważyłem, że przez chwilę wpatrywał się w moją twarz i jej bladość powiedziała mu, że przeszedłem nowy wstrząs. Ale nie skomentował tego ani słowem, a tylko owinał mi nogi grubym pledem, posadził Frygę na moich kolanach, żebyśmy poczuli się oboje bardziej komfortowo, a potem cmoknął na konika i zawrócił.

Zostawiliśmy za sobą zwirowany podjazd, przejechaliśmy pas dziko rosnących traw i zaczęliśmy przemierzać Ławicę Dziewięciu Topielców. Wody odpływu systematycznie ustępowały, niebo miało jednolity perłowszary odcień, powietrze było wilgotne i zimne, ale wiatr uspokoił się już po niedawnej burzy. Wokół nas rozciągały się szare, mgliste i ponure bagna, a przed nami leżała płaska, ociekająca wodą posepna równina pozbawiona barw, roślinności i jakichkolwiek pagórków. Koń truchtał jednostajnie i spokojnie, a pan Daily mruczał coś niemelodyjnie pod nosem. Siedziałem jak w transie, zdrętwiały i nieświadom niczego z wyjątkiem toczenia się dwukółki i wilgoci wiszącej w powietrzu. Gdy dotarliśmy do drózek przez pola i zostawiliśmy bagna i wybrzeże za plecami, obejrzałem się przez ramię. Stalowszary, ponury Dom na Węgorzowych Moczarach

wznosił się niczym skalna turnia, spoglądając pozbawionymi wyrazu zasłoniętymi oknami. Nie dostrzegłem śladu czyjejkolwiek sylwetki, najmniejszego cienia, żadnej żywej czy umarłej duszy. Pomyślałem, że nikt nie obserwował naszego odjazdu. Chwilę potem podkowy konika zaczęły kłapać po smołowanej kostce wąskiej dróżki między rowami a wybujalnymi żywopłotami z tarniny. Odwróciłem oczy od tego okropnego miejsca, modląc się żarliwie w duchu, żebym nie musiał oglądać go nigdy więcej. Od chwili, gdy usiadłem w dwukółce, pan Samuel Daily odnosił się do mnie grzecznie i z wielką troskliwością, jakbym był kaleką, ale gdy przybyliśmy do jego domu, zdwoił jeszcze wysiłki, żebym odpoczął i zapomniał o tym, co mi się przytrafiło. Czekał na mnie gotowy, duży i cichy pokój z małym balkonem wychodzącym na ogród i rozpościerające się za nim otwarte pola. Do hotelu Gifford Arms wysłano natychmiast służącego po moje rzeczy. Po lekkim śniadaniu zostałem pozostawiony samemu sobie, żebym

mógł się zdrzemnąć. Fryga została wykąpana i doprowadzona do porządku, a potem przyprowadzono ją do mnie ze słowami „Och, bo pan się do niej przyzwyczaił”. Leżała teraz zadowolona koło mojego fotela, najwyraźniej nie pamiętając już skutków niemiłej przygody na trzęsawiskach.

Leżałem, ale nie mogłem usnąć. W moim umyśle panował ciągle zamęt i rozgorączkowanie, nadal też czułem nerwowe napięcie. Byłem głęboko wdzięczny gospodarzom za tę ciszę i spokój, ale nade wszystko za świadomość, że chociaż jestem tu zupełnie sam i nikt mi nie przeszkadza, to w pozostałej części domu, na dole i w należących do niego oficynach są ludzie. Mnóstwo ludzi zajmujących się swoimi codziennymi sprawami. Ich obecność przywracała we mnie tak bardzo potrzebną mi teraz wiarę, że zwykły normalny świat porusza się ciągle swoim wyznaczonym kursem.

Usilnie starałem się nie dopuścić, żeby mój umysł roztrząsał nadal to, co mi się przydarzyło. Ale napisałem nieco powściągliwy list do pana Bentleya oraz pełniejszy do Stelli - choć ani jemu, ani jej nie opowiedziałem wszystkiego i nie zwierzyłem się z tego, jak bardzo ucierpiały moje nerwy.

Następnie wyszedłem na spacer i okrążyłem kilka razy duży trawnik, ale powietrze było zimne i wilgotne, toteż prędko wróciłem do pokoju. Pan Daily się nie pokazywał. Przez

mniej więcej godzinę przed południem drzemałem z przerwami w fotelu i byłem mile zdziwiony tym, że choć raz czy dwa szarpnąłem się w nagłym przypiływie zaniepokojenia, to w krótkim czasie zdołałem się rozluźnić i poczułem się odświeżony bardziej, niżbym się tego spodziewał.

O pierwszej usłyszałem pukanie do drzwi i służąca spytała, czy wolę, żeby mi podano lunch tutaj, czy też zejść, żeby go zjeść w jadalni.

- Dziękuję, proszę powiedzieć pani Daily, że zjem go razem z domownikami.

Umyłem się i doprowadziłem do porządku, zawołałem Frygę i zszedłem na dół.

Państwo Daily byli uosobieniem troskliwości i uprzejmości. Nalegali, żebym został u nich dzień lub dwa dłużej i dopiero potem wrócił do Londynu. Gdyż podjąłem już stanowczą decyzję, żeby wrócić - za nic w świecie nie spędziłbym ani godziny więcej w Domu na Węgorzowych Moczarach. Okazałem tyle śmiałości i zdecydowania, na ile człowiek może się zdobyć, ale zostałem pokonany i nie bałem się przyznać do tego ani też nie odczuwałem najmniejszego wstydu. Można oskarżyć człowieka o tchórzostwo, jeśli ucieka

przed wszelkiego rodzaju fizycznymi zagrożeniami. Ale gdy już nie tylko jego bezpieczeństwu i dobremu samopoczuciu, ale wręcz jego zdrowiu i jego najtajniejszym jestestwu zaczynają zagrażać zjawiska nadprzyrodzone, bezcielesne i niewytłumaczalne, wtedy odwrót jest oznaką nie słabości, ale tego, że wybrał rozsądną linię postępowania. Mimo to byłem trochę zagniewany. Nie na siebie, ale na to, co nawiedzało Dom na Węgorzowych Moczarach, złościłem się na nieobliczalne i bezsensowne zachowanie tego niespokojnego stworzenia. I na to, że uniemożliwiło mi - jak zresztą niewątpliwie uniemożliwiłoby każdemu innemu człowiekowi - wykonanie mojej pracy. Być może denerwowali mnie też ludzie - pan Jerome, Keckwick, gospodarz hotelu, nawet Samuel Daily - którzy, jak się okazało, mieli rację, jeśli chodzi o to miejsce. Byłem młody i wystarczająco arogancki, aby odczuwać zniechęcenie. Odebrałem surową nauzkę. Tego popołudnia, znowu pozostawiony samemu sobie po doskonałym lunchu - niebawem pan Daily udał się z wizytą do jednej ze swych dalej położonych farm - wyjąłem pakiet papierów pani Drablow, które zabrałem ze sobą, ponieważ ciągle byłem ciekaw historii, która zaczęła mi się rysować po wstępnej lekturze listów. Pomyślałem, że spróbuję ją poskładać. Trudność polegała oczywiście na tym, że nie wiedziałem, kim jest młoda

kobieta, która podpisywała swoje listy literą „J” lub pełnym imieniem Jennet. Nie miałem pojęcia, czy była krewną pani Drablow lub jej męża, czy tylko przyjaciółką. Wydawało się jednak, że tylko pokrewieństwo mogło ją zachęcić czy raczej zmusić do oddania nieślubnego dziecka w adopcję innej kobiecie, i to w sposób, jaki odsłaniały listy i dokumenty prawne.

Litowałem się nad tą J., czytając ponownie jej krótkie, przejmujące listy. Jej gorąca miłość do dziecka i rozstanie z nim, jej protesty i rozpaczliwa walka o utrzymanie go przy sobie zakończona przyjęciem rozwiązania, jakie jej proponowano, napełniły mnie smutkiem i współczuciem. Prawdopodobnie dziewczyna z ludu, żyjąca blisko sześćdziesiąt lat temu w zwartej, zamkniętej wspólnotce, poradziłaby sobie lepiej w tego rodzaju sytuacji niż panienka ze szlacheckiej rodziny, którą potraktowano w sposób tak bezlitosny, nie licząc się zupełnie z jej uczuciami. Pamiętałem jednak i o tym, że w wiktoriańskiej Anglii dziewczyny z ludu czuły się często przymuszone

do mordowania albo porzucania swoich nieślubnych dzieci. Jennet mogła mieć przynajmniej pewność, że jej syn żyje i wychowuje się w dobrym domu. Zabrałem się do przeglądania innych dokumentów dołączonych do listów. Znalazłem wśród nich trzy świadectwa zgonu. Pierwsze dotyczyło chłopca, Nathaniela Drablowa, który miał sześć lat. Jako przyczynę jego śmierci podano utopienie. Tę samą datę nosiło następne, podobne świadectwo, z którego wynikało, że utopienie było również przyczyną zgonu Rose Judd.

Poczułem straszliwy lodowaty uścisk w żołądku, który zdawał się sięgać mojego gardła. Byłem pewien, że jeśli nie zwymiotuję, to się zadławię. Jednak nic takiego się nie stało, zerwałem się tylko na nogi i zacząłem przemierzać w podnieceniu pokój, ściskając w dłoni dwie zmięte kartki.

Po chwili zmusiłem się, żeby rzucić okiem również na ostatni z trzech dokumentów. Było to także świadectwo zgonu, opatrzone jednak datą o dwanaście lat późniejszą niż tamte dwa.

Odnosiło się ono do Jennet Elizy Humfrye, niezamężnej kobiety w wieku trzydziestu sześciu lat. Jako powód jej śmierci podano po prostu „niewydolność serca”.

Opadłem ciężko na fotel. Byłem jednak zbyt poruszony, żeby pozostać w nim dłużej, toteż krzyknąłem w końcu na Frygę i wyszedłem znowu na dwór. Listopadowe popołudnie

zaczynało już przechodzić we wczesny zmierzch. Oddaliłem się od domu i ogrodu pana Daily'ego, wyszedłem poza stodoły, stajnie i szopy. Wybrałem drogę na przełaj przez jakieś ściernisko. Czułem, że potrzebuję fizycznego wysiłku. Niebawem znalazłem się wśród brązowych zagonów zaoranej ziemi, przedzielanych niskimi żywopłotami, z których tu i tam wyrastało parę wiązów. Ich pozbawione liści gałęzie pełne były gniazd gawronów, z których co jakiś czas zrywały się do lotu te brzydkie czarne ptaki i łączyły się w hałaśliwe stada, krążące z krakaniem po ołowianym niebie. Pola omiatał lodowaty wiatr, który niósł ze sobą bryzgi zacinającego deszczu. Fryga wydawała się zachwycona spacerem.

Podczas marszu przez pola wszystkie moje myśli skupiły się na papierach, które właśnie przeczytałem, i na opowiedzianej przez nie historii. Dopiero teraz zaczynała ona nabierać wyraźnego, kompletnego kształtu. Drogą przypadkowych skojarzeń znalazłem też jeśli nie pełne, to przynajmniej częściowe rozwiązanie problemu tożsamości kobiety w czerni, a także odpowiedź

na wiele innych pytań. Jednak mimo iż wiedziałem teraz więcej, nie byłem usatysfakcjonowany tymi odkryciami, lecz tylko poruszony i zaniepokojony. A przede wszystkim przestraszony. Miałem świadomość, że tak naprawdę nadal nic nie wiem i niczego nie wyjaśniłem, a tylko popadłem w nowe oszołomienie. Bo i jak można wyjaśnić tego rodzaju rzeczy? Pisałem już, że wierzę w duchy nie bardziej niż pierwszy lepszy młody mężczyzna, mający solidne wykształcenie, jaką taką inteligencję i skłonność do rzeczowego spoglądania na różne zjawiska. Ale przecież widziałem upiora. A ten tragiczny wypadek, który naprawdę wydarzył się wiele lat temu, jakimś sposobem powtarzał się wciąż na nowo, tyle że w innym wymiarze niż zwykła terażniejszość. Koń ciągnący dwukółkę, która wiozła sześciolatniego chłopca o imieniu Nathaniel, adoptowanego syna państwa Drabio w, oraz jego opiekunkę, jakimś sposobem zgubił drogę we mgle, która napłynęła od morza. Zboczył z bezpiecznego szlaku w trzęsawiska, gdzie wchłonęły go ruchome piaski i muł rozmyty przez rosnące wody przyływu. Chłopiec utonął wraz ze swoją niańką, a prawdopodobnie ten sam los spotkał również konia i woźnicę, który powoził zaprzęgiem. I teraz wypadek ten, lub może tylko jego upiorne wspomnienie, powtarzał się znowu na tych samych grzęzawiskach. Nie wiedziałem tylko, jak często. Jediną różnicą był fakt, że teraz nie można już było niczego

zobaczyć, a tylko usłyszeć.

Jeśli chodzi o inne sprawy, to wiedziałem jedynie, że matka chłopca, Jennet Humfrye, zmarła na wyniszczającą chorobę dwanaście lat po swoim synku. I że oboje zostali pochowani na nieużywanym obecnie, zrujnowanym cmentarzyku opodal Domu na Węgorzowych Moczarach. Pokój dziecienny chłopca w tym domu został zachowany w takim stanie, w jakim znajdował się w chwili jego śmierci, wraz z jego łóżkiem, ubrankami i zabawkami. Niczego w nim nie zmieniono, a jego matka nawiedzała wciąż to miejsce. Co więcej, jej ból i cierpienie, w połączeniu z tłumioną nienawiścią i pragnieniem zemsty, osiągnęły takie natężenie, że zatrwały atmosferę całego otoczenia.

I właśnie siła tych emocji napełniała mnie wielkim niepokojem. Uważałem bowiem, że to w niej tkwi moc wyrządzania krzywdy. Tylko komu? Czyż wszyscy ludzie, którzy otarli się o te wydarzenia, nie pomarli? Albowiem pani Dra-blow była prawdopodobnie ostatnią osobą, która należała do osób ściśle związanych z tą historią.

Poczułem zmęczenie i zawróciłem w stronę domu. Nie byłem w stanie znaleźć żadnego

wyjaśnienia całej tej sprawy. I być może dlatego, że wszystko to było niewytłumaczalne, nie opuszczało moich myśli. Martwiłem się nią przez całą drogę powrotną i roztrząsałem znaczenie każdego szczegółu, siedząc w moim cichym pokoju i wyglądając co jakiś czas na dwór w wieczorne ciemności.

W chwili, gdy usłyszałem gong wzywający na kolację, byłem już w stanie takiego wzburzenia, że postanowiłem podzielić się całą tą historią z panem Dailym. I poprosić go, żeby z kolei on podzielił się ze mną wszystkim, co wiedział lub kiedykolwiek słyszał o sprawie.

Sceneria była dokładnie taka sama jak poprzednim razem. Po kolacji zasiedliśmy w wygodnych fotelach z wysokim oparciem w gabinecie pana Daily'ego, przy niskim stoliku z karafką i kieliszkami. Po kolejnym wyśmienitym posiłku czułem się znacznie lepiej. Dotarłem właśnie do końca mojej opowieści. Pan Daily nie przerwał mi ani razu. Siedział zasłuchany, odwróciwszy ode mnie twarz, podczas gdy ja z zaskakującym spokojem ożywiałem wszystkie wypadki z mojego krótkiego pobytu w domu na Węgorzowych Moczarach, doprowadzając je do momentu, w którym on wcze-

snym rankiem znalazł mnie zemdlonego przed domem. Przedstawiłem mu także wnioski, do jakich doszedłem po lekturze pakietu listów i świadectw zgonu.

Pan Daily nie odzywał się przez kilka minut. Słyszeć było tykanie zegara. Ogień w kominku palił się równym, łagodnym płomieniem. Fryga leżała naprzeciwko niego na dywaniku przed kominkiem. Opowiedziawszy całą tę historię, poczułem się jak po spowiedzi. Miałem dziwnie lekki umysł i czułem osłabienie w całym ciele, jak po gorączce lub przeżyciu silnego przestraszenia. Przyszło mi jednak do głowy, że od tej chwili mogę się czuć już tylko coraz lepiej, ponieważ będę się oddalał spokojnie, krok po kroku, od tych okropnych wypadków. Byłem tego absolutnie pewny.

- No, cóż - powiedział w końcu. - Przebył pan długą drogę od tamtego wieczoru, kiedy to spotkaliśmy się w wieczornym pociągu.

- Wydaje mi się, jakby to było sto lat temu. Czuję się innym człowiekiem.

- Przeplłynął pan wzburzone morze.

- Tak, i znalazłem się w ciszy, która następuje po burzy. Widać już koniec tej sprawy.

Na twarzy pana Daily'ego pojawił się wyraz z troskania.

- Niech się pan nie martwi - rzuciłem śmiało. - Nie myśli pan chyba, że może to spowodować jakieś dodatkowe nieszczęścia? Nie mam najmniejszego zamiaru tam wracać. Nic mnie do tego nie zmusi.

- Nie, w istocie.

- W takim razie wszystko w porządku.

Pan Daily nie odpowiedział, ale pochylił się do przodu i nalał sobie kolejną małą porcję whisky.

- Choć zastanawiam się, co się stanie z tym domem - dodałem. - Jestem pewien, że nikt miejscowy nie zechce w nim zamieszkać, nie wyobrażam też sobie, żeby ktoś z zewnątrz, kto by w nim osiadł, pozostał dłużej w tym miejscu, gdyby się tylko dowiedział, co się tam naprawdę dzieje... Nawet w przypadku, gdyby udało mu się uchronić od wysłuchania opowieści na ten temat. Poza tym dom ma piekielnie niewygodną lokalizację jako miejsce do zamieszkania. Kto by go zechciał?

Samuel Daily pokręcił głową.

- Czy nie sądzi pan - spytałem po dłuższej chwili, podczas której siedzieliśmy w milczeniu, obracając w głowach własne myśli - że tę biedną starą kobietę nachodził dzień i noc upiór jej siostry i że musiała znosić te okropne hałasy? -Pan Daily powiedział mi bowiem, że obie kobiety były siostrami. - Jeśli tak rzeczywiście było, to zastanawiam się, jak ona zdołała to wytrzymać i pozostać przy zdrowych zmysłach?

- Być może nie musiała.

- Być może.

Odnosiłem coraz silniejsze wrażenie, że pan Daily coś przede mną ukrywa. Jakieś wyjaśnienie lub informację o Domu na Węgorzowych Moczarach i rodzinie pani Drablow. A ponieważ to przypuszczenie uczepliło się mnie na dobre, nie mogłem się odprężyć ani uspokoić, dopóki nie dowiem się wszystkiego, co było do poznania. Postanowiłem naciskać, żeby mi wszystko wyjaśnił.

- Czy jest w tej sprawie coś jeszcze, o czym ciągle nie wiem? Czy naraziłbym się na jakieś inne koszmary, gdybym został tam trochę dłużej?

- Tego nie mogę panu powiedzieć.

- Ale mógłby pan chyba zdradzić mi bodaj jakieś szczegóły.

Pan Daily westchnął i poruszył się z zakłopotaniem w fotelu, unikając mojego wzroku i spoglądając w ogień, potem wyciągnął nogę, żeby czubkiem buta podrapać Frygę po brzuchu.

- Śmiało, jesteśmy daleko od tego miejsca, a moje nerwy wróciły do normalnego stanu.

Muszę poznać tę sprawę do końca. Nie grozi mi tu nic złego.

- Nie panu - oparł pan Daily. - Nie panu...

- Na litość boską, człowieku, co pan przede mną ukrywa? Czego się pan boi?
 - Jutro albo pojutrze - odparł pan Daily -znajdzie się pan daleko stąd. Jeśli będzie pan miał szczęście, nie usłyszysz pan więcej, nie zobaczy ani nie dowie się niczego, co może mieć jakikolwiek związek z tym przeklętym miejscem. Ale my wszyscy musimy tu zostać. Musimy żyć z tym dalej.
 - Z czym? Z plotkami? Pogłoskami? Z widokiem tej kobiety w czerni od czasu do czasu? Z czym?
 - Z tym, co na pewno nastąpi. Prędzej czy później. Crythin Gifford żyje z tym od pięćdziesięciu lat. Zmieniło to ludzi. I jak się pan przekonał, nikt nie chce o tym mówić. Ci, którzy ucierpieli najbardziej, mówią najmniej... Jerome, Keckwick.
- Poczułem, że moje serce zaczyna bić w przyspieszonym rytmie. Uniosłem dłoń do kołnierzyka, żeby go trochę poluzować, i odepchnąłem fotel od kominka. Koniec końców, gdy ta chwila nadeszła, nie byłem pewien, czy chcę usłyszeć to, co pan Daily miał mi do powiedzenia.
- Jennet Humfrye oddała swoje dziecko, tego chłopca, siostrze Alice Drablow i jej mężowi, ponieważ nie miała wyboru. Z początku mieszkała daleko, setki mil stąd, a chłopiec był wychowywany jako syn państwa Drablow i nigdy nie miał się dowiedzieć prawdy o swojej matce. Ale ból rozstania z nim nie tylko nie ustępował, ale rósł z każdym dniem. Toteż Jennet wróciła w końcu do Crythin. Ale nie była mile widziana w domu rodziców, a ten

mężczyzna - ojciec chłopca - wyjechał na stałe za granicę. Jennet wynajęła mieszkanie w mieście. Nie miała pieniędzy. Zaczęła szyć, pracowała jako dama do towarzystwa u pewnej pani. Z początku wydawało się, że Alice Drablow nie pozwoli jej widywać się z chłopcem. Ale Jennet była tak przybita, groziła, że targnie się na swoje lub cudze życie, i w końcu jej siostra ustąpiła. Pozwolono Jennet odwiedzać chłopca od czasu do czasu, ale nie wolno jej było zostać z nim sam na sam ani nawet wyjawić mu, kim jest, czy zdradzić, co ją z nim łączy. Nikt nie przewidział, że chłopiec będzie tak bardzo do niej podobny ani że to naturalne podobieństwo między nimi będzie rosło. A chłopiec przywiązywał się coraz bardziej do kobiety, która przecież była jego matką. Jej towarzystwo sprawiało mu coraz więcej radości, a jednocześnie okazywał chłód względem Alice Drablow. O ile mi wiadomo, Jennet planowała, że go stąd wywiezie. Ale zanim zdążyła to zrobić, wydarzył się wypadek,

wszystko odbyło się dokładnie tak, jak pan słyszał na bagnach. Chłopiec... oraz jego opiekunka, dwukółka i jej woźnica Keckwick...

- Keckwick?

- Tak. Jego ojciec. Był też z nimi mały piesek chłopca. To jest zdradliwe miejsce, jak się pan sam o tym przekonał. Morskie mgły nachodzą na te trzęsawiska nagle, a ruchome piaski są niewidoczne.

- Więc wszyscy oni utonęli.

- Na oczach Jennet. Była w domu i przyglądała się im z okna na górze, czekając na ich powrót.

Zaparło mi dech z przerażenia.

- Ciała zostały wydobyte, ale dwukółka została w bagnie, muł trzymał ją zbyt mocno. Od tego dnia Jennet Humfrye zaczęła tracić rozum.

- Czy można się temu dziwić?

- Nie. Oszalała z bólu, a także z gniewu i pragnienia pomsty. Oskarżała o to nieszczęście swoją siostrę, która pozwoliła im pojechać tego dnia do wsi, choć nie było w tym niczyjej winy, mgła przychodzi bez ostrzeżenia.

- Spada z jasnego nieba.

- Czy to wskutek tej straty i szaleństwa, czy to z innego powodu Jennet nabawiła się

choroby, od której zaczęła niknąć w oczach. Ciało kurczyło się na jej kościach, straciła kolory, wyglądała jak chodzący kościotrup, żywy upiór. Gdy szła ulicą, ludzie cofali się na jej widok. Budziła przerażenie u dzieci. Niedługo potem umarła. Zabiły ją nienawiść i ból. Zaraz po jej śmierci zaczęło się to straszenie. No i ciągnęło się dalej.

- Jak to, przez cały czas? Od tamtej pory?

- Nie. Od czasu do czasu. W ciągu ostatnich kilku lat trochę rzadziej. Ale ciągle widują ją i słyszą te odgłosy ludzie, którzy przypadkiem znajdą się na bagnach.

- Prawdopodobnie widywała ją też pani Drablow?

- Kto to może wiedzieć?

- No cóż, pani Drablow nie żyje. Teraz na pewno wszystko się tam uspokoi.

Ale pan Daily nie powiedział jeszcze wszystkiego. Docierał właśnie do kulminacyjnego momentu swej opowieści.

- A za każdym razem, kiedy ktoś ją zobaczył - powiedział przyciszonym głosem - na cmentarzu, na bagnach, na ulicach miasta, choćby nawet przelotnie i bez względu na to, kim ten ktoś był, kończyło się zawsze tak samo...

- Czym? - spytałem cicho.

- Dochodziło do jakiegoś straszliwego wydarzenia, w którym umierało dziecko.

- Jak to... ma pan na myśli wypadek?

- Przeważnie w wypadku. Ale raz czy dwa nastąpiło to po chorobie, która dotykała je dzień później, lub nawet jeszcze wcześniej.

- Ma pan na myśli przypadkowe dziecko? Z tego miasta?

- Jakiegokolwiek. Na przykład dziecko Jero-me'a.

Przed oczami stanął mi nagle rząd drobnych, poważnych twarzy oraz dziecięce rączki ściskające balustradę otaczającą boisko szkolne w dniu pogrzebu pani Drablow.

- Ale z pewnością... hm... dzieci umierają czasami...

- Rzeczywiście.

- Czy śmierć tamtych dzieci wiązało z ukazywaniem się kobiety coś więcej niż tylko przypadek?

- Być może trudno będzie panu w to uwierzyć. Ma pan prawo wątpić.

- Ależ ja...

- My jesteśmy tego pewni.

Przez moment wpatrywałem się w jego śmiałe i rezolutne oblicze.

- Nie wątpię w to, panie Daily - szepnąłem. A potem przez bardzo długą chwilę żaden z nas nie odezwał się ani słowem.

Zdawałem sobie sprawę, że tego ranka doznałem poważnego szoku, po kilku dniach i nocach podniecenia i nerwowego napięcia wywołanego przez wydarzenia w Domu na Węgorzowych Moczarach. Ale nie miałem najmniejszego pojęcia, jak głęboko i dotkliwie podziałała na mnie cała ta sprawa, zarówno pod względem duchowym, jak i cielesnym. Kładąc się tego wieczoru do łóżka, przypuszczałem, że robię to po raz ostatni pod dachem domu pana Daily'ego. Następnego ranka zamierzałem złapać pierwszy pociąg w kierunku Londynu. Kiedy powiedziałem o tym gospodarzowi, nie sprzeciwił się. Tej nocy spałem bardzo źle, mniej więcej co godzinę budziłem się z burzliwych snów, spływając potem z niepokoju. A kiedy nie spałem, leżałem sztywno, nasłuchując, przypominając sobie wszystkie wydarzenia i analizując je wciąż na nowo w myśli. Zadawałem sobie pytania dotyczące życia i śmierci. I granic między nimi. Ale nie znajdowałem odpowiedzi. Szeptalem bezpośrednio i proste, żarliwe modlitwy. Jak większość dzieci, zostałem wychowany w wierze w Boga zgodnie z naukami Kościoła chrześcijańskiego. Jednakże, choć nadal uważałem te nauki za najlepszy być może zbiór

wskazówek regulujących życie, boskość jawiła mi się raczej dość niewyraźnie, a odmawianie modlitw traktowałem jedynie jako formalny obowiązek. Teraz jednak było zupełnie inaczej. Modliłem się gorąco i z obudzoną na nowo żarliwością. Uświadamiałem sobie, że istnieją siły dobra i zła, które bezustannie zmagają się ze sobą. A człowiek może stanąć po jednej albo drugiej stronie.

Długo czekałem na nadejście poranka, a gdy wreszcie nastał, okazało się, że jest znowu chmurny, wilgotny i ponury, jak to w listopadzie. Wstałem z łóżka z bólem głowy i piekącymi oczami. Czułem ociężałość w nogach, ale jakimś cudem ubrałem się i powlokłem na dół na śniadanie. Nie mogłem jednak patrzeć na jedzenie. Natomiast chciało mi się bardzo pić i wychylałem jedną filiżankę herbaty po drugiej. Gdy przedstawiałem moje plany wyjazdowe, co jakiś czas pan i pani Daily rzucali mi zatroskane spojrzenia. Przyszło mi do głowy, że poczuję się dobrze dopiero w pociągu, gdy miejscowe krajobrazy zaczną stopniowo zostawać za mną. I nawet powiedziałem to głośno. Starłem się jednak zarazem wyrazić wdzięczność wobec gospodarzy, gdyż zaiste tylko dzięki nim uratowałem życie i pozostałem przy zdrowych zmysłach.

Wstałem od stołu i ruszyłem w kierunku pokoju stołowego. Drzwi ustąpiły wprawdzie bez oporu, ale odnosiłem wrażenie, że przedzieram się przez mgłę, która osacza mnie ze

wszystkich stron tak gęstym tumanem, że nie mogę złapać oddechu. Wydawało mi się, że na mojej drodze stoi coś bardzo ciężkiego, co muszę odsunąć na bok, żeby zrobić choć jeden krok dalej.

Zachwiałem się na nogach, ale Samuel Daily podtrzymał mnie i uchronił od upadku. Miałem mgliste wrażenie, że człowiek ten po raz drugi -choć w zupełnie innych okolicznościach - niesie mnie czy ciągnie, tym razem po schodach na górę, do gościnnej sypialni. Gdy tam dotarliśmy, pomógł mi się rozebrać i zostawił mnie z bólem głowy i straszliwym zamętem w myślach na całe pięć dni. Przez cały ten czas częste wizyty składał mi bardzo zaniepokojony lekarz. Później gorączka i najgroźniejsze deliryczne przywidzenia zaczęły ustępować, pozostawiając mnie w stanie wyczerpania i niewiarygodnego osłabienia. Mogłem tylko usiąść w fotelu, najpierw w moim pokoju, a potem na dole - sprowadzony troskliwie po schodach. Państwo Daily byli istnym wciele- niem troskliwości i okazywali mi nadzwyczajną uprzejmość. Najgorsze z tego wszystkiego były nie fizyczne dolegliwości, bóle, zmęczenie czy

gorączka, ale chaos, jaki panował w moich myślach.

Kobieta w czerni zdawała się nachodzić mnie nawet tutaj, siadała w nogach mojego łóżka, pochylała się nagle tuż nade mną w czasie snu, toteż budziłem się, krzycząc z przerażenia. W mojej głowie rozlegały się bezustannie krzyki dziecka wołającego o pomoc na bagnach, stukanie bujanego fotela i dalekie rżenie topiącego się konia. Nie mogłem się uwolnić od żadnego z tych odgłosów. A kiedy nie prześladowały mnie gorączkowe przywidzenia i majaki, przed oczami stawały mi listy i świadectwa zgonu tak, jakby ktoś trzymał poszczególne kartki przed moimi oczami.

W końcu jednak poczułem się lepiej. Strachy odeszły, wizje uległy stłumieniu. Byłem osłabiony i wyczerpany, ale w niezłym nastroju. Ta kobieta z pewnością nie mogła już wyrządzić mi nic złego. Wytrzymałem to wszystko i pozostałem przy życiu.

Minęło dwanaście dni, zanim poczułem, że jestem niemal zupełnie zdrowy. Za oknem świeciło zimowe słońce, ale wraz z nim nadeszły pierwsze mrozy. Siedziałem z derką na kolanach przy wychodzących na taras, otwartych oszklonych drzwiach salonu. Patrzyłem na ogołoczone z liści, sztywne i okryte srebrnobiałym szronem gałęzie krzewów i drzew. Było po lunchu. Być może zdrzemnąłem się odrobinę lub nie, ale w każdym razie nikt mnie nie niepokoił. Zadowolona Fryga leżała u moich stóp, podobnie jak podczas długich

dni i nocy mojej choroby. Polubiłem tę suczkę bardziej, niż mogłem sobie wyobrazić, że to możliwe. I czułem się z nią związany, ponieważ razem przeszliśmy ten trudny czas próby. Na jednej z kamiennych urn stojących na balustradzie usiadł drozd i uniósł główkę, spoglądając oczami przypominającymi dwa świecące paciorki. Przyglądałem mu się z przyjemnością, gdy podfrunął w górę, aby przysiąc znowu, po czym nasłuchiwał przez chwilę i zaczął śpiewać. Nasunęła mi się refleksja, że przed przybyciem tutaj nie umiałbym skoncentrować się na czymś tak zwyczajnym. Korciłoby mnie, żeby zerwać się na nogi, wyjść na dwór i zająć się tym czy tamtym. Teraz umiałem docenić obecność ptaszka i po prostu cieszyć się jego widokiem dopóty, dopóki zechciał pozostać za moim oknem. I robiłem to z intensywnością, jakiej nie przejawiałem nigdy dotąd. Z dworu dobiegł mnie warkot silnika samochodu i głosy osób przed drzwiami wejściowymi.

Nie poświęciłem im jednak większej uwagi, całkowicie pochłonięty obserwacją ptaka. Poza tym nie przypuszczałem, żeby miały one jakikolwiek związek z moją osobą. Usłyszałem, że ktoś nadchodzi korytarzem i zatrzymuje się przed drzwiami salonu, a potem otwiera je po krótkim wahaniu. Być może było później, niż mi się wydawało, i ktoś przyszedł zobaczyć, jak się miewam. Albo zapytać, czy nie mam ochoty na filiżankę herbaty.

- Arthurze?

Odwróciłem się ze wzdrygnięciem, a potem zerwałem się ze zdumieniem, niedowierzaniem i radością z fotela. Przez pokój szła do mnie moja najdroższa Stella.

KOBIETA W CZERNI

Następnego ranka opuściłem gościnny dom pana Samuela Daily'ego. Gospodarz polecił zawieźć nas automobilem prosto na dworzec kolejowy. Zapłaciłem przez posłańca rachunek w Gifford Arms i ominąłem śródmieście Crythin Gifford. Wydawało mi się, że rozsądnie będzie skorzystać w tej mierze z rady lekarza, który był szczególnie zaniepokojony tym, że mógłbym trafić w jakieś miejsce lub zobaczyć coś, co groziło zburzeniem mojej wciąż jeszcze niepewnej równowagi psychicznej. Prawdę mówiąc, nie miałem ochoty oglądać miasta ani narażać się na spotkanie z panem Jerome'em lub z Keckwickiem. A przede wszystkim chciałem uniknąć dalekiego choćby widoku bagien. Miałem już za sobą wszystkie te sprawy i czasami myślałem nawet, że mogły się one przydarzyć komu innemu. Lekarz kazał mi

usunąć całą tę historię z pamięci. Przyjąłem jego radę. Mając koło siebie Stellę, nie sądziłem, że mi się to nie uda.

Opuszczając Crythin Gifford, czułem jedynie szczerzy smutek, że muszę rozstać się z panem i z panią Daily. Gdy wymienialiśmy pożegnalny uścisk dłoni z moim gospodarzem, obiecałem, że zaproszę go do nas przy jego najbliższej wizycie w Londynie, którą - jak mi powiedział - składał raz lub najwyżej dwa razy w roku. Co więcej, pan Daily obiecał mnie i Stelli szczeniaczka, gdy tylko Fryga będzie miała potomstwo. Byłem pewien, że będzie mi bardzo brakowało małej suczki.

Pozostało jednak ostatnie pytanie, jakie musiałem zadać, chociaż ciężko mi było poruszyć tę kwestię.

- Musi mi pan wyjaśnić coś jeszcze - wybuchnąłem na koniec, pewien, że moje słowa nie dotrą do Stelli, mocno zajętej rozmową z panią Daily, którą zdołała oczarować swoim naturalnym ciepłem i serdecznością.

Samuel Daily spojrział na mnie ostro.

- Powiedział mi pan... - zacząłem, biorąc głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Chodzi o to dziecko... O dziecko, które umierało zawsze w Crythin Gifford.

- Tak, tak było.

Nie byłem w stanie kontynuować tej indagacji, ale miałem pewność, że moja mina jest wystarczająco wymowna i w sposób oczywisty wyraża moje rozpaczliwe pragnienie poznania prawdy.

- Nie, nic - powiedział szybko pan Daily - Nic takiego się nie zdarzyło...

Byłem pewien, że ma zamiar dodać „jak dotąd”, ale zamilkł, toteż sam dodałem te dwa słowa. Ale pan Daily pokręcił tylko w milczeniu głową.

- Och! I dzięki Bogu może się nie... Może się to urwie... Może jej moc się wyczerpała...

Odeszła... A ja byłem ostatnim człowiekiem, który ją widział - szepnąłem.

Pan Daily uspokajającym gestem położył rękę na moim ramieniu.

- Tak, tak.

Bardzo chciałem, żeby tak właśnie było, jako że od chwili, w której widziałem po raz ostatni kobietę w czerni, czyli ducha Jennet Humfrye, upłynęło już dość czasu, aby można było uznać to za dowód, że przekleństwo definitywnie minęło. Była oszalałą z nieszczęścia, cierpiącą kobietą, która umarła ze zgrzyoty i bólu, pełna

nienawiści i pragnienia zemsty. Można było zrozumieć jej urazy. Równie zrozumiała, choć niewybaczalna, była złośliwa zawziętość, która popychała ją do zabierania dzieci innym kobietom, ponieważ straciła własne.

Przyszło mi do głowy, że nie można jej pomóc w żaden sposób. Może tylko modląc się za jej duszę? Pani Drabio w, czyli siostra, którą oskarżała o śmierć syna, zmarła i leżała w grobie. Toteż teraz, gdy dom opróżnił się wreszcie, można było mieć nadzieję, że ten koszmar skończył się na zawsze.

Auto czekało na podjeździe. Uścisnąłem rękę państwu Dailym, ująłem Stellę za ramię i mocno się go trzymając, wsiadłem do środka i oparłem się na siedzeniu. Z westchnieniem, niemal szlochem ulgi opuściłem Crythin Gifford.

Moja opowieść dobiegła niemal końca. Do opowiedzenia pozostało mi jeszcze tylko jedno, ostatnie wydarzenie. Sprawa, do której opisania niemal nie byłem w stanie się zmusić.

Spędzałem długie dni i wieczory przy moim biurku nad czystą kartką, drżąc i szlochając, niezdolny sięgnąć po pióro. Wychodziłem z domu i błądziłem po starym sadzie. Czasami opuszczałem też Mnisia Parcele, aby błąkać się całymi milami po polach,

nie zwracając uwagi na otoczenie. Nie zauważałem niczego, zwierzęcia ani ptaka, nie zdawałem sobie nawet sprawy ze zmian pogody, tak że kilka razy wróciłem do domu zmoknięty do suchej nitki, ku wielkiemu zmartwieniu Esme. Był to zresztą dodatkowy powód mojej udręki, gdyż żona przyglądała mi się i dziwiła takiemu zachowaniu. Była jednak osobą zbyt delikatną, aby zadawać pytania. Mimo wszystko dostrzegałem smutek i zatroskanie na jej twarzy, wyczuwałem nurtujący ją niepokój, kiedy siedzieliśmy razem do późnego wieczoru. Nie mogłem zdradzić jej żadnych szczegółów, a ona nie miała pojęcia, co przeżywam ani jakie są tego powody. I nie dowie się tego, dopóki nie przeczyta niniejszego rękopisu. Ale wtedy mnie nie będzie już przy niej ani na tym świecie.

W końcu jednak zebrałem dość odwagi i postanowiłem wykorzystać ostatki sił, tak mocno nadwreżonych przeżywaniem na nowo dawnych okropności. Usiadłem, aby dopisać koniec mojej opowieści.

Wróciliśmy ze Stellą do Londynu i pobraliśmy się sześć tygodni później. Nasze wcześniejsze plany przewidywały, że zaczekamy z tym do następnej wiosny, ale ostatnie przeżycia zmieniły

mnie tak mocno, że zaczęło mi się nagle spieszyć. Nabrałem przekonania, że nie powinniśmy niczego odkładać na potem, ale chwycić z miejsca każdą radość, każdy uśmiech losu, każdą sprzyjającą okazję i nie pozwalać, aby wymknęły się nam z rąk. A zresztą, czemu mielibyśmy zwlekać? Czy oprócz przyziemnych spraw, takich jak pieniądze i kwestie majątkowe, istniało cokolwiek, co mogło uniemożliwić nam zawarcie małżeństwa? Nic. Tak więc, pobraliśmy się spokojnie i bez zbytnich ceregieli, aby zamieszkać w moim dotychczasowym mieszkaniu, które powiększyło się o dodatkowy pokój. Właścicielka lokalu chętnie go nam odnajęła do czasu, aż będziemy mogli pozwolić sobie na zakup własnego małego domku. Byliśmy szczęśliwi, jak tylko mogą być szczęśliwi młody mężczyzna i jego świeżo poślubiona małżonka, oboje znajdujący przyjemność w przebywaniu ze sobą, nie bogaci, ale i nie biedni, zajęci pracą i pełni nadziei na przyszłość. W miarę upływającego czasu pan Bentley stawiał przede mną coraz bardziej odpowiedzialne zadania i stosownie do nich podnosił mi wynagrodzenie. Poprosiłem go otwarcie, żeby nie wspominał mi o Domu na Węgorzowych Moczarach ani o majątku i papierach pani Drablow, a on zastosował się do mojej prośby. Nigdy

więcej nie wymieniano przy mnie ani tej nazwy, ani tego nazwiska.

Nieco po upływie roku od naszego ślubu Stella urodziła dziecko, syna, któremu dałem imiona Joseph Arthur Samuel, a jego ojcem chrzestnym został pan Samuel Daily. Był on w owym czasie jedyną osobą, która wiązała nas jeszcze z tamtym miejscem. Ale chociaż widywaliśmy się z nim okazjonalnie w Londynie, nigdy nie nawiązywał do przeszłości. W sumie byłem tak bardzo przepełniony radością i zadowoleniem z życia, że nigdy nawet nie pomyślałem o tamtych wydarzeniach, a nocne koszmary niemal zupełnie przestały mnie nACHodzić.

Pewnego niedzielnego popołudnia w rok po przyjściu na świat naszego synka byłem w wyjątkowo pogodnym nastroju. Nie mogłem być mniej przygotowany na to, co miało mnie spotkać.

Udaliśmy się do dużego parku, który był oddalony o około dziesięć mil od Londynu i należał do majątku pewnej szlacheckiej rodziny, a latem udostępniano go w weekendy publiczności. Panowała tam atmosfera wypoczynku - było jezioro, po którym pływały małe wiosłowe łodzie, była estrada z orkiestrą, która grała wesołe melodie, nie brakło też stoisk z owocami i lodami.

Rodziny przechadzały się w słońcu, a dzieci biegały po trawnikach. Stella i ja spacerowaliśmy, trzymając za rączki małego Josepha, który stawiał pierwsze niepewne kroki. Spoglądaliśmy na niego z dumą, jak wszyscy młodzi rodzice na swoje dziecko. W pewnej chwili Stella zauważyła, że jedną z oferowanych atrakcji jest przejażdżka aleją wysadzaną wysokimi kasztanowcami - na osiołku albo dwukółką zaprzęzoną w kucyka. Sądząc, że naszemu synkowi powinno to przypaść do gustu, podeszliśmy z nim do łagodnego siwego osiołka. Próbowałem posadzić go w siodle, ale chłopiec zaczął protestować i wykręcać się od tego, tuląc się do mnie i wymachując żywo małymi rączkami w stronę dwukółki z kucykiem. A ponieważ mogła ona zabrać tylko dwoje pasażerów, Stella usiadła w niej z Josephem, a ja stanąłem z boku. Przyglądałem się wesołym minom, z jakimi ruszyli aleją między pięknymi starymi drzewami, które urzekały wspaniałą krasą zielonego listowia. Na chwilę zniknęli mi z oczu w oddali, za zakrętem, zacząłem więc przyglądać się innym uczestnikom popołudniowej zabawy. A potem, zupełnie niespodziewanie, zobaczyłem ją. Stała daleko od ludzi, tuż obok jednego z drzew.

Wpatrywałem się prosto w nią, a ona we mnie. Nie mogło być mowy o pomyłce. To była ona, kobieta w czerni ze zniszczoną twarzą, duch Jennet Humfrye. Przez moment gapiłem się na nią z niedowierzaniem i zdumieniem, a potem obleciał mnie strach.

Znieruchomiałem jak sparaliżowany, tak jakbym wrósł w ziemię. Pociemniało mi w oczach i przestałem słyszeć wołania dorosłych i wesołe śmiechy dzieci. Nie byłem w stanie oderwać od niej oczu. Na jej twarzy nie malowały się żadne emocje, ale mimo to znowu poczułem po sobie całą emanującą z niej siłę, całą złośliwość, nienawiść i zawziętą urazę, które przewiercały mnie na wskroś.

W tej samej chwili poczułem wielką ulgę, widząc, że alejką wraca lekkim truchtem kucyk. Konik ciągnął w promieniach słońca dwukólkę wraz z moją ukochaną Stellą, trzymającą w ramionach synka, który podskakiwał i wymachiwał z zadowoleniem drobnymi rączkami. Byli już niemal koło mnie, za chwilę mógłbym ich chwycić w ramiona. Czym prędzej opuścilibyśmy to miejsce, gdyż nie chciałem pozostawać w nim ani chwili dłużej.

Niecierpliwiłem się. Dwukółka przyhamowała, mijając drzewo, za którym stała bez ruchu kobieta w czerni. W tej samej chwili jej sylwetka poruszyła się szybko, szeleszcząc suknią,

jakby chciała zastąpić kucykowi drogę. Zwierzę szarpnęło się gwałtownie w bok i cofnęło z nagłym strachem w oczach... A potem rzuciło się do przodu i pognąło galopem przez polanę między drzewami, rżąc i wyłamując się spod wszelkiej kontroli. Zapanował okropny zamęt. Kilka osób pobiegło za dwukólką, a kobiety i dzieci podniosły wrzask. Ja także popędziłem za nimi jak szalony... Po chwili usłyszałem ściskający za serce huk i trzask, gdy kucyk i wózek uderzyły w jeden z potężnych pni. Zapadła cisza... Straszliwa cisza, która mogła trwać ledwie parę sekund, a zdawała się ciągnąć latami. Biegnąc co sił na miejsce wypadku, obejrzałem się przez ramię. Kobieta w czerni zniknęła.

Ludzie ostrożnie wyjęli moją żonę z dwukółki. Była poobijana, miała połamane kręgi szyjne i nogi, choć zachowała przytomność. Kucyk wydawał się tylko oszołomiony, ale ponieważ wózek się przewrócił, a uprzęż poplątała, nie mógł się poruszyć i leżał na ziemi. Rżał i parskał z przerażenia.

Siła uderzenia wyrzuciła naszego synka na pobliskie drzewo. Jego zmaltretowane ciało leżało bez życia tuż obok pnia, na trawie...

Tym razem los nie zesłał na mnie litościwego omdlenia. Musiałem przeżyć każdą minutę te-

go nieszczęścia, a potem cierpieć męki codziennie przez dziesięć długich miesięcy do czasu, aż straszliwie poraniona Stella również umarła.

Zobaczyłem ducha Jennet Humfrye i dopełniła ona swej zemsty.

Proszono mnie o opowieść. Oto ona. Powinna wystarczyć.